MARYA ŁOPUSZAŃSKA.

OBROŃCY BOGÓW.

Powieść na tle dawnych legend.

WARSZAWA.
Nakładem Księgarni
A. G. DUBOWSKIEGO.
30. Chmielna 30.

1899.

W drukarni Noskowskiego. Warszawa, Warecka 15.

Дозволено Цензурою
Варшава, 7 Февраля 1899 г.

WSTĘP.

....Duch puszczy szumiał nad dzikim przestworem...

A puszcza to była olbrzymia i ciemna; od gór Łysych aż do Kielc, ku Sandomierzowi, ku brzegom Wisły starej, wyciągała ramiona, czarna, nieprzebyta, milcząca.

Bo gdy po wierzchołkach rozbijały się wichry, wewnątrz panowała niczem niezmącona cisza, przerywana tylko niekiedy rykiem zwierza lub łoskotem drzew, upadających ze starości; — a żaden powiew nie poruszył bujnych paproci i innych roślin, wzrastających u ich stóp.

Ciemności, nierozjaśnione żadnym promieniem słońca, zaległy głębie puszczy, na pozór martwe i bez ruchu; — lecz ktoby się wpatrzył w nie bliżej, poznałby, że w tych mrokach wilgotnych wrzało ukryte życie. Gdyś nastąpił na stos zmurszałych gałęzi, z pod nóg uchodziły ci obmierzłe jakieś gady, śpiesząc coprędzej skryć się w ciemnych kryjówkach. Krzyk ptactwa drapieżnego często też rozlegał się ponad wierzchołkami drzew.

Niedźwiedź, żubr, tur siwy, o grzbiecie przerzniętym ciemną pręgą, dzik i ryś centkowany — oto byli mieszkańce i królowie czarnego boru.

Gdy nastawały zawalne zimy, stada wilków, liczące po sto i więcej sztuk, wpadały na wsie, stojące wśród lasów, i siedlacy nieraz musieli z niemi staczać krwawe walki.

Drzewa dorastały w owe czasy do niewidzianych dziś rozmiarów, tak co do objętości, jak i co do wysokości. A nie rosły, jak teraz, przeważnie w jednym gatunku, ale wszystkie prawie odmiany północne wznosiły się zgodnie obok siebie, od dębu aż do modrzewia, od jesionu do cisu, buka, sosny, klonu, lipy, świerka i jodły.

W mrokach tych bez ustanku poruszały się jakieś stworzenia, które mogło rozpoznać tylko oko obyte z ciemnością, wciąż tu panującą. Kuny i łasice, borsuki i żbiki wyskakiwały z pod nóg wędrowca i kryły się w gąszczach.

Powietrze, nieodświeżane przewiewem wiatru, było ciężkie i przesycone wonią gnijącej roślinności.

Ale całkiem inaczej było, gdy burza rozigrała się nad puszczą.

Wówczas, miasto głuchej ciszy, rozlegały się łoskoty, powtarzane przez odwieczne echa ciemnego boru; stuletnie drzewa waliły się, ciężarem swoim przytłaczając towarzyszy i tym sposobem odkrywając znaczne przestrzenie; błyskawice rozświetlały wnętrza nieprzebytych wertepów, nietkniętych nogą ludzką,—bo owe puszcze olbrzymie przyciągały straszne burze, które tu szalały z niesłychaną wściekłością, na długo pozostawiając ślady swego przejścia i robiąc często drogi szerokie tam, gdzie dawniej zwierz zaledwie mógł się przez gąszcze przecisnąć.

Olbrzym burz, Świst-Poświst, stąpał po drzew wierzchołkach, uginających się pod jego nogą jak kłosy.

Te to burze robiły puszczę jeszcze bardziej nieprzebytą, bo zawalały ją stosami łomu i pniami obalonymi, co sprawiało, iż w niektórych miejscach niepodobna było przejść człowiekowi, gdyż gałęzie, jak kłęby poplątanych wężów, więziły mu stopy.

A jednak, pomimo to wszystko, puszcza, przynajmniej na krańcach, miała swoich mieszkańców. Byli nimi drwale i łowce, zamieszkujący od urodzenia te głuche wnętrza boru

i tworzący osobne osady, rozłożone u skraju lasu nad wodami.

Samotność jednak, nieustanne obcowanie z dziką przyrodą i ze zwierzem leśnym były przyczyną, iż sami nie różnili się od tego ostatniego. Głuche chodziły wieści, że, pomimo, iż upłynęło już lat kilkadziesiąt, jak Mieczysław i Dąbrówka zaprowadzili wiarę chrześcijańską, a król Bolesław, obecnie panujący, usilnie starał się o utrzymanie jej i rozprzestrzenienie, — we wnętrzach borów, po staremu, czczono jeszcze dęby, gaje i źródła święte. Nikt jednak stwierdzić nie mógł, ilu było takich wiernych zachowawców odwiecznych obyczajów ojców, — w puszczy wszystko było ukrytem i tajemniczem.

Miała ona jeszcze innych mieszkańców. Wyobraźnia ludu zapełniła głębie borów niezliczonym rojem duchów, uosabiających siły przyrody. Tam na bagnach błędnice ukazywały się w postaci ogników, wabiących podróżnego na trzęsawiska, kędy śmierć niechybna. Jeziora i źródła zamieszkiwały hoże wodnice, które nocą wychodziły na brzeg, prowadząc tam swoje korowody, oraz topielce i pluskony, ciągnące przechodniów na dno wody.

Wertepnicy, psotne duchy leśnych uroczysk, nieraz po całych nocach wodziły wędrowców, nie dając im przybyć do domu.

A skoro miesiąc wypłynął na niebiosa, nocnice o nietoperzowych skrzydłach przychodziły pić rosę z ziół leśnych, a potem leciały w różne strony, unosząc się nad sennymi ludźmi, ukazując im sny straszne i nocne mary.

To też, gdy cienie nocy zaległy puszczę, nie było prawie śmiałka, coby się ważył przez nią przedzierać. — Strach zabobonny zdejmował najodważniejszych, gdy olbrzymie sowy-puhacze głosem zupełnie do ludzkiego śmiechu podobnym chichotały po lesie, lub hukały, naśladując hasło nawołujących się drwali.

A gdy Marana, bóstwo zimy, ciągnęła lasami, towarzyszył jej ponury orszak upiorów, widm i zmor nocnych, lecących wraz z tumanami śniegu i wichru poświstem.

Tam w puszczy bowiem było jej państwo dzikie, tam ona królowała najdłużej, i gdy po polach rolnik dawno już ziemię orał, we wnętrzu boru leżały jeszcze zaspy śnieżne.

Zatem mgły białe otulały bory, rankami i wieczorami wszystkiemu dokoła nadawały fantastyczne kształty; i przysiągłbyś, że wśród tych tumanów pływają istoty nadprzyrodzone, a całe ich roje lęgną się po gąszczach.

W owej epoce kraj cały, aż po Karpaty, porosły był lasami; Małopolskę nazwać można było jedną wielką puszczą, która tylko ponad Wisłą zaczynała się przerzedzać i osiedlać. Jak białe punkta na zielonem polu, świeciły z daleka Kraków, Sandomierz, Kielce i Wiślica. Dokoła zaś szumiały niezbrodzone puszcze.

O żadnej jednak nie krążyło tyle podań i powieści, żadna nie budziła takiej trwogi, jak ta, która rozciągała się u stóp gór Łysych. Od wieków bowiem istniało przekonanie, iż na najwyższym szczycie, znanym teraz pod imieniem Ś-to-Krzyskiej, czarownice z najdalszych okolic kraju zbierają się na zabawy i harce wyprawiają piekielne; — to też góra ta budziła postrach ogólny, wspominano o niej tylko cicho i z drżeniem w głosie.

Niegdyś, za czasów pogańskich, na wierzchołku jej wznosił się chram boga wichrów i burzy: Świst-Pośwista, ale Mieczysław kazał go zwalić i natomiast postawić kościół, osadzając tam kilku Benedyktynów. Lecz poganie zburzyli wkrótce świątynię, zakonnicy zginęli męczeńską śmiercią i na wierzchołku góry piętrzył się tylko stos gruzów. Stała się ona znów pogańską i szerzyła nadal tajemniczą grozę dokoła.

Twierdzono, że wśród nocnych tumanów ukazywały się jakieś migotliwe ognie, to gasnąc, to zapalając się znowu. Szczególnie od niejakiego czasu owo tajemnicze światło co-

raz częściej purpurowym płaszczem odziewało szczyt góry i prawie co nocy, jeśli wierzyć ogólnym pogłoskom, ciemności rozdzierały się krwawą łuną w tej stronie.

Słysząc to, jedni żegnali się pobożnie, inni zaś, jakby nie chcąc się wydawać z tem, co wiedzą, zachowywali wiele znaczące milczenie.

Cudowna opowieść o Łysej górze, zasnuta w to pasmo podań, splotła w jeden wieniec ów świat czarów i bajek ze świtem nowej ery chrześcijańskiej, a krążąc długo z ust do ust, powtarzana z poszanowaniem i trwogą, niby nić złota rozświecała ciemnie owych zamierzchłych wieków, aż w postaci legendy doszła do naszych czasów.

A brzmiała ona w ten sposób:

Król Chrobry bawił wówczas wraz z dworem w Kielcach, gdzie w odwiedziny do niego przybył siostrzan, królewicz Emeryk, syn Stefana węgierskiego. Było to książę pobożne i dbałe o chwałę Bożą, ale zwyczajem ówczesnym, jak wszyscy mężowie, namiętnie zamiłowany do łowów. Razu jednego, kiedy obaj z królem Bolesławem, oddając się zabawom łowieckim, przetrząsali puszcze okoliczne, królewicz, odłączywszy się od swego orszaku, zbłąkał się, pogoniwszy za zwierzem. Długo tak błądził po ciemnym borze, aż w końcu koń go zaniósł do stóp wyniosłej góry, pokrytej lasem i gąszczą nieprzebytą, — była to góra Łysa. Królewicz wiedział, jakie podania krążyły o niej, ale pobożny i mężnego serca pan nie bał się czarów i postanowił piąć się aż na sam szczyt góry. Owóż, gdy już był niedaleko wierzchołka, stanął nagle koń jego jak wryty, drżąc z trwogi, jak gdyby dokoła siebie czuł coś nadprzyrodzonego, — i mimo wszelkie nalegania królewicza, który, zeskoczywszy, bił go i zachęcał, z miejsca ruszyć się nie chciał.

W końcu Emeryk przypomniał sobie wszystkie wieści, krążące o tem miejscu, uczuł dziwną trwogę i trzykroć przeżegnawszy się, polecał Bogu, — gdy nagle nad głową jego dał się słyszeć głos uroczysty:

„Ani koń twój, ani ty stąd nie wyjdziesz, dokąd nie złożysz tu co masz najdroższego przy sobie.”

Padł na kolana pobożny królewicz i w świętej trwodze, domyślając się, że głos ów był głosem z nieba, z pokorą zawołał:

— O, Panie, ślubuję, iż złożę tu co mam najdroższego, a tem jest szczątek krzyża Twego Boskiego Syna; niech tylko stanie w tem miejscu dom, poświęcony Twojej chwale.

Zaledwie wyrzekł te słowa, gdy urok znikł natychmiast, koń, posłuszny, ruszył z miejsca i królewicz, szczęśliwie do Kielc powróciwszy, opowiedział Bolesławowi całą swą przygodę, a król, przejęty tym cudem, przyrzekł uroczyście, iż zbuduje kościół na Łysej górze.

Ciągłe jednak boje i inne przeszkody nie dały mu spełnić obietnicy, i choć już kilka lat upłynęło od owego wydarzenia, nie rozpoczęto jednak budowy kościoła. Tymczasem Łysa góra po dawnemu budziła u ludu postrach i grozę. Posępna, okryta w mgły białe, ponad całą okolicę wznosiła szczyt swój, pełen tajemnic i czarów.

I.

Odwiecznym zwyczajem u Polan i Chorbatów było, że gdy następowała wiosna, obchodzono święto Marany, czyli Marzanny.

Duchowieństwo nie mogło, po wprowadzeniu chrześcijaństwa, wpłynąć na zarzucenie owego zwyczaju, gdyż wywołałoby to oburzenie między ludem, całem sercem przywiązanym do dawnych obchodów. Długo też niektóre z nich się zachowały, chociaż nawet zatracono pojęcie o ich starożytnem znaczeniu.

Jednym z takich był obchód Marzanny, czyli Marany, odprawiany jeszcze później przez długie wieki *).

Tegoroczna wiosna była piękna i wczesna; na Wiśle lody puściły prędko, w puszczy pękały pączki na drzewach, stada sarn i jeleni wychodziły się kąpać w leśnych wodach, łoś ocierał nowe rogi, niedźwiedź wychodził z legowiska, ptactwo budowało sobie nowe gniazda na gałęziach drzew.

Król Chrobry znów zjechał do Kielc ze swoim dworem, sprawiając nieraz osobiście sądy, na które zbiegano się zewsząd, by oglądać oblicze monarchy.

Ludzie przygotowywali się tymczazem do obchodu Marany, mającego się odbyć w pobliżu grodu, na rozległej równinie, pod lasem. W przededniu jeszcze ciągnęły wielkie gromady ludu z zapasami żywności; szły naprzód dziewczyny i chłopcy, postrojeni odświętnie, dalej starsi mężowie i niewiasty, wszyscy weseli i pełni nadziei, bo pogoda nazajutrz zapowiadała się pięknie, a według niej rokowano, jakie ma być rozpoczynające się lato.

Wesoły tłum, zgromadzony z najdalszych okolic, obozował na równinie, rozpaliwszy wielkie ogniska. — Nazajutrz dzień wstał jasny i pogodny, ani jednej chmurki na niebie, ani najlżejszego tchnienia wiatru w powietrzu.

Obszerna równina, porosła zieloną, dotychczas niezdeptaną stopami zgromadzonych murawą, rozciągała się aż do lasu, którego czarna ściana widniała w dali, przez pół jeszcze przesłonięta porannemi mgłami. Wiosenny świergot ptactwa rozlegał się po gajach, tysiące much, komarów wznosiło się w powietrzu, brzęcząc cieniutkim głosem i ciesząc się jasnem słonkiem; od czasu do czasu trzmiel przeleciał, nucąc grubym basem, i milkł nagle, usadowiwszy się na wonnym kwiecie, z którego miód słodki wysysał. W poblizkim potoku rechotały żaby różnymi głosy, a bąk wodny huczał, zanurzywszy głowę w mule. Stosy pieczywa wznosiły się na mura-

*) Bielski.

wie, dalej stały beczki z miodem, u ognisk zaś pieczono mięso na wielkich kamieniach.

Dziewczęta zabrały się do przystrojenia bałwana Marany w kwiaty i wstęgi, czemu towarzyszyły pieśni i śmiechy wesołe.

Dziady gęślarze krążyli wśród tłumu, przygrywając na gęślach, a choć wzbronionem było śpiewać pieśni pogańskie na cześć bogów, odzywały się one po dawnemu, bo lud nie był zdolnym zapomnieć o przedmiotach czci odwiecznej.

Czasami wśród zgromadzenia ukazywały się dziwne jakieś postacie mężów o twarzy surowej i zarośniętej, odziane w skóry sierścią na wierzch, z łukami na plecach. Spoglądali oni dokoła siebie wzrokiem dzikim, jakby coś niedobrego zamyślając. Ludzie szeptali między sobą, że to są łowcy i drwale, mający osady w puszczy łysogórskiej.

Wreszcie dziewczęta przystroiły bałwana Marany w co która miała najpiękniejszego, więc w szklane paciorki, chustki, wstęgi i wieńce, postawiono go w środku koła i kazano podtrzymywać dwom małym chłopcom, nader dumnym z tego obowiązku, a dziewczęta, wziąwszy się za ręce w koło, rozpoczęły śpiewy i tańce.

Piosnki były to weselsze, to smutniejsze, wogóle jednak przebijała się w nich radość, że panowanie zimy już skończone, że krasna wiosna nastała, ciesząc ludzi i zwierza wszelkiego.

Reszta zgromadzenia, chłopcy, starsi mężowie, niewiasty i dzieci, stali na boku, przypatrując się i słuchając pieśni.

Byli tam ludzie z pod Sandomierza, z pod Wiślicy i z pod Krakowa, wielu zaś było, o których nikt nie wiedział, skąd przyszli, i żadna gromada do nich się nie przyznawała.

Gdy już wszystkie pieśni zostały odśpiewane, zwalono bałwana Marany na ziemię i powleczono do poblizkiego potoku, by go tam utopić, śpiewając przy tem odwieczną pieśń:

„Śmierć się wije u płotu, szukający kłopotu" i t. d.

Dzika jakaś, do szału posunięta radość ogarnęła te tłumy, które z wściekłością szarpiąc, ciągnęły bałwana; dziewczęta z krzykiem obdzierały go z ozdób, a wszyscy obecni, zaprzągłszy się doń, wlekli po murawie.

Gdy go wreszcie pogrążyli w wodzie, zaczęli uciekać stamtąd śpiesznie, strzegąc się jednak pilnie, by nie upaść, co byłoby przepowiednią śmierci w ciągu roku.

Zima już została utopioną, nastało królowanie wiosny hożej, która mai pola i lasy i budzi tęskność w młodem sercu, niewiedzieć dlaczego,—wiosny - czarownicy psotnej, która każe kukułce smętnie się odzywać, słowikowi po nocach zawodzić, a duszy ludzkiej pragnąć czegoś nieznanego.

Po odprawieniu obchodu, tłumy zebrane zasiadły na murawie, ucztując dokoła przyniesionych zapasów. Choć surowo było wzbronionem składanie objat bogom, mimo to niejeden wylał ukradkiem czarę miodu na trawę, żeby pasieka wiodła się tego lata.

Reszta dnia zeszła na śpiewach i pląsach; wciąż rozlegały się wesołe wybuchy śmiechu; na zdeptanej murawie leżały jeszcze szczątki owych wieńców i wstęg, w które był przystrojony bałwan Marany.

Stary, siwobrody dziad, biało odziany, z gęślą na plecach, usiadł pod rozłożystem drzewem, gromadząc wokoło siebie grono ciekawych, przysłuchujących się pieśniom i starym opowieściom. A umiał on prawić bardzo pięknie, był to bowiem jeden z najmędrszych dziadów od Kielc aż do Krakowa i pamiętał dobrze, co się działo za dawnych czasów, kiedy to rozbijano posągi bogów i walono ich chramy.

Przymknąwszy oczy i wsparłszy głowę o pień dębu, mówił słuchającej go gromadce, kiedy ta dopominała się natarczywie o gadkę:

— Gadki wam się zachciało? Nowi ludzie chcą gadki starego dziada? A przecie wam tam księża piękniejsze prawią w złoconych kościołach?... Mówią wam tam o Świętych, o anio-

łach ze srebrnemi skrzydłami, o dyabłach, którzy męczą dusze w piekle... Ja ciemny, głupi dziad znam tylko odwieczne powieści ojców naszych o starych bogach, wilkołakach i boginkach; niestać mnie na inne; szukajcie więc sobie mędrszego ode mnie, by wam ciekawsze baje rozpowiadał.

— Ej, co tam!—ozwano się z gromady—niech tam ksiądz władykom i wojewodom z ambony prawi o Świętych i aniołach, a nam, biednym kmieciom, rozpowiedzcie, ojcze Luborze, po dawnemu, jaką gadkę o starych rzeczach.

— Hej, hej, stare rzeczy!—westchnął dziad — a gdzie to się one podziały? Władykom i wojewodom dobrze, bo dają na ołtarz w kościele, zaskarbiają sobie łaskę wielkiego Boga bogatymi darami owymi, ale nam, biedakom, co robić? Czy tam przez ten tłum Świętych, odzianych w złoto szaty aniołów jasnych, przeciśnie się łatana siermięga? Insza to rzecz była z Kupałą, Żywie, Borowidem, a choćby i wielkim Jesse. Przyjdziesz, bywało, do każdego z nich, jak do swego, on cię pojmie, czego ci trzeba, co ci dolega; przyjmie twą najmniejszą ofiarę; bogi swoje, kapłan swój, to nie jacyś przybysze z obczyzny. Bo powiedzcież, czy taki Bóg, co dopiero niedawno przybył do nas i jeszcze się nawet nie rozpatrzył, może wiedzieć, co nam dolega, tak jak Jesse i Żywie, co tu od wieków panują?...

— Ot, wiadomo, niejednego nie pojmie, co nam na sercu ciąży...

— Wasza prawda, ojcze Luborze — ozwało się kilka głosów: — ze starymi bogami lepiej było. Ale cóż z tego? Albo to za naszą wolą wszystko się dzieje? Jak król i władyki postanowili, tak i będzie; nie nam to przeznaczać.

Dziad westchnął tylko i pokiwał smutnie głową na te słowa. Wreszcie, by przerwać rozmowę, mogącą się stać niebezpieczną, gdyby doszła do uszu kogoś z wyżej położonych, ozwał się nagle:

— No, chcieliście gadki, to słuchajcie: Był sobie raz młody junak, który chciał koniecznie wiedzieć, dlaczego słonko wstając, ma zwykle tak rumiane liczko, i wciąż się z tem naprzykrzał starym ludziom. Aż wreszcie rzekli mu: „Kiedyś taki ciekawy, to idź sam do nieba i zapytaj słonka o to.” Powiedzieli mu tak na żart, ale młodzian naprawdę postanowił wybrać się w drogę i zapytać słonka, dlaczego płonie rumieńcem z rana i wieczorem. Jak pomyślał, tak zrobił. Przyszedł do nieba, ale nie zastał słonka; wyszło na codzienną wędrówkę niebieską, została tylko stara macierz w domu. Trzeba wam wiedzieć bowiem, że słońce ma matkę, która je co rano wypuszcza w świat boży hożym, złotowłosym młodzianem, przez wschodnie okienko, a wieczorem, gdy zmorduje się całodzienną podróżą, wraca starcem siwym, przez okno zachodnie, i składa strudzoną głowę na kolanach mateńki. Otóż ta macierz stara rzekła młodemu junakowi:

„Młodzieńcze-sokole, dlatego się płoni liczko słońca z rana i wieczorem, bo w morzu sinem mieszkają dwie hoże dziewy: jedna się zowie zorzą poranną, druga zorzą wieczorną. Gdy słonko przybliży się ku morzu sinemu, one, te dziewy wodne, pluskają mu swawolnie w twarz wodą, a wówczas liczko syna mojego płoni się rumieńcem dziewiczego wstydu. Dlatego to słońce rumiane wschodzi i zachodzi.”

A ot, co jeszcze ludzie mówią:

Jednego razu słonko dostało się w niewolę zimowej dziewicy, Marany. Była ona groźną królową w północnej stronie, miała pałac ze śniegu i lodu, służył jej zaś dwór samych upiorów, zmor i duchów nocnych. Obcięła słonku złote kędziory i zamknęła w ciemnej wieżycy. Płakało słonko i tęskniło w więzieniu, ale dziewica zimy była nieubłaganą.

Tymczasem wierna małżonka słońca, krasna wiosenka, rozesłała po całym świecie posły, by się wywiedzieli, co się dzieje z jej miłym. Wiatr wreszcie przyniósł jej wieść,

iż się on znajduje w niewoli u Marany. Wiosna stęskniona, zasłyszawszy o tem, wybrała się natychmiast, by go wyswobodzić. Zaprzęgła do wozu dwa białe łabędzie; kędy wóz ten przejechał, tam kwiaty i zioła wonne zakwitały na ziemi; bociany długodziobe i żórawie leciały naprzód, przyjście jej zwiastując. Za nią leciał dwór jej, z ptasząt, motyli, chrząszczów i muszek różnych złożony. A wszystko to leci, pokrakuje, a świegoce, a brzęczy, aż się dusza raduje. Między nimi słowik, niby gęślarz, co pieśni śpiewa królom, czasami się tylko odzywał, bo wiedział, że królowie nie zawsze mają czas i chęć pieśni słuchać, a narzucać się nie chciał.

Ot, przybyła wiosna szczęśliwie do krainy zimy; wierny wiatr towarzyszył jej w onej podróży. Wyszła naprzeciw niej wroga Marana, wyszła z całym dworem; szata jej była z białych puchów śniegowych, korona z igieł lodowych, oddech mroził wszystko dokoła. Tumany śnieżne niosły ją na skrzydłach, a w tych tumanach leciały roje duchów nocnych, nucących posępne pieśni.

— Czego chcesz? — zapytała groźnie.

Wiosna z razu nic nie odrzekła, bo trwogą ją przejął widok strasznej Marany; zalała się łzami wiosennego deszczyku, lecz łzy te marzły na jej licach. Ale wiatr wierny nie przeląkł się; powiał ciepłym oddechem na cały ów groźny orszak i śnieżne tumany poczęły topnieć. Marana z razu bronić się chciała i wysłała do walki mróz, który był jej bratem młodszym. Lecz wiatr wionął i na niego, i zmusił do ucieczki. Groźne czoło Marany poczęło blednąć, stawała się coraz bezsilniejszą i przezroczystszą. Wiatr tchnął na wieżycę śniegową i rozsypał w gruzy; wyjrzało więc z niej słonko, ale jakże blade i słabe! Wiosna zaledwo poznać mogła miłego. Skoro jednak słonko skąpało się w morzu, odzyskało moc i ogień dawny, i złotemi strzałami począwszy ciskać w Maranę i jej orszak, zmusiło ją do ucieczki. Czarne duchy z wyciem uchodziły w dalekie północne strony, a Marana roztopiła się wreszcie w tumany białe, miejsce zaś, gdzie stała, zasy-

pała wonnem kwieciem i ziołami wiosna-królowa, i oboje małżonkowie na wozie, ciągnionym przez białe łabędzie, powrócili z całym dworem do kraju rodzinnego.

— Tak to ludzie rozpowiadają; słyszałem to dawno od ojców, a teraz wam mówię co mi w pamięci zostało. Prawię gadki stare, bo niestać mię na nowe, choć wszystko stare w poniewierkę u nas poszło; ale przyjmijcie chętnem sercem co wam chętnem sercem daję. Jeśli mądry przyjmie, to mu sława, głupiemu zaś niech będzie zabawa, a wszystkim dobre słowo.

Zmrok wreszcie począł zapadać, ów przejrzysty zmrok wiosenny.

Od lasu powiało chłodem, tu i tam zapalały się gwiazdy na niebie, ponad wierzchołki drzew wypłynął miesiąc blady i przeglądał się w kroplach rosy, błyszczącej na liściach.

W borze, w miarę jak mrok zapadał, zdawało się coś budzić do życia. Po wierzchołkach drzew przeszedł jeden powiew wiatru, potem drugi, białe tumany wstawały powoli, czepiając się gałęzi. Gdzieś daleko, daleko, rozlegał się donośny głos puhacza: Hop, hop! Hop, hop! Żaby z większą siłą rozpoczęły chór wieczorny.

Z oddali, z głębi lasu, dochodziły jakieś jęki, niby północne zawodzenia wodnicy, a była to właśnie pora, kiedy wychodzą one na rosę wieczorną.

Wesołe śpiewy i śmiechy umilkły, dziewczęta poczęły z cicha nucić, gromadki skupiały się coraz bardziej.

Wreszcie tuż blizko rozległ się śpiew jakiś smętny.

— Wodnica! — zawołano zewsząd — dziewczyna-wodnica.

Od lasu w istocie szła dziewczyna; długie jej, czarne kosy rozwiewał wiatr wieczorny; wyniosła, smukła, biało odziana, wyglądała jak widmo wśród mroków. Idąc, śpiewała pieśń, której dźwięki rozpływały się w cichem, wiosennem powietrzu.

Zbliżyła się do gromady, lecz zatrzymawszy się, przestała śpiewać i długo patrzyła na obecnych. Lica jej były bladawe, tylko usta odznaczały się, jak kalinowe jagody; oczy wielkie, głębokie i zielonawe jak toń wodna, miały wyraz nawpół smutny, nawpół dziki; nad niemi brwi krucze, nieco ściągnięte, czerniły się na czole, które okrywał ruciany, dziewiczy wianek.

Przezwisko jej dawane pochodziło stąd, iż istniało mniemanie, że była w rzeczy samej córką wodnic; do owej wiary przyczyniała się jeszcze dziwaczna jej natura.

Krążyła wciąż bez celu od wioski do wioski, widywano ją również w puszczy, a zwierz dziki nie czynił jej szkody.

Wśród ludu budziła bojaźń, połączoną z uszanowaniem; mogła chodzić wszędzie bez obawy, nikt nie ośmieliłby się wyrządzić jej jakiejkolwiek krzywdy; tylko dzieci jej się nie bały i zbiegały się dokoła niej, jak ptaszki, kiedy zawitała do wsi; bo wodnica zdawała się je lubić, pieściła je i igrała z niemi; z dorosłymi zato była zawsze dzika i nieprzystępna. Matki ze strachem patrzyły na te zabawy z dziećmi, drżąc, by którego nie porwała; powszechne bowiem było mniemanie, że wodnica lubi kraść dzieci i młode dziewczęta.

Po chwili długiego milczenia, ozwała się wreszcie śpiewnym głosem:

— Wesoło bawicie się, wesoło, pieśni wam płyną jak woda, ale przyjdzie czas, że i wasze usta umilkną dla śpiewów radosnych, jak i moje umilkły.

Ot, oczarował ktoś usta moje, że tylko smętnie nucić umieją! Ale co tam! zdejmę owe czary, znam takie ziele! A wtedy zaśpiewam wesoło, aż mi się odśmieją bory i puszcze. Bo teraz, gdy idę borem, to drzewa się pochylają, pytając: „Dzieweńko, czegoś ty taka smutna?” A kukułka w lesie kręci główką, zagląda i pyta: „Czemu ty śpiewasz tak żałośnie?...”

Ale powiadam wam — zawołała nagle, dziko potrząsając ręką: — nadejdzie dzień, kiedy i ja się radośnie roześmieję; nadejdzie niedługo, obaczycie!

Och, te zmory nocne! — mówiła ze skargą w głosie— te zmory, co mnie nocą nawiedzają! Czyż nigdy nie spocznę? Czyż zawsze nocnice będą nawodzić na mnie sny niespokojne, gdzie tylko śmierć, krew!...

Oczy jej zaczęły błyskać dziko, patrzyła przed siebie jakby w przerażeniu, jak gdyby spoglądała na straszne obrazy, jej tylko widome.

— Ale trzeba pieśnią odegnać ten urok! — zawołała nagle, ocknąwszy się.

I poczęła nucić cicho:

— Czegoś mi tęskno; pójdę w las zielony, kędy zuzula ulata,
Las taki pusty, las taki ciemny, nie znajdzie mię w nim tęsknota!
Poszła dziewczyna w puszczę zieloną, tęsknica za nią w ślady.
Gdzież ja przytulę główkę zbiedzoną, jakże smutkowi dam rady?

Albo mi trzeba siwym kaczorem po czarnem morzu popłynąć,
Albo mi trzeba bystrym sokołem wzlecieć w obłoki i zginąć.
Albo przeciekać modrym potokiem i w ciemnej łozie się schronić,
Aby mię w polu, w polu szerokiem, smutek już nie mógł dogonić.

Nie płyń, dziewczyno, siwym kaczorem po czarnej morskiej toni,
Bo cię tam smutek dojrzy z daleka, białą kaczuszką dogoni.
I nie leć w górę bystrym sokołem—smutek bystrzejsze ma pióra:
Jastrzębiem spadnie na cię z obłoku, krew twą wypije jak zmora.

I nie płyń w łozie modrym potokiem: smutek cię w bagno przerzuci,
Będzie ci mącił spokojne wody, nurt twój przejrzysty zakłóci...
Po białym świecie we łzach się błąkam, głowy swej nie mam gdzie [skłonić...
Kędyż ja pójdę, w jaką krainę, by smutek nie mógł dogonić?
Oj, nie masz, dziewczę, krainy takiej—wszędy tęsknica dogoni...
Chyba się w ziemię skryjesz głęboko i uśniesz cicho w jej łonie...

Milczenie zapanowało dokoła; wodnica przestała śpiewać; dziewczęta smutnie pochyliły głowy; zdawało się, iż wszyscy poczuli szpony tego jastrzębia, co się smutkiem zowie...

Miesiąc już wypłynął wysoko i srebrne pasma rozścierał na murawie.

Woń wiosennych kwiatów unosiła się w powietrzu, lekki wietrzyk szeleścił w łozie, rosnącej nad potokiem, kędy już słowik odzywał się nieśmiało. Las kołysał się poważnie i, odziany w białe tumany, szeptał cóś tajemniczo.

Spokój wiosennego wieczoru rozlewał się wokoło — wszystko było łagodne, ciche, niby rozmarzone — gdy nagle jakaś wrzawa rozległa się w oddali; rosła, wzmagała się z każdą chwilą, wreszcie napełniła całą okolicę.

— Cóś się stało!—zawołali obecni, zrywając się—cóś się stało!—Matki poczęły z trwogą zwoływać dzieci, nawoływania ich rozlegały się szeroko ponad wodą i w zaroślach leśnych.

Człowiek zdyszany nadbiegł, krzycząc: — Ludzie, ludzie! nie wiecie, co się dzieje? Obalono krzyż, stojący nad drogą na rozstaju, tuż koło bram grodu!

— Kto, kto go obalił?—pytano, skupiając się dokoła nowoprzybyłego.

— Nikt jeszcze nie wie, ale chwytają ich tam. Ani chybi, poganie z puszczy to zrobili; któżby inny?

— Tak, ani chybi, to oni—potwierdzili zgromadzeni, żegnając się pobożnie. — Pewnie owi myśliwi, którzy tu się kręcili wśród tłumu.

— Powiadają, że pojmano jakiegoś dziada gęślarza, ale się z rąk wymknął — ozwał się drugi, przybywający z miejsca wypadku. — Królewscy pachołkowie ścigają zbójów.

Wszyscy zaczęli dążyć w stronę miasta, zdjęci ciekawością. Im bliżej grodu, tem bardziej tłumy się zwiększały, cisnąc się, by ujrzeć, co się dzieje.

— Król srodze ukarze sprawców owego bezprawia, — ozwał się ktoś w tłumie.

— Jeśli ich tylko pojmają? — mruknął drugi.

— Pojmali! Pojmali! — rozległ się krzyk niedaleko.

Kilkunastu pachołków królewskich na koniach, zbrojni w miecze i łuki, zbliżało się, wiodąc w pośrodku człowieka, odzianego, jak zwykle siedlacy, w szarą świtkę i lipowe chodaki.

Twarz jego łagodna była w tej chwili wielce zalękniona, i, jakby sam nie wiedział, co się z nim dzieje, rzucał dokoła wzrok trwożny i niespokojny.

— Patrzcie go! Poganin przeklęty!—wołano zewsząd — jaki teraz z niego baranek! Do grodu z nim, powiesić!

— Utopić! — krzyczeli inni.

Niektórzy nawet rzucili się, chcąc go wyrwać z rąk straży, by spełnić ową groźbę, ale pachołcy rozpędzili ich płazem miecza.

Wieczór już był zupełny, gdy tłumy stanęły u bram grodu.

Kielce były wówczas niewielkiem miastem, otoczonem rowem głębokim, napełnionym wodą, ponad tem wznosił się wał z ostrokołem.

Wewnątrz znajdowało się kilkadziesiąt drewnianych budowli, krytych słomą, kędy mieszkali rzemieślnicy i handlarze, oraz ludzie, należący do dworu króla Chrobrego. — W środku był wielki plac, służący za miejsce zgromadzenia oraz za salę sądową niekiedy. W dnie targowe napełniał się on przekupniami i handlarzami, z różnych stron przybyłymi. Na jednym końcu wznosił się dwór królewski, zbudowany z modrzewia, stał na podmurowaniu kamiennem, w środku obszernego podwórca, otoczonego ostrokołem.

W oknach jego płonęły już światła.

Kiedy pachołkowie owi, wiodący winowajcę, znaleźli się na placu, naprzeciw nich wyjechał mąż jakiś na koniu,

ubrany bogato, widocznie z dworu królewskiego, i zawołał na zbliżających się:

— Odprowadzić go do ciemnicy! Jutro król sam rozsądzi sprawę.

Pachołcy natychmiast skręcili w boczną uliczkę, a tłum zwolna rozpraszać się począł, z zamiarem jednak zgromadzenia się tu na jutro, by ujrzeć sądy królewskie.

— Strach, co to jutro będzie! — mówiono w tłumie — nie długo nosić głowę na karku temu poganinowi.

— O, król go pewnie nie pożałuje! Będzie miał za swoje! Nasz król wielce srogi na podobne świętokradztwo. Czy pamiętacie, jak ukarał tego, co nie zdjął czapki przed Najświętszym Sakramentem?

— A ktoby tego nie pamiętał? Oj, niech nas Bóg broni od jego gniewu! Wolałbym, ot, choćby zaraz utopić się w Wiśle, niż się na niego narazić.

— I ja to samo.

— Ale to dziw, że tylko jednego pojmali; musiało przecie być ich tam więcej.

— Co za dziw? Uszli w las, jak ten dziad ladaco... Oni sobie pomagają wzajemnie.

— Mówią — dodał inny, zbliżywszy się i głos zniżając tajemniczo, — mówią, że w puszczy jest ich jak mrowia, a władzę nad nimi trzyma jakowyś książę, czy wojewoda starszy, który, gdy spojrzy, to drzewa schną pod jego wzrokiem. Nad nimi sam dyabeł władzę dzierży, bo na Łysej górze ukazują się teraz co nocy jakieś krwawe ognie, jakby tam szatany zbierały się na harce piekielne. Onegdaj, powiadam wam, mój chłopak omal nie umarł ze strachu. Wstał w nocy, by zapędzić krowę, która wyszła z obórki, wtem, patrzy, a szczyt góry niby cały w ogniu. Obejrzał się, a tu już i znikło wszystko. Oczy sobie przecierał, nie wierząc czyli śni, czy widzi na jawie.

— Nie pierwszy to raz ludzie widywali to przed waszym chłopcem; i to właśnie nie wróży nic dobrego; pewnie

jakaś bieda będzie na świecie... może powróci panowanie onych piekielnych bogów pogańskich, których król Mieszko powyrzucał ze świątyni.

— Nie mówcie tego, abyście nie wywołali licha... Niech szczeźnie, niech przepada na cztery wiatry! — przerwał towarzysz mówiącego, żegnając się przy tem trwożliwie.

— Gdyby Świst - Poświst powrócił, mściłby się strasznie na nas, żeśmy go odstąpili.

— Cicho tam obaj! bo jakby was księża posłyszeli, mielibyście się z pyszna! — zawołał trzeci.—Nie boję się powrotu starych bogów, bo nasz wielki Bóg silniejszy, każe sobie budować piękne murowane świątynie, kiedy tamci przestawali na nędznych, drewnianych klitkach, gdzie im pewnie nieraz woda ciekła na głowę, każe sobie wciąż śpiewać i bić we dzwony; jest daleko bogatszym od tamtych. Czemuż zresztą tamci, kiedy tacy mądrzy i silni, nie bronili się, gdy ich wyrzucano? Nie, nie boję się ja powrotu starych bogów, oni na to za głupi!

I tak zawyrokowawszy, poszedł dalej.

Głosy rozmawiających coraz bardziej się oddalały w ciemnościach, ucichły wreszcie całkiem. Rozchodzili się w różnych kierunkach.

Miesiąc tymczasem w kształcie wielkiej, czerwonej kuli zapadał za lasy, dalekie wycia wilków zdawały się go żegnać przy odejściu, z głębi boru raz po raz rozlegał się krzyk puhacza.

Dziewczyna-wodnica szła przed siebie, w stronę zapadającego miesiąca, szaty jej długo bielały w nocnych cieniach i długo jeszcze, gdy znikła, słychać było śpiew jej nawpół smętny, nawpół dziki.

II.

Nastał wreszcie ranek, słoneczny, ciepły, pełen szczebiotu ptactwa. Na targowym placu, w grodzie, zgromadziły się tłumy ludzi, ciekawe, jak król osądzi świętokradcę.

Podwórzec przed królewskim dworcem roił się od dworzan i służby, przygotowującej wszystko przed ukazaniem się pana.

Nagle uwaga ludu odwróciła się w inną stronę. Z bocznej uliczki ukazali się pachołki, wiodąc owego człowieka, wczoraj pojmanego. Był osłupiały i wylękły, jak wczoraj, od czasu do czasu zaś uśmiechał się z miną ogłupiałą. Tłum zaczepiał go drwinami i żarcikami, lecz on nie odpowiadał na nie. Wtrącono go wreszcie w podwórze, brama się otwarła, a pachołki stanęli przy niej na straży, nie wpuszczając nikogo do wnętrza. Lud cisnął się ciekawie, by dojrzeć cóś przez ostrokół przynajmniej. Przed dworem był rodzaj przedsionka, wspartego na czterech słupach; tam zgromadził się cały orszak królewski, który był teraz postawiony na stopie niezwykłej okazałości, gdyż król Chrobry przyjmował posłów szwagra swego, Swenona, króla Danii.

Powróciwszy niedawno ze zwycięskiej wojny z cesarzem Henrykiem, król objeżdżał, swoim zwyczajem, kraj cały, czujnem okiem śledząc wszystko, co się tyczyło pomyślności jego. Choć to nie był dzień oznaczony na sądy, Bolesław, ilekroć ukazywał się ludowi, lubił, by się to odbywało z pewną okazałością, starając się tem oddziaływać na barbarzyńskie jeszcze umysły. I teraz więc przedsionek cały obwieszony był i wysłany makatami i czerwonem suknem; na wzniesieniu przygotowano miejsce dla króla, a dokoła ławy dla jego orszaku.

Właśnie, gdy przyprowadzono więźnia, dwór znajdował się już tam zgromadzony; starzy dostojnicy, po większej części składający jeszcze radę króla Mieszka, zasiedli na ławkach w półkole. Byli to owi dwunastu wojewodów, nieod-

stępni doradcy Bolesława; wśród nich wyróżniał się Sieciech Toporczyk, jeden z najzamożniejszych i najzasłużeńszych, bogaty tak, że mógł w lat kilka potem dopomódz św Brunonowi, gdy kapłan ten wybierał się apostołować w Prusiech.

Dalej zasiedli duńscy rycerze, posłowie króla Swenona, odziani w swój strój narodowy, o orlich rysach, jeszcze ostrzej odbijających od łagodniejszych, okrągłych twarzy słowiańskich; najbardziej jednak wyróżniali się w tem kole ową dumną nieugiętością, cechującą każdy ich ruch i spojrzenie. Znać było, iż należeli do owych śmiałych królów morza, którzy wraz ze Swenonem mieli wkrótce podbić Anglię.

W pośrodku koła siedział mąż w sile wieku, bo liczący zaledwie lat trzydzieści kilka, niezbyt wysoki, ale silnie zbudowany, o obliczu wspaniałem i energicznem, z którego biła odwaga i wielkość umysłu; uosabiał on dostojność i majestat prawdziwie królewski.

Był śniadej cery; krótka, czarna, nieco kędzierzawa broda ocieniała twarz jego; z pod brwi, jak dwa skrzydła krucze, patrzył wzrok sokoli, zdający się na wskróś wszystko przenikać; a była w tym wzroku taka potęga i tyle mocy niepokonanej, że nie było człowieka, coby się nie uczuł małym wobec niego; po iskrach też, które się zapalały niekiedy w tych oczach, można się było domyślać, jakie straszne błyskawice ciskały one w gniewie, albo wśród boju, jakie pioruny drzemały w tej ciszy.

Purpurowy płaszcz, spięty bogatą klamrą, na prawem ramieniu zwieszał się i spadał na dół w bogatych fałdach.

Zdjął właśnie z głowy, okrytej ciemnym, bujnym włosem, piękny soboli kołpak z czaplą kitką, i na dumną tę głowę i czoło wyniosłe padł złocisty, gorący promień słońca, i ognistą iskrę zapalając w purpurowej tkaninie i dyamentowej spince u kołpaka, takie światło rozlał dokoła, że cała postać króla zdawała się rzucać blask od siebie.

Za królem stali wojacy, młodzi po większej części, ze złotymi na szyi łańcuchami w nagrodę męstwa i zasług wojennych. Wszystkim też odwaga i męstwo patrzyło z oczu, bo takimi tylko król Chrobry lubił się otaczać. Znajdował się tam również opat Tuni, cieszący się wielkim szacunkiem króla, powiernik jego najskrytszych zamiarów. Był to człowiek niewielkiego wzrostu, średniego wieku, suchy i zawiędły, tylko czarne, głębokie oczy świeciły w jego twarzy żywym, niekiedy niespokojnym blaskiem, miarkowanym jednak powagą i pobożnością, właściwą duchownej jego sukni.

Gdy więzień spojrzał na owego męża, siedzącego w pośrodku, upadł na twarz, bo domyślił się, że stanął przed obliczem królewskiem.

Bolesław zdawał się być bardzo zagniewany; twarz jego na pozór była spokojna, ale oczy sypały iskry; wyglądał jak lew, który potrząsa grzywą i gotuje się zaryczeć, by rykiem tym zachwiać posady ziemi. Nie zauważył jeszcze przybycia więźnia.

— Pięknie się tu rządzili w mojej nieobecności—mówił, mnąc gniewnie koniec purpurowej delii:—dopuścili, by pogaństwo znów podniosło głowę zuchwale; ale ja nie zezwolę na to, jako Bóg żywy, nie zezwolę. Kto nie ugnie głowy, ten ją straci!

I machnął ręką, jakby wskazując, co zrobi ze wszystkiemi owemi zuchwałemi głowami.

Za królem stał ulubieniec jego, nieodstępny towarzysz, Stoigniew.

— Miłościwy panie — rzekł, pochylając się nieco, by być posłyszanym, — przyprowadzono owego człowieka, którego pojmano wczoraj.

Król spuścił wzrok gniewny na wciąż jeszcze leżącego więźnia.

— Podnieś się! — zawołał rozkazująco.

Lecz przestraszony biedak, nie słysząc lub też nie spodziewając się, by słowa owe do niego skierowane były, nie ruszył się wcale.

— Ładonie! — ozwał się król do jednego z młodych rycerzy, stojących za nim — idź, powiedz temu głupcowi, by wstał!

Wezwany zbliżył się do wieśniaka i dotknąwszy jego ramienia, rzekł:

— Podnieś się, król chce z tobą mówić.

Wieśniak zerwał się na równe nogi, jakby poruszony sprężyną.

— Czy to prawda, żeś ośmielił się zwalić krzyż, stojący przy drodze? — spytał król, ściągając brwi.

— Wasza miłość... panie miłościwy — jąkał się przerażony biedak, — ja nie, ja nie wiem, to tamci... ja tylko z daleka patrzyłem.

— Mów prawdę — rzekł król surowo; — poznam zaraz, gdy skłamiesz. Kto tamci? kto był więcej z tobą?

— Albo ja wiem, panie miłościwy?... Było ich tam dużo... czyż mogłem wiedzieć, kto oni? Bies ich tam wie — mówił wieśniak, mnąc czapkę w ręku.

— Powtarzam ci, mów prawdę, bo źle wyjdziesz na tem, gdy zechcesz oszukiwać — ozwał się znów król. — Naprzód powiedz: Czy jesteś ochrzczony?

— Tak se niby... — odrzekł wieśniak, a nogi pod nim drżały, gdy poczuł na sobie ów gniewny wzrok króla. Ochrzczonym — wybełkotał wreszcie.

— A no, zobaczymy zaraz... Przeżegnaj się!

Wieśniak wahał się, nie wiedząc, co zrobić.

— Przeżegnaj się! — powtórzono dokoła.

Wieśniak zrobił znak krzyża, ale lewą ręką.

— Lewą ręką się żegna! — powtórzyli obecni ze śmiechem.

— Widać zaraz, jaki z ciebie chrześcijanin — rzekł król surowo: — nawet przeżegnać się nie umiesz... Czy niema księdza w waszej okolicy?

— A ino, miłościwy panie — odparł wieśniak, — nasza osada wśród puszczy... Starzy ludzie rozpowiadają, że był u nas raz ksiądz i ochrzcił wszystkie dzieci, ale ja tego nie pomnę; tylo macierz moja mówili, żem ochrzczony także.

— Stoigniewie — rzekł król, — trzeba im tam zaraz posłać księdza, pierwszego lepszego, jaki się znajdzie pod ręką.

A zwróciwszy się do wieśniaka, spytał:

— Jak ci na imię? Jak się zowie wasza osada?

— Ja się zowię Chrząszcz, a nasza osada Bednary, bo tam sami bednarze — odrzekł chłop.

— A teraz mów dalej: kto zwalił krzyż? Przyznaj się, to ci daruję, inaczej srodze zostaniesz ukarany — rzekł król.

— A dyć ja nic nie wiem, miłościwy królu! — zawołał wieśniak, padając na kolana— pomiłujcie mię... nic nie wiem!

Okrągłe jego oczy przybrały wyraz przerażenia.

— Mów prawdę!—krzyknął król, porywając się z błyszczącem okiem — znam was! Pokrywacie się wzajemnie, ale ja wiem wszystko; daremnie chcesz mię oszukać. To zrobili myśliwi i drwale z puszczy, za namową dziada owego! Wszakże tak? Nie możesz teraz zaprzeczyć, skoro wiem wszystko!

Wieśniak popatrzył zdziwiony na króla; nie mogło mu się pomieścić w głowie, iż wiedział wszystko tak dokładnie.

— A więc tak, wasza prawda, wielki królu! — odrzekł, drżąc na całem ciele, bo był teraz przekonania, że król jest wszechwiedzącym — to oni zrzucili krzyż, ale jam nie winien... niech mię piorun spali, jeśli kłamię...

Bolesław zdawał się rozbrojonym jego szczerym przestrachem; wielka jego dusza gardziła pastwieniem się nad słabą, nędzną istotą, rzekł więc łagodniej:

— Widzisz, że wiem wszystko. Dlaczegóżeś od razu nie powiedział? Kto inny zawinił, a ty byłbyś ukarany. Mówiłem ci przecież, że jeśli powiesz prawdę, to będzie ci darowanem.

— Wasza miłość — odrzekł wieśniak, drapiąc się w głowę, ośmielony nieco łaskawszym tonem króla,—albo to zawdy można wierzyć temu, co wielcy obiecują?

I przelękniony tem, co mu się w prędkości wypowiedziało, nagle spuścił głowę.

— A często cię wielcy oszukiwali? — spytał go król z uśmiechem.

Wieśniak obejrzał się po otaczających króla panach; na twarzy jego odbił się ów charakterystyczny wyraz chłopskiej chytrości, ale nic nie odrzekł.

— No, abyś wiedział, że ja do tych wielkich nie należę — ozwał się król po chwili — i że zawsze zdzierżę słowo, puszczam cię wolno; możesz sobie iść, gdzie chcesz.

Na te słowa wieśniak padł na kolana znowu i czołem uderzył o ziemię, wyrażając swoją wdzięczność.

Potem oddalił się uradowany, a gdy znalazł się na placu, podrzucił kilka razy czapkę w górę z radości. Wśród tłumu ozwały się okrzyki na cześć króla; bo choć wczoraj srożyli się na poganina, jednak radzi byli, że król łaskaw na biednych ludzi.

— Miłościwy panie — ozwał się jeden z wojewodów, któremu nie do smaku były ostatnie słowa wieśniaka, — puściliście tego człowieka, a on może nie tak niewinny, jak się wydaje, ino postać taką przybrał na siebie.

— Wojewodo — odparł król, — ciekaw jestem, czybyście radzi byli wszyscy, gdybym chciał dochodzić tak ściśle każdej winy waszej. Jeśli człek ten zawinił, to zgrzeszył bardziej ciemnotą i nieświadomością, niż złą wolą. A teraz dość już o tem.

Posłowie duńscy dziwowali się wielce, iż król tak się troszczy o zrzucenie jednego krzyża; ich bowiem monarcha obalał sam owe godła chrześcijaństwa, wracając do dawnej wiary przodków, której ojciec jego Harald wyrzekł się był przed laty. Teraz więc przyznawali słuszność wyrokowi Bolesława.

— Na Odyna! — ozwał się jeden z nich półgłosem — nasz król Sweno jeszczeby podobny czyn nagrodził!

— Daleko jednak Swenonowi z rozdwojoną brodą do tego mądrego króla Polanów! — szepnął jego towarzysz.

— Bo też ich kraj daleko bogatszy i potężniejszy.

— A ich król wielki! To trzecz główna, bracie — rzekł cicho trzeci poseł.

— Co mówicie, rycerze? — ozwał się król, spostrzegłszy, iż Duńczycy rozmawiają o nim — czy może nie do smaku wam mój wyrok, jak wojewodzie Sobiesławowi?

— Nie, królu — odrzekł najstarszy z rycerzy duńskich, — podziwialiśmy owszem mądrość waszą w tym wyroku i powiadamy, że nie dziw, iż nasz król u was szukał sobie małżonki, bo gdym się przyjrzał bliżej, to widzę, że między naszym a waszym narodem wiele jest podobieństwa.

— Jakież to podobieństwo? — spytał król.

— Jakto! więc go nie widzicie? — odrzekł Duńczyk. — A ot takie, że wy pijecie miód i my go pijemy; wy nienawidzicie Niemców i my też zbytnio ich nie miłujemy; wy ich bijecie i my często mieczem ich po łbie głaszczemy. Małoż więc między nami podobieństwa?

— O, co do tego, żeby bić Niemca — odparł król z uśmiechem, — to zgadzam się, że jedna u nas natura z wami! Lecz między mną a waszym królem jest wielka różnica — dodał nagle, powracając do zwykłej powagi, a na twarzy jego odbiła się myśl jakaś wielka. — Różnica jest taka, że ja stawiam kościoły, a on je burzy.

A wojewoda Sieciech szepnął do Sobiesława:

— Trzeba było dodać, że książę Mieszko umarł swoją śmiercią, a Sweno ponoś tam pomógł ojcu swemu Haraldowi, by mu prędzej tronu ustąpił.

— Miłościwy królu — ozwał się rycerz duński po chwili milczenia, — to właśnie przywiązanie do starej wiary jednym jest jeszcze dowodem nienawiści naszej do Niemców. Nie chcemy nawet wierzyć w to, co oni.

Tymczasem lud zgromadzony na placu rozchodzić się począł powoli; słońce, wypłynąwszy do połowy nieba, dogrze-

wało już dobrze i służba zgromadzona na podwórzu usunęła się w cień poblizkich drzew.

Posłowie duńscy oddalili się również, przy królu więc pozostało tylko poufałe kółko. Rozmowa też stała się swobodniejszą.

— Widzę, że zaniedbałem tę część królestwa — mówił Bolesław w zamyśleniu, — więc, o ile mi teraz czas pozwoli, całą mą baczność tu właśnie skieruję. Trzeba koniecznie wykorzenić ostatki pogaństwa; gdy inaczej nie można będzie, to choćby mieczem nawet. Miecz niekiedy lepiej chrzci upartych, niż woda!

— Nie, królu — ozwał się opat Tuni, — pozwólcie rzec sobie, że źle jest uciekać się najpierwej do miecza; pomnijcie, że kto mieczem wojuje, od miecza ginie. Niech tam wprzód pójdzie słowo Boże, a gdy ono nie podoła, będzie się można uciec do miecza.

— Tak, a tymczasem będą myśleli, że się ich boję — odparł król. — Już i tak ich zuchwalstwo doszło do niesłychanej miary. Dość mam kłopotu na granicach z obcymi, jeszcze i ci będą mi tutaj bróździć! Nie myślę wcale długo się z nimi wodzić, nie mam na to czasu, bo jest dosyć ważniejszych rzeczy na głowie. Tylko co nie widać, jak cesarz zrobi nam znów jaką sztukę; czuję to dobrze; nie czas więc zajmować się wtedy tymi łotrami; trzeba z nimi teraz skończyć, zgnieść w samym zarodku, bo inaczej mogą jeszcze podnieść głowę kiedyś groźnie.

— Miłościwy królu — ozwał się opat Tuni, — posłuchajcie mojej rady: trzeba najpierw spełnić obietnicę, któraście zrobili siostrzanowi, księciu Emerykowi, to jest wystawić kościół na Łysej górze, a najlepiej i klasztor przy nim zbudować, sprowadzić do niego Benedyktynów z Włoch. Gdy tak to ostatnie schronienie pogaństwa zostanie poświęcone służbie Bożej, to i lud wyjdzie z grubej ciemnoty i zabobonów, w których jest dotąd pogrążony, bez użycia gwałtownych środków.

— Słusznie mówicie, ojcze — podchwycił król żywo. — Ciągłe wojny i niepokoje nie dozwoliły mi spełnić danej siostrzanowi obietnicy, choć mi to nieraz już przychodziło na myśl. A nawet doznałem szczególniejszej łaski św. Maurycego, że po kilka razy we śnie przypominał mi ślub uczyniony. Szczęśliwy więc będę teraz, mogąc go spełnić. Kto wie — dodał w zamyśleniu, — może to ma większe znaczenie tam w górze, niż my ludzie słabym rozumem dojść możemy; może Bóg przez Świętych swych we śnie chciał mię ostrzedz, że od tego zależy bezpieczeństwo wiary świętej w naszym kraju. Wam, ojcze, polecam tę sprawę; zajmijcie się sprowadzeniem owych Benedyktynów; ofiaruję na to złota, ile tylko będzie potrzeba, jak również na budowę klasztoru.

— Jutro zaraz napiszę list do przeora klasztoru w Monte-Casino — odrzekł opat spokojnie — i sądzę, że można go będzie wkrótce wysłać... niech tylko goniec będzie w pogotowiu.

— A więc wszystko dobrze — rzekł król uradowany;— trzeba teraz zająć się budową klasztoru. Do was, wojewodo Sieciechu, należy dostawienie robotnika i budowniczych; postarajcie się, by wszystko było jak można najprędzej.

— Trzeba, miłościwy panie, sprowadzić ich z niemieckiej ziemi — odparł Sieciech, — jak wówczas, gdy stawialiśmy klasztor w Międzyrzeczu.

— Z niemieckiej ziemi! — powtórzył król. — Kiedyż przestaniemy sprowadzać wszystko z niemieckiej ziemi! Kiedyż będziemy mieli u siebie co nam potrzeba!

— Przyjdzie kiedyś ów czas, miłościwy królu — wmieszał się Stoigniew, — jeszcze Niemcy będą od nas niejedną rzecz brali.

— No, nie powiem, by i teraz nic od nas nie brali — rozśmiał się jeden z wojewodów, Nawój. — Biorą od nas po łbie, gdy go wsuwają w nasze granice.

Głośny śmiech rozległ się po tych słowach i rozmowa przeszła na ton lżejszy.

— Oj! za mało, widać, wzięli od nas, wojewodo — wyrzekł król, — bo wciąż nam bróżdżą.

— To im dołożymy, miłościwy panie — odrzekł żywo wojewoda.

— Mam i ja w Bogu nadzieję, że im jeszcze dołożymy z pomocą moich dzielnych zuchów, którzy już nieraz Niemcom dali się we znaki — zawołał król.

I z uśmiechem obrócił się do kilku wojaków, stojących nieopodal.

— Niechby już prędzej iść na tych Szwabów! — odezwał któryś z nich raźno.

— Tak wam się śpieszy? — spytał król. — Czyście dawno wrócili z wyprawy na nich?

— Cóż z tego, miłościwy panie? Gdy człek do czego przywyknie, to bez tego żyć nie może — odrzekł jeden z wojaków, Zbilut, małego wzrostu, żwawy, z czarnemi, bystremi oczyma.

— A jednak był czas, iż ochotnie biłeś się za Niemców — rzekł mu król.

— Eh, miłościwy panie, wówczas to było co innego. Cesarzowi Ottonowi nie żal było służyć, bo był to pan dobry i mądry, a wielce nam przyjazny — odparł Zbilut. — Gdyście nas, miłościwy panie, posłali z nim do włoskiej ziemi, to było nam tak dobrze, że trudno już lepiej, bo cesarz patrzył na nas okiem nader łaskawem i hojnie nagradzał. Prawda, że choć nas było tylko trzystu, aleśmy mu niemałą byli pomocą, a po jednej bitwie w pobliżu jakiegoś grodu... nie pomnę już, jak go zwano... każdego z nas obdarzył pasem rycerskim i złotym łańcuchem.

— Miłościwy królu — ozwał się wojewoda Bożydar z uśmiechem, — na drugi raz nie wysyłajcie w pomoc obcym panom najdzielniejszej naszej młodzi, bo jeszcze na zawsze zostaną na obczyźnie... tak im się tam spodobało. Mój syn, od kiedy wrócił, to jeszcze zapomnieć nie może owej pięknej

włoskiej krainy, kędy, mówią, wiecznie słońce świeci; wciąż o niej ino marzy, we śnie i na jawie.

— Prawdaż to, Ładonie? — spytał król stojącego za nim młodego rycerza.

Był on pięknej, wyniosłej postawy, jasnych włosów i niebieskich oczu, o śmiałem, ale łagodnem wejrzeniu. Na zapytanie króla rzekł swobodnie:

— Prawda, miłościwy panie, bo gdy wspomnę o pięknych warownych grodach italskich, to zawsze żałuję, czemu u nas niema jeszcze podobnych.

— A Gniezno? — ozwał się któś z obecnych.

— Zaraz znać, żeście nigdzie więcej nie byli — odrzekł Ładon z zapałem. — Gdzie Gniezno równać można, nie mówię z Rzymem, ale choćby z innymi pomniejszymi grodami włoskiej ziemi! Gdzie u nas aby jeden taki kościół murowany, jaki u nich w każdym grodzie! A gdy staniesz przed którem malowaniem, to ci się zdaje, że naprawdę żywi Święci zstępują z nieba. I śpiewają też po kościołach pięknie, jak aniołowie, że u nas nikt nawet nie słyszał czegoś podobnego.

— Ejże! cości zanadto wspominasz owe grody italskie! — przerwał król z uśmiechem — widzę i ja teraz, że bardzo cię tam cóś ciągnie.

— Nic innego, tylko to, co mówiłem, miłościwy panie — odrzekł Ładon; — bo co do reszty, to wiele rzeczy tam nie przypadło mi do smaku i myślałem, że u nas jest lepiej. Naprzód, nie mordują się tak i nie zabijają jak u nas na każdym kroku...

— Niechaj ich tam, tych Włochów! — przerwał Zbilut — ja znów myślałem nieraz, że nie chciałbym ich świetności, ni bogactw, gdybym miał wciąż się obawiać noża albo trucizny. Gdy wdowa po owym Krescencyuszu, którego cesarz Otton na śmierć skazał, otruła później cesarza, rzekłem sobie: „Niech was, mili Włosi, jasny piorun trzaśnie z waszymi grodami, murami i słońcem! Wolę ja nasze niebo, często chmurne, i naszych ludzi, prawda, nie bardzo świe-

tnych, lecz z sercem szczerem i bez zdrady w duszy. Nie wiem, co tam Ładonowi tak się podobało; bo, co do mnie, rad byłem, gdyśmy już stamtąd wyszli nareszcie, bo a nużby mię żgnął który w bok nożem? Wcale nie jestem tchórzem, ale takiego upominku nie życzyłbym sobie.

— Ja nie miałem przyczyny obawiać się ich noża, to też nie tak mi się śpieszyło — odrzekł Ładon spokojnie; — wiedziałem, żem na niego nie zasłużył, to pocóż miałem bać się? Ale, co prawda, to prawda; pięknie tam u nich: szerokie gościńce, bogate grody, kędy się zbierają kupcy z czterech końców świata; kościoły, zamki! Żeby u nas choć połowa tego była, dopiero bylibyśmy potężni i Niemcy nie drwiliby z nas, że mieszkamy w chlewach.

— Ot, miłościwy panie — ozwał sie wojewoda Nawój, na Ładona wskazując, — młody, a jak zaczął opowiadać o tych krajach dalekich, to my starzy gęby pootwieraliśmy z podziwu. Żebyż to Bóg dał, by i u nas było tak kiedy!

— Będzie — odparł król, — jeśli mi wszyscy w tem pomagać będziecie, i starzy i młodzi, by wykorzeniać ślady dawnej dzikości; bo mnie, jednego człowieka, nie stać na to, jeżeli nie znajdę pomocy w poddanych.

— O, miłościwy panie — zawołał Ładon z zapałem, — któżby wam nie chciał w tem pomagać? Wszyscy jesteśmy gotowi...

Ale umilkł, przypomniawszy sobie, że nie do niego wprost zwrócona była mowa i że wmieszał się do rozmowy starszych.

— Wiem, że każdy z was, tu obecnych, gotów mi w tem pomagać — odrzekł Bolesław, który zdawał się zadowolonym z zapału, z jakim przyjęto jego wezwanie — i liczę też na was i teraz.

— Niewiele wprawdzie mamy na to czasu, bo wciąż prawie trzeba ucierać się z wrogiem, który usilnie pragnie nas połknąć, ale przecie, przy dobrej woli, potrafimy pokazać Niemcom, żeśmy nie taka dzicz, za jaką nas głoszą...

— A co najważniejsze, potrafimy im stanąć kością w gardle — ozwał się wojewoda Nawój, żywym ruchem wskazując na gardło, na co Bolesław uśmiechnął się.

Jeszcze czas jakiś trwała rozmowa, poczem król oddalił się do swoich komnat w towarzystwie najbliższego orszaku sług i dworzan.

III.

Długa, o małych oknach izba, z podłogą czerwonem suknem wysłaną, pełna była gwaru i brzęku ostróg. Bolesław bowiem codziennie kazał zastawiać czterdzieści stołów, przy których zasiadali rycerze zagraniczni: Czesi, Morawianie, Łużyczanie, Normandowie, walczący w zastępach królewskich. Przyciągnęła ich tutaj hojność króla, obsypującego ich różnemi darami i łaskami, jak zresztą wogóle wszystkich mężnych wojaków, bo nawet ludzi nie wolnych, za odznaczenie się w boju, podnosił do godności rycerzy.

Wielkie dębowe stoły uginały się od mis i dzbanów srebrnych oraz złotych; pachołkowie roznosili stosy mięsiwa, a czary miodu krążyły bezustannie.

Bolesław zasiadł u pierwszego stołu wraz z opatem Tuni i dwunastoma wojewodami, po prawej stronie mając syna, Mieszka, hożego młodzieńca, liczącego obecnie lat ośmnaście. Widać było po nim, iż nie odziedziczył zdolności po ojcu, lecz w twarzy tej młodzieńczej malowała się odwaga i męstwo, połączone z tak zwaną „szczęśliwą naturą”, to jest dobrą, wesołą i lekką, nie stworzoną do burzliwych walk. Z oblicza przypominał swego ojca, lecz wszystko, co w tamtym było wspaniałem, męskiem, nadającem twarzy króla cóś lwiego — w nim było złagodzonem, zdrobniałem, jak i duch jego był słabem odbiciem ojcowskiego ducha. Bolesław spoglądał jednak na syna z radością i widocznie się nim pysznił; Mieszko bowiem w kilku bitwach mężnie się odznaczył

i obiecywał być dzielnym rycerzem. Wszyscy otaczający również go lubili, bo hojny był i dobry, charakteru otwartego, ujmującego ludzkie serca swą szczerością. Słowem, byłby najlepszym i najszczęśliwszym z ludzi, gdyby los nie kazał mu się urodzić na tronie.

Choć tak młody, był już zaręczony jeszcze w dwunastu leciech z Ryksą, siostrzenicą cesarza Ottona, i wkrótce małżeństwo to miało przyjść do skutku. Wszyscy wiedzieli, że prośba królewicza była wszechwładną u ojca, to też gdy obawiano się gniewu króla, zwracano się do Mieszka, a on wyjednywał przebaczenie. Bolesław bowiem, zrażony do najstarszego syna, Bezbraima, całą swoją miłość i dumę zlał na Mieczysława.

Wkrótce na salę weszła królowa Hemilda, druga i najukochańsza małżonka Bolesława; piękne jej oblicze cechowa wyraz niezwykłej dobroci i łagodności; król też okazywał je wielką cześć i przywiązanie. Wraz ze swoim dworem niewieścim zajęła ona miejsce przy drugim stole.

Pomiędzy biesiadującymi kręcił się wesołek, mały człeczek, nizki i gruby, jaskrawo odziany. Zwano go Osą, dla zjadliwego języka, a może i z powodu sprzeczności pomiędzy smukłą postacią tego owadu a baryłkowatą figurką wesołka.

— Wielki królu — mówił głosem piskliwym, — gdy pójdziesz znów na Niemca, to zabierz i mnie z sobą.

— Na cóż się nam tam przydasz, malcze? — spytał król. — Czy myślisz, że go przestraszysz swą krągłą jak piłka postacią?

— Ja obawiam się tylko tego, że twoi dzielni rycerze, królu, tak go już przestraszyli, że nie wylezie ze swej nory i widzieć go nie będę, choćbym siarczyście tego pragnął — rzekł błazen. — Boć słuchając ich przechwałek, myślę, że wielce to płochliwa zwierzyna ten Niemiec i łatwo go pokonać... więc może i ja chudziaczek potrafię mu dać radę z moją grzechotką.

— A ty złośliwa oso, wyrwę ja ci żądło! — mruknął wojewoda Nawój.

— A wojewoda Nawój, królu — prawił Osa coraz to piskliwiej i głośniej, — to ci dopiero mąż straszny... on jeden pokona stu Niemców! Radzę, poślijcie go naprzód samego, a spróbujecie.

— Cóż myślisz, głupcze, że się ich przestraszę? — krzyknął wojewoda. — Gdy będziemy dobijać się do jakiego niemieckiego grodu, to tobą kuszę nabiję!

— A co to za stateczny i rozważny mąż, królu, ten wojewoda Nawój — mówił dalej błazen, jakby nie słysząc słów wojewody: — on jeden za całą radę stanie!

— Ty zuchwała piłko! — krzyknął wojewoda w nieudanym gniewie, a wszyscy się roześmiali mimowoli, bo wiedziano, że wojewoda był nader porywczym w sądzie i król przypuścił go do rady tylko dla jego wielkiej znajomości w rzeczach wojennych.

Nawój zamierzył się na malca, lecz ten zręcznie uskoczył w bok.

— Za krótkie ręce, wojewodo! — zawołał, odbiegając.

— Natrę ja ci uszu kiedyś, poczekaj! — mruknął wojewoda.

— Będzie to wtedy, gdy rak świśnie, albo gdy nasz król odbierze Pragę! — zapiszczał Osa.

— Ale, nim ci wojewoda natrze uszu, to wpierw ja to zrobię — ozwał się król; — nadto sobie pozwalasz, błaźnie!

Nic bowiem nie mogło bardziej rozdrażnić króla Chrobrego, jak wspomnienie o utracie Czech. Błazen poznał, iż za daleko zaszedł tym razem, i oddalił się przezornie do innych stołów, gdzie siedzieli rycerze.

Właśnie przy jednym z nich Ładon rozmawiał z duńskimi posłami, którzy dziwili się licznemu zbiorowisku zagranicznych wojowników na dworze króla polskiego.

— Nasz król wielce wspaniały dla obcych gości, uważając ich jakoby za synów swoich, a nie przybyszów, to też

mu wszyscy wiernie służą — rzekł Ładon. — Gdy niedawno jeden z obecnych tu rycerzy morawskich poniósł znaczną stratę na mieniu, król niezliczonymi obsypał go darami i rzekł do obecnych: „Gdybym tego walecznego rycerza mógł wykupić złotem od śmierci, jak skarbami mymi zaradzić mogę jego niedostatkowi, tedy samą chciwość śmierci przesyciłbym bogactwami" *). Jakże tu nie służyć takiemu królowi?

— Ponoś tylko nie wszystkim wam, waleczny rycerzu, do smaku owa zbytnia hojność króla dla obcych przybyszów— ozwał się szyderczo błazen, nadchodząc. — Niejeden mąż, chwaląc inne niewiasty, powiada do swojej, by jej nie gniewać: „Aleś ty z nich wszystkich najurodziwsza; krasnaś jak słonko na niebie." A baba temu wierzy, choćby była brzydka jak wiedźma. Tak i król, by uspokoić zazdrosne szemrania, chwali i obdarza niejednego ze swoich, który wart tego tyle, co ja, ale zdaje mu się jednak, iż jest mężem wielkiej zasługi. Trzeba i mnie, widzę, zacząć szemrać, że obcy zabrali pierwsze miejsca na dworze, a może co dostanę... może król mię zrobi wojewodą? Jak mi Bóg miły, nie gorszy byłbym od innych, a może nieraz lepiejbym poradził królowi, niż niejeden z jego doradców. Błaznem każdy pogardza, a nie pomyśli, że błazen, choć nibyto kłamie, zawsze jakoś prawdę powie, podczas gdy są u nas tacy, co gdy nawet przypadkiem powiedzą prawdę, zawsze wyjdzie jakoś w końcu, że skłamali.

— Nie wiem, może są tacy zazdrośni, jak powiadasz — rzekł Ładon, — ale ja się do nich nie zaliczam. Nie zazdroszczę nikomu łaski królewskiej; wiem, że naszego króla stać na to, by był hojnym i dla swoich i dla obcych.

— Ej, rycerzu waleczny, synu wojewody, przyznaj jednak, żeś i ty nie bardzo rad temu, że król wyzwoleńców podnosi do godności waszych towarzyszy — zapiszczał znowu

*) Historyczne.

Osa. — Wy, władyki, nie chcecie nawet przypuścić tego, by chłop mógł się bić walecznie... gdzieżby to być mogło? To wy tylko jedni na świecie jesteście mężni, rozumni, wielcy... nikt więcej. Jakże to król dotąd pojąć nie mógł tego, co sam Bóg zapisał w niebie? Nawet gdy który z władyków głupi i tchórz, zawsze on wart więcej, niż chłop, co ma rozum. Nieprawdaż, rycerzu? No, nie patrz na mnie tak groźnie, a przyznaj, żeś i ty niezbyt rad takim towarzyszom broni; a nużby, uchowaj Boże, chłop który mężniejszym się od was okazał? Co wtedy?

— Jeśli kiedy okażę niezadowolenie z tego, co król czyni, to wówczas będziesz mógł gadać, co ci się podoba — odparł Ładon niechętnie; — jak dotąd, nie masz prawa! Zapominam jednak, że wdaję się w rozmowę z błaznem jak z rozsądnym człowiekiem...

— To jest stajesz się mu podobnym, szlachetny rycerzu — odrzekł Osa z ukłonem, — bo kto mówi z błaznem jak z człowiekiem, sam się błaźni. Wprawdzie nie bardzo mi to pochlebia, bo cóż się stanie z naszem błazeńskiem rzemiosłem, jeśli do niego ot tak, lada władyka, lada wojewoda, słowem lada kto przystawać będzie, by je po partacku pełnić? Dość już biedny król ma partaczy! zaraz, policzmy: między rycerzami, między radą, między urzędniki... ktoby ich tam wreszcie zliczył... Ja zaś u siebie partaczy nie zniosę. Coście wy warci zresztą?... z błazna łacno może być wojewoda, a nawet rycerz w potrzebie, a z rycerza albo wojewody nawet błazen będzie lichy!

— Kto ci w mowie dotrzyma, ty oso złośliwa! — zawołał Ładon, śmiejąc się. — Nie bój się, nie mam najmniejszej ochoty do twego rzemiosła.

— Słuchajcie mię, szlachetni witezie, tu zgromadzeni! — przemówił Osa, włażąc na ławę i tupiąc na niej, by być lepiej widzianym: — Razu jednego osieł patrzył, jak ksiądz czytał brewiarz, chodząc po łące. Gdy ksiądz odszedł, pozostawiwszy księgę na trawie, osieł podszedł i zaczął karty prze-

wracać i obwąchiwać; lecz daremnie się biedził, nic zrozumieć nie mógł. Rzekł w końcu: „Ej, lepsza trawa, niż taka zabawa; głupstwo to wszystko, tylko to mądre, co ja wiem.” Otóż tak samo ten oto rycerz powiada, że nie ma ochoty do błazeńskiego rzemiosła.

Głośny śmiech był odpowiedzią na to porównanie. Ładon śmiał się wraz z innymi, nie urażając się bynajmniej, a nawet rzucił błaznowi sztukę złota, mówiąc:

— Masz, złośliwa oso, i schowaj żądło.

— O, to nie po naszemu — rzekł Osa, kręcąc głową; — znać zaraz, żeś bywał na obczyźnie, bo u nas błazen prędzej może się spodziewać kułaka, niż złota. A cóż, czy nie prawda? — dodał, obracając się dokoła — czyż sami nie poświadczycie, że odkąd służę błaznem na królewskim dworze, więcej dostałem szturchańców, niż sztuk złota?

— Co tam prawi ten szerszeń zjadliwy? — ozwał się któryś z rycerzy, zbliżając się do rozmawiających.

— Że dużo jest trutniów na świecie — odparł krótko błazen.

Tymczasem przerwana rozmowa Ładona z duńskimi posłami znowu się toczyła dalej.

— Prawda, że u waszego króla dużo mężnych wojaków — mówił jeden z rycerzy duńskich, imieniem Sigurd, — ale niema, jak u nas, drużyn rycerskich, mających osobnego naczelnika, równego każdemu z towarzyszy poza polem bitwy, niema owego braterstwa, poprzysięganego wzajemnie między rycerzami, co tak podnosi męstwo i odwagę.

— Nie wiem, o jakich mówicie drużynach — odrzekł Ładon, — ale co do braterstwa, to ono u nas także istnieje; wielu jest takich, co je sobie ślubują aż do zgonu. Wszyscy zaś, ilu tu nas widzicie, jesteśmy rycerzami, pasowanymi na wzór zagranicznych, wszyscyśmy sobie równi, ani jeden nie może się wynosić nad drugich; gdyby zaś który popełnił jaki czyn niecny, byłby zaraz z naszego koła wygnany.

— A toć to samo nasze drużyny! — zawołał Sigurd. — Zupełnie jak między rycerzami króla Swenona. Teraz widzę, żeście naprawdę w wielu rzeczach do nas podobni.

— Cieszy mię to, bo radbym być podobnym do tak mężnych rycerzy — odrzekł Ładon uprzejmie.

— Więc u was także istnieje równość między towarzyszami broni? — spytał drugi z rycerzy duńskich, Torkil.—Bo u nas nawet sam król Sweno jest mi równym podczas uczty, a przywodzi tylko na polu boju i tam jedynie winniśmy mu posłuszeństwo.

— Chciałbym widzieć — rzekł Ładon z uśmiechem, — jakby wyglądał ten, coby naszemu królowi okazał nieposłuszeństwo w pokoju czy na wojnie. Niema takiego śmiałka na świecie, coby bez trwogi stanął przed jego obliczem zagniewanem, bo wówczas strasznym jest. To, czegoście byli świadkami dziś rano, to jeszcze nic; ale niechno go co bardzo rozsierdzi! wówczas oczy mu płoną jak żar, brwi schodzą się w jedną linię na czole... Widzieliście nieraz żubra rozwścieczonego, gdy tratując wszystko nogami, łamiąc gałęzie, pędzi przed siebie i potężnym łbem swym rozbija wszelkie przeszkody? Otóż w takich chwilach król nasz staje się jemu podobien... i niech nikt wówczas nie waży się stawać mu na drodze; nie wyszłoby mu to bowiem na dobre. Niekiedy, gdym patrzył na niego w boju, myślałem sobie, że wróg bardziej jeszcze może się zlęknąć błysku jego oczu, niż miecza, bo mnie samemu zdawało się, że za chwilę grom z nich wypadnie. Ale za to po bitwie zwycięskiej rozmawia z nami i ucztuje jak brat.

— Nasz król Sweno równie mężnym jest w boju — odrzekł Sigurd, — a jeśli bogowie dopomogą mu spełnić ślub, jaki uczynił, to świat usłyszy coś o nas.

— Jakiż to ślub? — spytał Ładon.

— A ot, jak to było — odrzekł Torkil, — opowiem wam, bom był przy tem. Król Sweno ucztował z Sigwaldem,

naczelnikiem rycerzy Wolińskich, na pogrzebie ojca Sigwaldowego, starego Strutharalda. Król ozwał się, że każdy z nich powinien złożyć dziś jakieś przyrzeczenie, godne bohaterów, którego pamięci ani śmierć, ani czas, niszczyciel wszystkiego, zatrzećby nie mógł.

. — Daj przykład, królu — rzekł mu wówczas Sigwald.

— A więc ślubuję — rzekł król — wygnać z Anglii króla Etelreda i zabrać jego państwo!

— A ja ślubuję postąpić tak samo z Hakonem, rządcą Norwegii! — zawołał Sigwald.

— My wszyscy obecni tam rycerze z okrzykami zapału przyjęliśmy bohaterskie śluby. Ale cóż, Sigwald teraz w nieprzyjaźni z naszym królem, zdradziecko go zatrzymał w swojej twierdzy w Tomsburgu i spełnienie ślubu odwlecze się na długo, jeżeli wasz król Bolesław nie wspomoże nas w nieszczęściu, bo on jeden ma zwierzchnictwo nad Tomsburgiem.

W tejże chwili król dał znak do wstawania od stołu, ruch się zrobił w izbie i rozmowa się przerwała. Wesołek znów począł się kręcić i piskliwie wypowiadać złośliwe swe docinki. Gdy książę Mieszko spytał go żartem, czy nie chciałby być jego giermkiem, błazen odpowiedział:

— Miły królewiczu, nie tylko giermkiem, ale błaznem nie chciałbym być u takiego jak ty.

— A toż dlaczego? — spytał zdumiony królewicz.

— Bo ja tylko królom służę, a tyś, książę, na króla nie stworzon — rzekł Osa, kręcąc głową—Bolesław, to mi król prawdziwy! tyś mu nie dorósł nawet do kolan. Gdyby mię sam cesarz Henryk chciał wziąć na służbę, tobym nie chciał, a cóż dopiero ty, królewiczu. Henryk dla mnie za wielki, Mieczysław za mały, a Bolesław w sam raz!... Ale — przerwał nagle, zasłaniając sobie usta — widzę, że chleb odbieram dworakom; przecie błazen nie od tego, żeby pochlebiał, tylko żeby drwił z wszystkiego. Dalejże, stary, do twego rzemiosła!

I poskoczył, potrząsając dzwonkami, ku najbliższej gromadzie. Książę Mieszko nie uraził się wcale słowami błazna, zaśmiał się tylko dobrodusznie i podszedł także do koła rozmawiających rycerzy.

IV.

Opat Tuni miał mieszkanie niedaleko dworu królewskiego, bo często król, potrzebując jego rady, wzywał go nawet późno wieczorem do siebie. Opat zazwyczaj pisywał listy, gdy zaszła tego potrzeba; wprawdzie ówcześni ludzie bardzo rzadko uciekali się do pisma, jednakże i wtedy zachodziła czasami konieczność tego.

Jednego wieczoru wicher na dworze szumiał i zawodził, puszcza łysogórska huczała, gnąc wierzchołki odwiecznych drzew, które trzeszczały raz po raz, jakby o nie zaczepiały się wszystkie czarownice i czarodzieje, lecący na Łysą górę. Niebo było zasute ciężkiemi, gęstemi chmurami, okrywającemi je jak całun.

W izbie opata palił się suty ogień, a on siedział, zapatrzony w płomień, wsparłszy głowę na ręku. Czerwone płomyki wiły się i lizały suche drzewo; czasem płomień buchnął jaskrawo, a wówczas oświecał izbę i wszystkie sprzęty w niej się znajdujące, oraz płową głowę Maćka, małego pacholika, który drzemał w kącie, owinąwszy się w kożuszek. Izba była niewielka; na ścianie wisiał krucyfiks, na stole zaś leżały zwoje rozmaitych rękopisów, budzące podziw odwiedzających. Bo też niektóre z nich były tak pięknie złocone i malowane, że aż oczy pociągały do siebie. Niekiedy znów ogień przygasał i wszystko dokoła nikło w ciemności. Płomień syczał, robak więziony w spróchniałem drzewie skarżył się, zawodził cicho; na dworze pies wył gdzieś daleko, a świerszcz ćwierkał w szczelinach ściany. Opat siedział tak

samotny, i patrząc na ogień, przypominał sobie rozmaite dawno minione rzeczy, poważne myśli napływały mu do głowy.

— Człowiek — mówił sobie,— dokąd żyje, podobien jest temu robakowi, który tam jęczy, uwięziony w pniu spróchniałym, nic nie wiedząc, co się dzieje gdzieś tam poza granicami tego świata widzialnego; słaby jest i bezsilny, aż go śmierć wyswobodzi z niewoli, a wówczas przejrzy. Oto zaledwie kilka lat upłynęło od owego strasznego roku tysiącznego, o którym mniemano, że jest ostatnim rokiem świata. Jaka to trwoga panowała wówczas, jakie modły zasyłano do Boga, a jednak rok ten przeminął, a nic się nie zmieniło w porządku wszechświata, ludzkie rachuby omyliły tym razem, jak już myliły nieraz. Czyż po tem wszystkiem człowiek może jeszcze wierzyć sobie? A jednak są, wielu jest takich, co sądzą zuchwale, iż posiądą wiedzę dobrego i złego; wdzierają się w tajniki życia, zakryte dla oczu śmiertelnych, a tym sposobem dostają się na bezdroża, wiodące prosto na potępienie wieczne. Czyż nie twierdzono nawet, że sam niedawno zmarły papież Sylwester, dokąd jeszcze zwał się mnichem Gerbertem i był nauczycielem cesarza Ottona, oddawał się po kryjomo czarnej magii? *)

Opat przeżegnał się na to wspomnienie; mimowoli stanęło mu w myśli, że i on, on sam nawet za młodu czuł grzeszny pociąg do nauk zakazanych; pragnął zgłębić wszystko, co go otaczalo, poznać owe tajemnicze istoty, które niewidzialnie napełniają cztery żywioły i unoszą się wciąż w powietrzu, ogniu i wodzie, oraz zamieszkują wnętrze ziemi. Ileż to razy wówczas, gdy patrzył, jak dziś, w płonący ogień, zdawało mu się, że widzi tańczące salamandry, owe duchy ognia, które z niego biorą życie... Ta gorąca żądza wiedzy byłaby go w końcu zawiodła na potępienie, jak tylu innych, lecz Bóg zlitował się nad nim, natchnął go dobrą myślą

*) Takie mniemanie krążyło o uczonym papieżu w owym wieku zabobonów.

i poznał w końcu, gdzie jest światło prawdziwe. Lecz przedtem ileż to pokus musiał przebyć! szatan wciąż stawiał mu przed oczy potęgę, otrzymaną z pomocą wiedzy, potęgę wyższą nawet nad władzę królów.

Zwalczył jednak to wszystko i obrał drogę zbawienia. Dziś czuje on, że wszystko nic więcej, tylko próżność, choć zajął teraz wysokie stanowisko w świecie, został doradcą wielkiego króla, pogarda dla blasków doczesnych nie opuszcza go; nie jest-że to *vanitas vanitatum*.

— *Vanitas vanitatum!* — powtórzył z westchnieniem, poprawiając ognia. — Próżność próżności, wszystko próżność!

Tymczasem wichura wciąż szalała na dworze. Maciek, rozbudzony wyciem wiatru, który wstrząsał drzwiami i okiennicami, żegnał się po cichu, przypominając sobie wszystkie gadki, opowiadane na wieczornicach. W taką to noc latawice i zmory latają, a nocnice chodzą po lesie i wychodzą pić we śnie krew ludzką...

W tej chwili ktoś lekko zastukał do drzwi. Maciek wstrząsnął się i spojrzał trwożliwie na opata. Ten nic nie słyszał, siedział pogrążony w myślach, cień jego, odbijając się czarno, na przeciwległej ścianie, oświetlonej migotliwym blaskiem płomienia, dziwaczne przybierał kształty. Znów ktoś zastukał.

— Wejdźcie! — rzekł opat, usłyszawszy.

Drzwi się otwarły, w progu stanął człowiek.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekł na wstępie.

— Na wieki! — odpowiedział opat, przypatrując się nowoprzybyłemu. — Cóż was do mnie sprowadza i kto jesteście?

— Jestem Przemko, syn Zaboja — odparł zapytany; — musieliście słyszeć o mnie, bom niegdyś wojował z królem w obcych krajach, a teraz osiadłem na roli, we własnem opolu. Gródek mój o pół dnia drogi stąd, w puszczy, więc przybyłem do was, by się poradzić w ważnej sprawie.

— Cóż to takiego? Siadajcie ot tu, na ławie, to mi rozpowiecie — rzekł opat.

Nowoprzybyły obejrzał się na Maćka, jakby nie chciał przy nim mówić.

— Maciek, możesz iść do czeladzi, nie potrzebuję cię teraz — rzekł opat.

Pacholik wysunął się z izby.

Przemko rozpoczął głosem zniżonym:

— Sprawa, z którą do was przybywam, ojcze, bardzo, bardzo ważna. Trzeba wam wiedzieć, że, choć ja rządzę opolem, lecz mam jeszcze ojca starego, ale to tak starego, że już tylko z dziećmi się bawi i za piecem siedzi; pewnie mu już niewiele braknie do setki. Otóż podpatrzyłem od niejakiego czasu, że stary nocami wymyka się z gródka, bierze konia, jedzie gdzieś w puszczę, kędy go oczy poniosą, i dopiero nad ranem wraca, nic nikomu nie mówiąc, gdzie był. Z początku służba gadała o jakimś duchu, ale ja dobrze się przypatrzyłem, że to nie duch, ino mój ojciec. A choćby bramy pozawierać, to zawsze się wymknie. Już teraz nic innego nie myślę, tylko, że go kto oczarował i dlatego tak się włóczy po nocach. Bo jakaż może być tego inna przyczyna? powiedzcie, ojcze. Człowiek, gdy się napracuje i nawłóczy cały dzień po polach, to legnie jak kamień z wieczora i śpi; to też nie miałem nigdy cierpliwości iść i śledzić za nim, gdzie się obraca. Prócz tego, o tej puszczy tyle strasznych wieści krąży, różne głosy rozlegają się nocą, że nie wiem, ktoby się ośmielił wędrować po niej o tej porze, chyba oczarowany, bo tego coś ciągnie nieprzeparcie do niej.

— Trzeba jednak, byście go przypilnowali i dojrzeli raz, gdzie to się odbywają owe nocne wędrówki—ozwał się opat,— a wtedy dopiero można będzie zdjąć ów szatański urok; inaczej nic nie poradzimy!

— Ta już widzę, ojcze, że inaczej nie można — odrzekł Przemko, drapiąc się w głowę; — ale włóczyć się po puszczy,

a do tego łysogórskiej, nocą, to także rzecz nie nazbyt miła. Ale cóż robić, skoro mówicie, że trzeba. Ani chybi, że go jakieś złe duchy oplątały, bo dawniej nawet nie złaził z pieca, a teraz chce mu się po nocach chodzić.

— Słuchajcie — rzekł opat poważnie, — czy w waszym domu zachowują wiernie wszelkie przepisy chrześcijańskie? Odpowiedzcie mi na to szczerze.

— Ojcze miły, a jakżeby inaczej? I ja, i moja niewiasta i czeladź cała, wszyscyśmy pobożni chrześcijanie — odparł Przemko.

— A ojciec wasz?

— No, on, co prawda, nie bardzo lubi księży, bo jest jeszcze z tych starych, co to pamiętają dawne czasy, ale przecie i on chrzczony, jeszcze gdy to król Mieszko burzył dawne świątynie i stawiał ołtarze chrześcijańskie.

— Dlatego was tak pytam — rzekł opat, — że bardzo być może, iż szatan opętał waszego ojca, by się wyrzekł Chrystusa, a powrócił do dawnych bałwanów, bo wiem, że niejeden stary w tych stronach tęskni jeszcze za nimi i, choć pozornie chrzest przyjął, wciąż myślą zwraca się w tamtą stronę. Uważajcie więc dobrze, czy to samo nie jest z waszym ojcem; śledźcie za nim wciąż, a gdy co dostrzeżecie, wówczas przyjdźcie mi donieść znowu.

Gdy Przemko się oddalił, opat Tuni zamyślił się nad tem, co usłyszał. Między ludem wciąż krążyły głuche wieści, że gdzieś w puszczy, w niedostępnych ustroniach, żyli jeszcze czciciele starych bogów; istniało nawet podanie, że bałwan bożka Świst-Pośwista nie był zniszczonym, lecz kapłani uchronili go od zagłady, skrywając go kędyś w skałach. Wieści te rozsiewali dziady wędrowni, ślepi gęślarze, których lud słuchał najchętniej, bo mu śpiewali dawne pogańskie pieśni i podania zabronione, a jednak wiecznie miłe. Bo daremnie duchowieństwo wszelkiemi siłami starało się, by śpiewy te poszły w zapomnienie, ucząc natomiast lud różnych pobo-

żnych hymnów, szatańskie owe piosnki, prawiące o bożkach, boginkach leśnych, albo wyrażające rozmaite zaklęcia pogańskie, przylgnęły tak do duszy narodu, że nie mógł się z niemi rozstać, jak gdyby były cząstką jego samego. Gdzieindziej, w stronach bardziej otwartych dla nowego światła, lud zapominał o dawnych zabobonach powoli, tu jednak, wśród puszcz niedostępnych, chrześcijańska wiara bardzo słabo przeniknęła i nie rozlewała się dalej.

Opat czuł, że wiara Chrystusa znajduje się w niebezpieczeństwie, bo widocznie lud był skłonnym, gdyby tylko okoliczności temu sprzyjały, powrócić do dawnych bogów. Co zaś najbardziej go niepokoiło, to owe pogłoski o jakimś wodzu cudownym, którego jakoby posiadali poganie, wodzu, który nigdy nie miał umierać, i obdarzony był niezwykłą, nadprzyrodzoną potęgą, daną mu przez duchy leśne. Lud wierzył święcie w tego wodza i mimowoli coraz częściej oglądał się w tę stronę, kędy sterczał szczyt Łysej góry, jak zawsze groźny, tajemniczy, skryty w mgły białe.

Opat otworzył drzwi, doświadczając jakiegoś niewytłómaczonego pragnienia, by również spojrzeć na ten wierzchołek, majaczący daleko na chmurnem niebie i budzący mimowolną trwogę, a zarazem pociąg nieprzeparty.

Wicher przycichł nieco, z daleka jednak widać było, jak korony drzew puszczy uginały się i kołysały jeszcze, niby fale; po niebie pędziły poszarpane płaty chmur; Łysa góra wznosiła się otulona mgłami, milcząca a groźna, jakby uosobienie pogaństwa, które w ciemnościach podnosiło głowę, także ciche, lecz niemniej groźne.

Nagle szczyt góry oblał się purpurowem światłem, roztaczającem się jaskrawą łuną ponad uśpioną okolicą; po trzykroć zapalało się ono i po trzykroć gasło; aż wreszcie wszystko zapadło znów w ciemność i tylko słychać było, jak puszcza huczała.

Opat przeżegnał się i powrócił drżący do izby.

— O, Panie! — wyszeptał — szatan nie śpi, walka z nim nieunikniona, czuję to. Czyż nie wesprzesz tych, którzy walczyć będą w Twem Imieniu?

V.

Dzień był słoneczny i ciepły; w puszczy pachniało wiosną, gdy Ładon, uzbroiwszy się w łuk i toporek, wyjechał samotnie na łowy. Nad jego głową roztaczało się zielone sklepienie, na ziemi kwitło mnóstwo ziół wiosennych, nie zagłuszonych jeszcze zbyt gęstym cieniem. Gruby mech, zielony jak szmaragd, zaścielał ziemię; koń stąpał po nim cicho, prawie niedosłyszalnie.

Tam gdzieś wysoko, w górze, szumiały wierzchołki drzew i kołysały się, tworząc u stóp swych nieustanną grę to świateł, to cieni. Zapach rozwijających się pączków unosił się dokoła. Od czasu do czasu z zarośli podnosiła się czapla lub kulik, zdradzając blizkość wody. Ładon też wiedział, że niedaleko znajduje się jezioro, zwane przez lud jeziorem wodnic, bo mówiono, że te boginki pokazują się tam często nocami, i niejeden widział je, jak pląsały na wybrzeżu w promieniach miesiąca.

Wkrótce dostał się tam. Jezioro leżało w głębokiej kotlinie, porosłe dokoła trzciną, ajerem i łozą; głębokie jego wody, zielonawej barwy, były spokojne i ciche; — stado sarn kąpało się w niem w tej chwili, igrając swobodnie.

Piękny to był widok. Zwierzęta pluskały się i płynęły, zostawiając za sobą ślad na wodzie. Znajdowało się tam kilkanaście sarn młodych, oraz stary kozieł, o rosochatych rogach, dumny i wspaniały, który płynąc po jeziorze, podobnym był do jakiegoś fantastycznego zwierzęcia z bajki. Sarny wyciągały wysoko smukłe szyje i wznosiły uszy, nasłuchując, czy nie dosłyszą jakiego szmeru. Żadne z nich nie spostrzegło zbliżającego się nieprzyjaciela, gdyż Ładon ukrył się

starannie za drzewem, by nie być widzianym; lecz nie nakładał strzały, bo żal mu było zabijać te wdzięczne stworzenia, z taką ufnością igrające przed jego oczami. Prócz tego przychodziło mu na myśl, że może to wodnice w dzień przybrały na siebie postać sarn, niektóre bowiem miały dziwnie rozumne spojrzenia.

Nagle całe stado pierzchnęło, a na ścieżce, prowadzącej do jeziora, dał się słyszeć szelest; z zarośli wysunął się jeździec.

Miał na głowie rysi kołpak, łuk na plecach i miecz przy boku, u siodła zaś przywieszony był oszczep. Ładon ze swego ukrycia dobrze mógł mu się przyjrzeć. Był niewielkiego wzrostu, ale barczysty i niezwykle silny; na nizkie, ale otwarte ku skroniom czoło spadały gęste, czarne włosy w kształcie grzywy, z pod których błyszczały dziko ciemne oczy. Młody był jeszcze bardzo, ale już na obliczu jego czytać się dawał wyraz niezmiernej dzikości. Oko podziwiało mimowoli jego silną postawę, tak jak podziwia potężnego żubra, mieszkańca puszczy ciemnej, ale żadnego śladu ludzkich uczuć w nim nie było.

Stanął na brzegu, rozglądając się dokoła i pozwalając koniowi napić się wody.

Ładon postanowił także napoić swego konia i wyjechał z zarośli. Jeździec spostrzegł go i zaklął przez zęby, jakby mu nie na rękę było to spotkanie. Chmurnym wzrokiem zmierzył zbliżającego się i stał, patrząc i zdając się oczekiwać, kiedy napoi konia i odjedzie sobie.

Ładon, oddalając się, widział, jak jeździec stał jeszcze długo i spoglądał za nim, potem człowiek jakiś, odziany w skóry, wyszedł z zarośli, dał znak jeźdzcowi i obaj znikli.

Powracając puszczą, myślał długo, kto mógł być ów jeździeć o chmurnem wejrzeniu i dumnej, nakazującej postaci.

Nigdy jeszcze nie zdarzyło mu się widzieć go, ani między wojakami królewskimi, ani między władykami miejsco-

wymi, bywającymi na dworze w Kielcach. Można też było poznać łacno, że, pomimo dumnego wyrazu, nie musiał należeć do znacznego rodu, a raczej wyraz ten nadawało mu przekonanie o potędze własnej woli, zdolnej do największych wysiłków. W tej twarzy, młodej jeszcze, była dziwna mieszanina odwagi i okrucieństwa, mocy duszy i pogardy dla ludzi.

— Nie, to darmo, nigdy nie dojdę, kto to taki,—rzekł sobie w końcu Ładon,—z pewnością gdybym go raz kiedy dawniej widział choć na mgnienie oka, nie zapomniałbym go nigdy, bo oblicze to od razu rzuca się w oczy.

Tymczasem tajemniczy jeździec podążał wązką ścieżką, ukrytą wśród zarośli, przez rozmaite wertepy i trzęsawiska. Widocznie droga ta musiała mu być dokładnie znana, bo jechał, nie namyślając się, przed siebie. Puszcza stawała się z każdym krokiem coraz dzikszą i niedostępniejszą; olbrzymie złomy suchych konarów co chwila zastępowały mu drogę; miejscami wiekiem zgrzybiałe drzewa, upadając ze starości, zatrzymywane w upadku przez swych młodszych towarzyszy, tworzyły jakieś fantastyczne bramy i łuki.

Wreszcie jeździec stanął nad brzegiem głębokiego wąwozu. Tam, na ciemnem dnie jego słychać było szum wody, ale oko dostrzedz jej nie mogło, bo gęsta roślinność ją zakrywała. Był to tak głęboki parów, że korony wielkich drzew, rosnących na dnie, kołysały się tuż u stóp tego, kto stał na wierzchołku.

Z głębi dochodziło szczekanie psa. Jeździec puścił się wązką ścieżynką, wijącą się bokiem, i wkrótce był już na dole.

W miejscu najbardziej ukrytem przez zarośla widać było maleńką chatkę, jakby wtuloną między dwie odwieczne lipy, osłaniające je zupełnie gałęziami. Wielki pies kudłaty wybiegł naprzeciw jeźdzca, szczekając, i w podskokach począł krążyć dokoła niego.

Drzwi od chaty się otwarły i wyszedł z nich siwy starzec, wsparty na kiju, w białej, lnianej odzieży.

Ujrzawszy nowoprzybyłego, wyciągnął doń ręce, wołając:

— Domyśliłem się zaraz, żeś to ty przybył, synu mój, bo Rudy tak wita tylko przyjaciół.

Jeździec zsiadł tymczasem z konia i przywiązał go do drzewa.

— Pójdź, mój synu — rzekł mu starzec,—usiądźmy tu, na tej kłodzie, w cieniu lipy; rozpowiesz mi, gdzieś bywał, coś zrobił. Nie mogłem się doczekać twego powrotu.

Nowoprzybyły usiadł obok starca, który patrzył nań z radością i oczekiwaniem; nawet wpół przygasłe jego oczy odzyskały swój dawny blask; wychudła, zżółkła twarz ożywiła się. Wogóle w wyrazie jego oblicza, jak i w całej postawie, widoczne były chwilami niejakie ślady podniecenia duchowego, graniczącego z obłąkaniem.

Nieznajomy jeździec potarł ręką czoło.

— Gdziem ja był, ojcze?—rozpoczął.—Pytajcie, gdziem ja nie był raczej. Bywałem ci ja w dalekich stronach, aż ku sinemu morzu zagnałem się. Byłem u Obotrytów, u Sorabów, u Lutyków, byłem na świętej Ranie i pokłoniłem się wielkiemu Światowidowi, co patrzy na cztery strony świata... Wszędzie, wszędzie byłem.

— Ale jakże ci poszło?

Nowoprzybyły uśmiechnął się.

— Myślę, że nieźle — odrzekł.—Podburzyłem wszystkie owe ludy nadłabańskie; teraz niech Bolesław spróbuje iść z nimi na Niemca; oskarżą go raczej sami przed cesarzem, że ich podmawia na niego. Dobrze idzie, ojcze. Ten dumny królik będzie musiał sam jeden ucierać się z cesarzem; twardy będzie miał orzech do zgryzienia. Wszyscy połabscy kneziowie go odstąpią, za to ręczyć mogę...

— Aż teraz przyjdzie więc może dzień oswobodzenia!— zawołał starzec z uniesieniem. — Oto lat kilkadziesiąt siedzę tu na puszczy, słońca bożego nie widząc, żyjąc z dzikim zwierzem wespół; patrzę i czekam, bo cóż innego mogę

robić, ja, starzec bezsilny, ostatni kapłan znieważonych bogów! Wszyscy ich odstąpili, rzucili, ja jeden tylko pozostałem wierny, ale płakać tylko mogę nad ich upadkiem, tak, płakać tylko mogę, bo niema już dzielnych witeziów, których ramię podniosłoby się w obronie ich czci...

...Synu mój, Masławie, jam ciebie wychował na takiego mściciela, alem ja stary już, może nie dożyję dnia odrodzenia; gdy więc umrę, usypcie mi mogiłę tam, u stóp góry świętej, kędy stał chram dawny; a skoro Świst-Poświst obejmie znów panowanie nad światem, rzekniecie mu: „Wielkie bóstwo, oto modlitwa ostatniego kapłana twego, który do ostatka był ci wiernym, który nie chciał podle przejść na służbę nowego boga, ale tobie jednemu chciał służyć do końca dni swoich!” A wówczas Świst-Poświst zstąpi z niebios w całej swej potędze, w wichrze, burzy i błyskawicach, i porwie ducha mego, aby spłonął w tym ogniu niebieskim i tak się połączył z bóstwem!

Podniósł się z miejsca, jakby porwany nagłem natchnieniem, podobnem do szału; włosy na głowie i szata były rozwiane; oczy, wzniesione w górę, pałały niezwykłym blaskiem; zdawało się, że słyszy jakieś głosy, niesłyszane przez innych ludzi, że otaczają go nadprzyrodzone siły i unoszą jego ducha wraz z sobą. Bo głos jego dźwięczał jakby w śnie natchnionym, a wzrok tonął gdzieś w dali, pragnąc przebić mgłę tajemniczą, zakrywającą przyszłość.

— Potężne bogi—mówił,—nieprawdaż? wyście nieraz przemawiali do mnie w ciszy i samotności lasów? Głos wasz słyszałem w ryku burzy, w szumie puszczy odwiecznej. Głos wasz potężny; gdy szedł przez puszczę, to wierzchołki dębów schylały się pod nim, a mnie włos na głowie się jeżył i zimny pot okrywał skroń moją. Bo któreż stworzenie bez trwogi słuchać może głosu bogów wielkich? Widziałem, jak wilk uchodził strwożony do legowiska, żubr stawał w osłupieniu, a tur silny głowę pochylał, na znak zbliżenia się waszego. A je-

dnak ja, kapłan wasz, śmiałem zwracać ku wam mowę i zapytywałem was: „Bogi wielkie, czy może być, by cześć wasza już przeminęła, czy zezwolicie na to?” A tam z głębi puszczy, w szumie wichru, odpowiadaliście mi tajemnicznym głosem swoim: „Nie, to być nie może! Wy starzy już wprawdzie, nie dźwigniecie starej wiary, lecz przyjdzie młody, silny mąż, co wszystko powróci, jak dawniej było.” Ja wiem, że mężem tym będziesz ty, Masławie; bo czyż daremnie wychowałem cię na zgliszczach zburzonego chramu? czyż daremnie kryłem cię w cieniach puszczy? czyż daremnie wreszcie uczyłem cię, byś nie zapomniał o starych bogach? Lud w puszczy zamieszkały, który wierny pozostał ojców wierze, śpiewa o tobie pieśni, oczekując twego przyjścia, jako przyjścia wielkiego witezia, mającego podnieść zburzone ołtarze. I to ja, jam to zrobił, jam rozprzestrzeniał one wieści między ludem. Tem jednem żyję tylko, i gdyby nadzieja owa mię nie podtrzymywała, czyżbym żył dotąd? O, jak straszny jest żywot, skoro się przeżyje wszystko, co się czciło i miłowało! O! bogi, bogi wielkie! dlaczegóż mię jeszcze trzymacie tu na ziemi?

Masław słuchał tej mowy z uszanowaniem, lecz zdawało się, że nudziło go owo biadanie, którego zapewne już nie pierwszy raz musiał być świadkiem.

— Ojcze—przerwał po chwili,—wszystko to dobrze, ale czyście co zrobili w mej nieobecności, czy czas nie stracony?

— Tak, mój synu—odrzekł kapłan,—robiłem, co mogłem: rozsyłałem dziadów gęślarzy pomiędzy lud, próbowałem nawet za pomocą nich podburzyć go w czasie święta Marany, na próbę, by wiedzieć, do czego jest zdolnym; ale nie udało się to, z powodu obecności Bolesława w Kielcach.

— A więc nasz potężny król bawi teraz w Kielcach?—spytał Masław szyderczo. — Dlatego to spotkałem dziś w puszczy jednego z jego rycerzy. I nic więcej nie zrobiliście?

— A cóż więcej mieliśmy robić? — spytał kapłan. — Czyż to tak łatwo, gdy Bolesław jest w pobliżu? Czy nie znasz jego mocy?

— Widzę, że wszyscy wy biadać tylko umiecie, nic więcej! — mruknął szorstko Masław. — Sami starcy niedołężni się pozbierali, co nic nie potrafią dokonać! Przecież ja jeden na wszystko nie wystarczę! To zupełnie jakby żywego człeka związać z umarłym. Miotasz się, miotasz, a trup ciągnie cię na dno wody!

— Nie gniewaj się, Masławie — rzekł kapłan; — trzebaż nam było powiedzieć, co robić mamy.

— Co wam miałem mówić? — zawołał Masław, zrywając się niecierpliwie. — Albo ten kneź Mszczuj i syn jego na nic się sami zdobyć nie umieją? tylkoż ja muszę myśleć za każdego? Tak to idzie z wami!

I miotał się wzburzony, nie mogąc miejsca znaleźć, a białe zęby, jak u wilka, błyskały mu z pod warg, drżących od gniewu.

— Miły mój synu — rzekł kapłan uspokajająco, bo wiedział, że Masław łatwo wpadał w gniew szalony, — twoja prawda, ale cóż robić? Tyś młody i ty możesz dokonać więcej, niż stu nas, bezsilnych starców. Ty swoją obecnością wszystko naprawisz.

— A tak, naprawię, tylko że niedługo wy mi znów popsujecie — odparł Masław, już nieco uspokojony. — Ale zdaje mi się — dodał po chwili, — że, pomimo wszelkie przeszkody, teraz sprawa stoi na dobrej stopie; nasz potężny król niemało się napoci, nim rozplącze sieci, jakie dokoła niego naplątałem; będzie miał ciężką rozprawę z Niemcami, a przez ten czas można tu będzie wielu rzeczy dokonać.

I uśmiechnął się, zadowolony z siebie.

— A wtedy przyjdzie i na nas kolej panowania! — zawołał z wyrazem jakiejś dzikiej chciwości. — Podniosę bogów, postawię im świątynie; ale niech mi dadzą choć dzień jeden

panowania, dzień jeden, w którymby tysiące ludzi padało mi do stóp, dzień jeden potęgi, a potem niech się co chce dzieje! Mówicie, żem ja z rodziców niewolnych... a jednak pokażę kiedyś tym dumnym pankom, kneziom, wojewodom, rycerzom, co może syn chłopski! Oni spoglądają na mnie teraz z pogardą, a ja stanę wyżej od nich; a nie będę wówczas dobrym... niech się więc strzegą, bo dam im poczuć moją rękę! Nie będzie to dziś, to jutro; nie za rok, to za dwadzieścia lat; ale będzie, bom tak postanowił. I wiem, że nie umrę, dokąd tych zamiarów nie spełnię. Z bogami białymi i z czarnobogiem wejdę w przymierze... niech mi tylko pomogą. Co wy tam starzy jęczycie i biadacie nad upadkiem tego, coście miłowali; ja nic nie miłuję, krom potęgi; władza, to bóg mój; bogom innym składam ofiary, by mi nie szkodzili; bo czyż byłbym o tyle głupim, by nadstawiać głowy bez żadnej korzyści dla siebie? Oni mi będą tylko stopniem do wyniesienia się.

Stary kapłan podniósł ze zgrozą ręce w górę, słuchając tej mowy; pierwszy to raz wychowaniec jego odkrył się przed nim. Masław zaś siedział, patrząc przed siebie okiem władcy, z drgającemi nozdrzami, z okiem połyskującem dzikim ogniem, niby tygrys, gotujący się do skoku.

— Więc ty nie dla bogów wszystko to robisz, lecz dla siebie! — wyjęknął wreszcie kapłan.—Więc upada nadzieja, która mię przy życiu trzymała!

— Cha, cha, cha!—zaśmiał się Masław—a tyś wciąż sądził, starcze, że ochotnie dam się zabić dla twoich bogów, których opłakujesz, a o sobie myśleć nie będę? Niechże tedy twoi bogowie pozwolą, jeśli tacy bezsilni i potrzebują pomocy człowieka, że on sobie wpierw pomoże, a dopiero o nich pomyśli; teraz świat taki! Dobrze wam, starym, którzy do roboty nic lepszego nie macie, ino biadać; alem ja młody, czuję siłę, i albo wyniosę się na sam szczyt, albo padnę!...

VI.

Przemko zaprosił Ładona, Zbiluta i kilku jeszcze innych rycerzy Bolesława, dawnych towarzyszów broni, do swego gródka, położonego wśród puszczy głuchej, o dzień drogi od Kielc.

Gród Przemkowy stał na wzgórzu, mając za sobą głęboki parów leśny, w którym na dnie płynęła woda. Szeroki rów otaczał go z innych stron, nad rowem ostrokół, stawiony na walc, mocno ubitym z gliny i udarnionym.

Wewnątrz stało domostwo i zabudowania gospodarskie, wszystko pokryte dachem trzcinowym, w glinę, dla zabezpieczenia od ognia.

Wyżej ponad to wznosiła się wieża drewniana, na kamiennem podmurowaniu, służąca zarazem za więzienie, skład na domowe sprzęty i strażnicę.

Śpichrza na zboże nie było, bo wymłócone składano w parsku, to jest w jamie, wykopanej na suchem miejscu, którą jeszcze, gdy była w piaszczystym gruncie, wykładano korą brzozową, a jeśli w gliniastym, wypalano; zasypane później ziemią zboże w ten sposób mogło stać lata całe.

Pod dachem, wspartym na czterech słupach, stały sochy, brony i wóz. W oborze mieściło się kilkadziesiąt sztuk bydła, płowej maści, pochodzących od dzikiego mieszkańca ówczesnych borów, od tura.

W chlewku znajdowało się stado owiec czarno-runych, oraz kóz i świń, krzyżowanych z dzikami.

W stajence było kilka koni, małego wzrostu, ale silnych i wytrzymałych.

Pod dachem, na żerdziach, suszyły się ryby na zimę; rozłożone na słońcu, u stoku pagórka, bieliło się płótno, które właśnie teraz kilka dziewcząt zbierało przed nastąpieniem wieczoru.

Kury, będące wówczas, prócz gołębi, jedynem domowem ptactwem, chodziły po podwórcu i grzebały.

Parę psów ogromnych, z rasy wilczej, strzegło dzień i noc domostwa. Za domem było coś w rodzaju sadu, gdzie dzikie czereśnie i jabłonie bieliły się kwieciem, a pod niemi stało kilka uli słomianych. W ogrodzie rosły grzędy rzepy, którą starannie wówczas zachowywano na zimę.

Gdy młodzi rycerze przybyli na gródek, było już pod wieczór, właśnie tylko co pastuchy przygnali trzody z pastwiska i poili u strugi, przepływającej w pobliżu. Ryk bydła mieszał się z gwarem rozmów i śmiechami dziewek, zabierających się do dojenia owiec. Niekiedy rozlegał się odgłos fujarki lipowej; przygrywał na niej jeden z parobczaków, którzy pędzili konie na noc do lasu. Inni powracali z pola, uznojeni po pracy całodziennej. Wszyscy niemal odziani byli w długie koszule, oraz w krótkie kożuszki bez rękawów, z pod których widać było nagie ramiona, silne i ogorzałe; na nogach zaś mieli łapcie z łyka lipowego.

Wesoły gwar wzmógł się jeszcze, skoro z wewnątrz domu wezwano na wieczerzę; dziewczęta, niosąc skopce mleka, biegły przez podwórze, ze śmiechem odpowiadając na żarty chłopców, którzy zarzuciwszy paszę bydłu, śpieszyli wraz z niemi do izby.

Ale śmiechy te ustały, gdy goście wjechali w bramę i stanęli przed podsieniem, zsiadając z koni; dziewczęta natychmiast pierzchły w różne strony, niby stado spłoszonych gołębi, a sam Przemko wyszedł na spotkanie nowoprzybyłych, witając ich u proga.

Z podsienia weszli do wielkiej izby środkowej, która miała na jednym końcu ognisko, wyłożone kamieniami. Dym wychodził przez otwór w powale. Pod ścianą stały ciężkie ławy dębowe, na dnie uroczyste okrywane zazwyczaj krasnemi makatami, które Waregi, zrabowawszy w Carogrodzie, sprzedawali później Polanom i Chrobatom.

Na długim stole, czysto zawsze wymytym, stały chleb i sól, na przyjęcie gościa, którego zwykle sadzano w narożnem miejscu, jako najzaszczytniejszem. W drugim rogu stały krosna, dalej stępa, żarna i międlica. Półki aż uginały się od naczyń, prostych, glinianych, lub też z pięknej, błyszczącej miedzi, kupionych od niemieckich kupców. Dzieża na chleb znajdowała się przy ognisku, bednie zaś, służące za skład na przyodziewek, stały po kątach izby. Na ścianach wisiała broń rozmaita—a było się czem pochlubić: od prostej maczugi, nabijanej krzemieniem, aż do łuku cisowego, toporka, normandzkiego miecza, wszystko tam zgromadził gospodarz.

Okienka były małe, zaciągnięte błonami, na noc zaś zamykały je okiennice.

Na progu izby czekała gości z pokłonem żona Przemka, młoda, wesoła, jasnowłosa kobieta, odziana w kabacik z sinego sukna, sznurowany z przodu na czerwone tasiemki, białe zaś okrycie zdobiło jej głowę. Proste siedlaczki miały je zazwyczaj z domowego płótna, ale bogata żona władyki kupowała od kupców z Pragi piękne, białe, cieniutkie płótno na owe namiotki.

Kilka dziewek krzątało się już, stawiając na stół dymiące misy z jadłem; pomagały one kobiecie w gospodarstwie, bo dość było przy niem zajęcia; oprócz zwykłych robót, przy dojeniu bydła i przygotowaniu posiłku, trzeba było jeszcze tkać i barwić płótno, zbierać na wodzie pławuchę, zwaną teraz manną, suszyć i nawlekać na nitki rzepę, zbierać gruszki dzikie, tarninę, grzyby i t. p. płody leśne na zimę. Cały rok nie był wolnym od pracy, zimą i latem ona trwała; pracowano bez ustanku, z wesołą pieśnią na ustach, bo Słowianin nie mógł nic robić bez niej; czy to miesiono chleb, czy mielono zboże w żarnach, zwykle śpiew towarzyszył owym zajęciom. Mężczyźni podczas pory zimowej przygotowywali sieci, wyprawiali skóry na kożuchy i zastawiali

pułapki na dzikiego zwierza, który nieraz robił znaczne szkody w zasiewach i dobytku.

Gdy rycerze weszli do izby i zasiedli przy stole, powoli poczęli się schodzić za nimi ludzie Przemkowi na wieczerzę. Dziwną sprzeczność stanowili owi wojacy, odziani strojnie, w płaszcze i kołpaki bogate, z tymi prostymi, pół dzikimi rolnikami, przybranymi w skóry. Po wieczerzy mężczyźni rozeszli się na spoczynek, kobiety także gdzieś znikły; w izbie zostali tylko Przemko i jego goście. Cisza zaległa dokoła, tylko strażnik przechadzał się na wierzchu wieżycy i psy naszczekiwały, czując gdzieś wilka. Przemko do późna przesiedział z dawnymi towarzyszami, wspominając ubiegłe czasy i opowiadając sobie wzajem wszystko, co się działo od chwili, gdy się rozstali.

Rad był niezmiernie spotkaniu z druhami i przyjmował ich gościnnie i serdecznie.

— Dobre to były czasy!—mówił Przemko z westchnieniem, podrzucając gruby kawał drzewa do ogniska, płonącego w rogu - niech mię piorun spali, jeślim z własnej woli porzucił to wszystko. Ale cóż, ojciec postarzał się, nie było komu rządzić opolem, trzeba było wracać na rolę, rad nie rad. A gdy wspomnę owe lata, gdyśmy to z królem na wojaczkę chodzili! Człek był wolny wówczas, o nic się nie troskał... a teraz! Pracuj jak wół, tu, w tej puszczy, by mieć kęs ziemi pod uprawę; rąb, karczuj, poć się, a do tego żyj jako wilk w legowisku, albo ów niedźwiedź lasowy. Stokroć lepiej było rąbać po łbach niemieckich, a potem brać łupy z grodów dobytych... to daleko lżejsza praca.

— Nie przeczę, że nasze życie weselsze—ozwał się jeden z dawnych towarzyszy,—ale praca! Jaka tu u was tak wielka praca? albo to mało was jest tutaj do pomocy?

— A no, spróbuj iść na moje miejsce—zawołał Przemko — prędko odrzekłbyś się wszystkiego. Bo czego wam brak, wy, pieszczochy królewskie? Chodzicie strojni, na podziw

innym, a król o was dba, jak o źrenicę oka; wyście u niego pierwsi...

— Nie tak to, bracie, wszystko, jak ci się zdaje — ozwał się drugi;—to prawda, że król o nas dbały, ale nie w smak to nikomu z nas, że niewolnych podnosi do godności rycerskiej i daje nam za towarzyszy...

— Tak, tak—potwierdził pierwszy,—to nikomu nie może być do smaku. Król zapomina, żeśmy wszyscy z rodu władyków.

— Eh, bracie, nie wyrzekałbyś—rzekł Przemko, uderzając go po ramieniu. — Ciesz się lepiej tem, co masz. Czego ci się jeszcze zachciewa? Sam powiedz, co lepsze: czy z mieczykiem przy boku i w kołpaku rysim jechać w orszaku królewskim na dalekie wyprawy, w świat, czy w śmierdzącym kożuchu za pługiem chodzić? A on jeszcze wydziwia i wymyśla różne rzeczy. Jabym dziś z chęcią wrócił...

— Ej, wilczysko się ożeniło, uszy opuściło! — zaśmiał się Zbilut. — Już tyś nie ten, co dawniej.

— Nie ten, nie ten, bracie — odparł Przemko, kiwając głową.—Pamiętasz oną wyprawę cesarza Ottona, kiedyśmy to szli przez różne piękne grody a kraje? Ot, było życie! I że też są u nas jeszcze starzy, co wyrzekają na nowy porządek i mówią, że król niemiecki obyczaj wprowadza...

— Ktoby ich tam słuchał, starych zrzędów!—machnął ręką Zbilut.—Wiadoma rzecz, co wszyscy musimy znosić od naszych ojców za to, że na królewskim dworze jesteśmy...

— Ot, powtarzam ci, bracie—ozwał się znów Przemko,—żeby mi tak nie niewiasta i dziecko, no i gospodarstwo, to rzuciłbym tę wilczą norę i poszedłbym znów z królem i z wami w świat szeroki. Ale cóż robić! kiedyś grzyb, to leź do kosza, niema rady! A jeszcze w tej puszczy niezbyt raźno żyć, bo ma złą sławę. Powiadam wam, gdy noc nastanie, to my tu takie głosy słyszymy, że strach. Nieraz strażnik ledwie żyw stoi na wieży, bo powiada, że widuje całe gromady widm białych, jak się snują między drzewami.—Tu zniżył głos.

A jeszcze to sąsiedztwo Łysej góry także nie dodaje ducha. Przeklęci czarownicy pogańscy! jeszcze nie zapomnieli, że tam odwieczne miejsce ich zgromadzenia! Skoro więc noc zapada, każę wszystkie bramy zamykać szczelnie, bo jakoś człowiek wtedy czuje się bezpieczniejszym, choć to ponoć nie ochroni od złych duchów. A jeszcze co wam powiem, jako dobrym przyjaciołom, tylko nie mówcie tego nikomu: ojca mego zły duch nocami po puszczy wodzi.

— Nie może być! — zawołano zewsząd.

— Nieinaczej. Radziłem się o tem z opatem Tuni, a on powiada, że trzeba go przypilnować i zobaczyć, gdzie to on się udaje, gdyż inaczej nic na to poradzić nie można. Ale dobrze mu gadać! Czy to tak łatwo i bezpiecznie włóczyć się nocą po puszczy, gdzie tyle strachów? Wolałbym ze stoma Niemcami naraz się potykać.

— Ot, wiesz co, bracie! — zawołał nagle Zbilut — zdaj to na nas, my go przypilnujemy.

— A gdzież wam chodzić kędyś nocami po wertepach! żeby was jeszcze błędnice na bagna zawiodły?

— Nie będzie nam nic, zobaczysz – odparł Zbilut;—my się nie boimy strachów. Ot, powiedz tylko, kiedy stary się wymyka, a już my go podpatrzymy.

— Niech i tak będzie, skoro tego chcecie koniecznie — odparł Przemko, wzruszając ramionami. — Nie miejcież tylko do mnie urazy, jeżeli wam bezpięty karki pokręci.

— Nie bój się, bracie, ja się naprzód piszę, że żadnej a żadnej urazy do ciebie mieć nie będę, jeśli to się stanie — odrzekł, śmiejąc się, Zbilut. — Ale wszyscy iść razem nie możemy, bo byśmy niczego nie dokonali. Dalejże, chłopcy, kto pierwszy? Jeśli nikt nie chce zrobić początku, to ja się na to ofiaruję.

— Bracie — rzekł, kładąc rękę na ramieniu Zbyszka, milczący dotąd Ładon, — pozwólcie mi iść pierwszemu.

— Tak nie idzie, trzeba losy ciągnąć! — zawołano dokoła.

— A ja was proszę—powtórzył Ładon:—pozwólcie mi iść pierwszemu.

— No, niech idzie—ozwał się Zbilut;—o cóż wam chodzi tak bardzo? Nie uda się jemu, to wy pójdziecie.

A nalewając czarę miodu, zanucił:

—Kiedy mi czarny zastąpi drogę,
To czarę miodu mu podam.
„Miły bezpięty, teraz nie mogę,
Lecz potem więcej ci dodam.”

— A no, czy chcesz jeszcze jakiego licha napytać? — zawołał Przemko, przez pół żartem, przez pół naprawdę zaniepokojony. — Ciekawość, cobyś robił, gdyby ci bezpięty naprawdę zaszedł drogę?

— A coż? zapytałbym go o zdrowie—odparł Zbilut.

— Ejże, daj pokój, mówię ci — wyrzekł Przemko niechętny.

— Dobrze tobie; ty sobie jutro pójdziesz, gdzie cię oczy poniosą, a ja zostanę... i gdy z was który go obrazi, to czarny będzie się mścił później na mym dobytku. Ja tu w puszczy ze wszystkimi muszę żyć dobrze; bo niech sobie księża co chcą mówią, ale i dyabła gniewać nie można.

— Ja go też wcale gniewać nie myślę—odparł Zbilut,—przeciwnie, chcę z nim zawrzeć przymierze na wypadek, gdyby przyszło bliższą z nim zabrać znajomość.

— No, ale zobaczymy, jak się Ładonowi powiedzie; życzmy mu szczęścia na drogę i wypijmy jego zdrowie.

— Niech mu żadne nieprzyjazne duchy nie zachodzą w drogę! — zawołał ktoś inny.

— Nie tak, bracie—przerwał trzeci z towarzyszy:—niech raczej ujrzy jaką hożą boginkę, pluskającą na brzegu wody, w poświacie miesiąca.

— Żeby go jeszcze zwabiła do wody — odparł tamten— i stracilibyśmy druha? Źle mu życzysz!

— Niech tylko stara się, by mu się powiodło, inaczej nic go nie obroni od naszych żartów; mówcie mu to naprzód— rzekł trzeci.

— Tak samo on z ciebie drwić będzie, gdy ci nie dopisze — odparł Zbilut; — nie bądź tak pewnym siebie. Ale wiem, że Ładonowi powinno się udać, bo on najrozważniejszy z nas wszystkich; a gdy już raz co postanowi, to dokona, choćby stu biesów sprzysięgło się przeciw niemu. Pamiętam, nieraz, gdy król nas wysyłał na podjazdy przeciw nieprzyjacielowi, Ładon zawsze sprawił się najlepiej, choć wszystko robił cicho, a nie odgrażał się, ani chełpił, jak inni. I teraz mam dobrą nadzieję. My tu gadamy i krzyczymy, a on milczy, i zobaczycie, że ten, co milczy, stokroć więcej zrobi; przekonałem się o tem, choć sam nie mogę wyżyć bez tego, by się nie wygadać, gdy mi co na sercu leży.

— Będę się starał nie zawieść tej nadziei bracie — rzekł Ładon z uśmiechem.—O jedno was tylko proszę: do czasu nic nikomu o tem nie mówcie, niech to zostanie między wami. Czy zgoda?

— Zgoda! — odparł Zbilut — ale gdy nie powrócisz w porę, wszyscy, ilu nas tu jest, pośpieszymy szukać cię, a jeśliby się co z tobą stało, pomścić.

— Tak, tak! wszyscy!—powtórzyło kilka głosów.

— Będę zawsze pamiętał o waszych dobrych chęciach— odrzekł Ładon — i bądźcie pewni, iż postaram się za nie odpłacić. Nie wiem, gdzie jest Przemko; sądzę, że już wkrótce będzie pora wyruszyć na nocną wyprawę.

— Wyszedł niedawno; pewnie powróci i powie nam, co się dzieje — odrzekł ktoś z obecnych.

Gdy tak rozmawiali, nastała tymczasem północ. Przemko, który wyszedł był na chwilę, powrócił wkrótce i rzekł cicho:

— Kur już zapiał, nastała właśnie pora, kiedy mój ojciec wymyka się w puszczę. Chodźcie za mną; tylko niech żaden nie piśnie ani słówka, bo wszystko przepadnie. Koń

twój, Ładonie, stoi uwiązany do ostrokołu; kazałem mu nogi owinąć szmatami, by stąpania słychać nie było.

Wszyscy wyszli w milczeniu za gospodarzem. Miesiąc już wypłynął wysoko na niebo, oświecając jasno całą otwartą polankę, na której wznosił się gródek.

Czarna ściana puszczy stała nieruchomie, jak skamieniała, żaden listek nie drgnął na drzewie. Długie cienie od zabudowań kładły się na trawie, rosą zwilżonej. Widno było, jak w dzień; najmniejszy przedmiot, przesuwający się na przestrzeni między lasem a gródkiem, nie mógł ujść oka pilnujących. Przemko i jego goście ukryli się za węgłem, czekając. Drzwi od świetlicy otwarły się cicho, ostrożnie... Na progu stanął starzec siwy, trzęsący się.

Długie jego białe włosy oświecał teraz blask miesiąca, odbijający się także na ostrzu topora, który miał za pasem, i w blasku tym starzec wyglądał tak pomarszczonym, zgrzybiałym, że wydawał się jak jakaś nadprzyrodzona istota, jak trup, który nagle powstał, by iść kędyś za głosem jemu tylko zrozumiałym. Bo oto nadstawił ucha, jakby na czyjeś wołanie; oczy bez blasku, martwe, zwrócił do twarzy miesiąca i stał tak niemy przez chwilę. Dziwny to był widok, dziwny i straszny zarazem, gdy ta postać grobowa zbliżyła się do konia, stojącego w kącie stajenki, i wyprowadziła go na podwórze. Psy zbudzone zaszczekały, lecz on rzucił im coś i natychmiast umilkły. Otworzył bramę, a wsiadłszy na koń, skierował się w stronę lasu, który wznosił się przed nim senny, czarny, milczący... Jechał wciąż, w księżyc wpatrzony, jakby posłuszny jakiemuś tajemniczemu głosowi, wołającemu go gdzieś w dal, w nieprzebyte głębie puszczy.

Ładon tymczasem podszedł cicho do swego konia, i uzbroiwszy się w łuk i topór, wskoczył nań bez żadnego szmeru i podążył za jadącym, trzymając się w pewnej odległości, by nie być przezeń dostrzeżonym. Koń jego, jakby rozumiejąc położenie, nie parsknął nawet. Zresztą łatwo było śledzić za

starcem, mającym słuch osłabiony przez wiek i prócz tego pogrążonym jakby w śnie letargicznym.

Przed nim leżała obszerna przestrzeń, biała i cicha, a zioła i trawy uginały się pod kopytami końskiemi, by znów podnieść się za chwilę. Srebrne tumany podniosły się z lasu, i czepiając się gałęzi, rozpływały powoli wśród drzew. Słychać było, jak rosa opada z traw; cisza głucha, senna, leżała nad całem otoczeniem, przerywana tylko ćwierkaniem świerszcza polnego, który odzywał się raz po raz tak monotonnie, że ucho, przywykając do tego głosu, nie odróżniało go wkońcu od innych szmerów natury.

Wjechali w las. Było tam ciemno zupełnie, tylko gdzieś przez otwór między gałęziami przedzierał się błędny promień księżyca, ale i on nie rozświecał grubych ciemności dokoła, bo od światła jego nabierały srebrzystego połysku tumany, zalegające puszczę, nic dojrzeć nie dając oku. Ładon słyszał tylko przed sobą stąpanie konia starego Zaboja i kierował się za niem. Niekiedy własny jego koń parsknął i trwożliwie rzucił się w bok, a przeciągłe syczenie dawało się zwykle słyszeć potem. Mimowolny przestrach i trwoga uroczysta przejęła go, gdy wjechał w te wilgotne głębie, gdzie na każdym kroku poruszały się w ciemnościach jakieś nieokreślone istoty. Tam coś mignęło na dróżce, oblanej światłem miesiąca—może to zając przeskoczył, a może jaki duch leśny skrył się w gąszczach. Głuchą ciszę przerywały teraz od czasu do czasu głosy straszne, rozlegające się wśród nocy. Raz było to wycie wilków, powtarzane przez echo borów, to znów chichot jakiś okropny, napełniający las cały, jakby stu szatanów zanosiło się od śmiechu piekielnego.

Wśród puszczy miejscami leżały całe stosy pni spróchniałych, których próchno, przesiąkłe wilgocią, za poruszaniem kopyt, świeciło w ciemności. Koń starego Zaboja, postępując na przodzie, zostawiał za sobą niekiedy takie ślady ogniste, niby koń upiora, o którym pieśń mówi, iż porwał dziewczynę. Po tych śladach jechał za nim Ładon, choć

jazda była coraz trudniejsza, bo puszcza z każdym krokiem stawała się ciemniejszą i bardziej nieprzeniknioną; czasem zarośla były tak gęste, iż zdawało się niepodobieństwem chcieć się przedrzeć przez nie. Zwalone i leżące na ziemi konary, niby jakieś suche, wyciągnione ramiona, chwytały i obejmowały nogi konia. Zabój jednak śmiało, bez wahania, jechał przed siebie; widocznem było, iż często tę drogę odbywał. Wreszcie przed jeźdzcami odkrył się dół skalisty i porosły gęstwiną; starzec spuścił się do wądołu i nagle Ładon stracił go z oczu; a gdy się sam tam znalazł z kolei, już Zaboja nie było. Daremnie przeszukał wszystkie zarośla, daremnie wyjechał na drugą stronę parowu—stary znikł, jakby się pod ziemię zapadł.

Stanął, namyślając się, co ma czynić.

Przed nim stała puszcza, pełna strachów, ciemna, niezbadana, w której łatwo było zbłąkać się, straciwszy z oczu tego, kogo śledził i kto zarazem służył mu za przewodnika. Ale z drugiej strony, wracać i wyrzec się tak łatwo swego zamiaru, byłoby to narazić się na śmiech i żarty towarzyszy. Postanowił więc jechać dalej, bądź-co-bądź, chciał bowiem koniecznie dowiedzieć się gdzie udaje się nocą ten starzec zgrzybiały, który na pozór zdawał się mieć tyle siły zaledwie, aby przesunąć się po izbie. Jechał więc wciąż przed siebie, kierując się, jak mógł, wśród gąszczy; gałęzie biły go po twarzy, koń co chwila potykał się na stosach łomu, pod nogami coś się poruszało, syczało, gwizdało, a wierzchowiec strzygł uszami. Wydostał się wreszcie, uradowany, na jakąś niewielką polankę, porosłą trawą i krzakami czarnego jałowcu.

Polana tonęła cała w świetle miesiąca tak, że każde najmniejsze ziółko, każde źdźbło trawy odróżnić było można. Lekka tylko mgła snuła się po niej. Nagle coś wyskoczyło z pod nóg konia; Ładon sądził z razu, że to zając lub lis, lecz stworzenie to, zamiast zniknąć w zaroślach, znów nie wiedzieć skąd znalazło się pod koniem. Siwy, spłoszony, począł głośno sapać i okazywać oznaki zaniepokojenia, a owo zwie-

rzę, czy cokolwiek było, wciąż to wyskakując, to kryjąc się w zarośla, wpadło pod nogi konia. Było ciemnej maści, nie większe od lisa, lecz znikło tak szybko, że nie można mu się było przyjrzeć bliżej. Ukazywało się tak razy kilkanaście i opuściło go dopiero, aż przebył polankę. Był przekonany, że to wertepnik przybrał na siebie tę postać, by go obłąkać w lesie, i wiedział już, że do rana nie odnajdzie drogi w tej puszczy.

Znów zamknęło się nad nim to samo sklepienie drzew, te same zarośla otoczyły go i zdawały się szarpać ze wszech stron, a szelest ich brzmiał niby słowa: „Nie jedź dalej! Nie jedź dalej!"

Puszcza także zbudziła się i szumiała groźnie. złowrogo, drzewa szeptały: „Świętokradco, chcesz wydrzeć naszą tajemnicę! Niedość, że zakłóciliście nasz spokój, rąbiąc stare dęby, które niegdyś czcili twoi ojcowie, ale i teraz wdzieracie się w to państwo, gdzie opiekuńcze duchy lasów mają swoje siedziby. Wygnaliście je zewsząd, wasi to księża zrobili szatanów z tych istot dobrych i przyjaznych, które, jak wy, wzięły życie z ziemi świętej, z wód tych modrych, ze strumieni żywych, a teraz, gdy my im daliśmy schronienie u siebie, aż tu wdzieracie się, by spokój ich zamącić!"

Tak szeptały drzewa. Szept ten nie ustawał ani na chwilę, wzmagał się owszem i w groźny chór wkońcu przeszedł. Dęby, lipy, jodły, sosny, świerki, brzozy, wszystkie gniewnie huczały nad głową jeźdzca, wołając przeciągle: „Nie puścimy! Nie puścimy!" A choć rycerz króla Chrobrego mężnego był serca, nie bał się w dzień choćby stu Niemcom zajrzeć w oczy, tu jednak, na ów groźny szum puszczy, uczuł, że trwoga obejmuje go coraz bardziej. Z za każdego pnia, z za każdego liścia zdawało się spoglądać nań jakieś oko mściwe, każda gałąź stercząca była jak ramię, chwytające go, by gwałtem powstrzymać. Nieprzytomny niemal, z głową pałającą, nie wiedział zupełnie, dokąd jedzie, i z głębokiem zdziwieniem, po godzinnem może błąkaniu się, znalazł się znów

na tej samej polanie, którą niedawno opuścił. Wertepnik znów go zawiódł na nią. Zsiadł z konia, a wdrapawszy się na drzewo, rzucił okiem dokoła, by widzieć, gdzie się znajduje.

Jak okiem zajrzeć, w tumanie białym kołysały się wierzchołki nieprzebytej puszczy; góra Łysa sterczała na pozór tak blizko, że dość było kilka kroków zrobić, by znaleźć się u jej stóp. Ale Ładon wiedział, że oddzielają go od niej jeszcze znaczne przestrzenie lasu. Na lewo, niedaleko od polanki, błyszczało zwierciadło wody; było to Jezioro Wodnic.

Zlazł z drzewa, rad, że znajduje się nieopodal od znajomej miejscowości, i postanowił skierować się w tę stronę. Przejechał jeszcze kawałek puszczy zawalnej i wkrótce drzewa rzednieć zaczęły—zamiast dębów, jodeł i lip, ukazały się olchy i osinki. Wreszcie znalazł się w kotlinie, na dnie której blade i osnute mgłą białą leżało Jezioro Wodnic.

Miesiąc kąpał się w jeziorze, mgły długie, białe, wyciągały się i podnosiły, podobne widmom; słowik zawodził w łozie, smutny głos podjadka rozlegał się w trawie. Ładon postanowił zatrzymać się tu, by dać wypocząć siwemu, zsiadł zeń i, napoiwszy, puścił go na paszę. Sam zaś uzbierawszy suchych gałęzi, rozniecił ogień i legł przy nim, bo wilgotna mgła na wskróś go przejmowała. Ogień szybko pożerał suche paliwo i, by nie wygasł, Ładon musiał wciąż dorzucać gałęzi, a utrzymywać go było trzeba, bo ogień jedynie oddala dzikiego zwierza.

Niedługo jednak tak leżał, gdy usłyszał nagle tętent konia. Przybliżał się on szybko i wkrótce z zarośli ukazał się jeździec. Był to ten sam, którego widział owego ranka tu, nad jeziorem, prawie w tem samem miejscu. Widocznie dostrzegł ogień, bo natychmiast zbliżył się w jego stronę. Ładon podniósł się, szukając koło siebie topora, bo nie wiedział: przyjaciel czy wróg się zbliżał?

Stanęli naprzeciw siebie.

— Hej, ty służko królewski!—zawołał Masław, spojrzawszy nań — kogóż to śledzisz tutaj w puszczy? Jaką nocną zwierzynę tropisz?

— Puszcza wolna każdemu—odparł Ładon spokojnie, patrząc mu w oczy — i wolno tropić w niej taką zwierzynę, jaką się komu podoba. Czemu mi w drogę zachodzisz, jeśli ja tobie nie wchodzę?

— Nie wchodzisz mi w drogę, nie wchodzisz? — powtórzył Masław szyderczo.—A czemuż to już po raz drugi spotykam cię w tem miejscu? Czemu się włóczysz po nocach?

— Mnie tak samo wolno się ciebie zapytać: Czemu się włóczysz po nocach i oka ludzkiego się obawiasz? — odrzekł Ładon. — Jam cię nie śledził, ale sam się zdradzasz, kto jesteś. Ustąp mi z drogi, bo i ja mam miecz przy boku i użyć go potrafię.

I dobywszy miecza, stanął w postawie obronnej.

— Poczekaj, czy długo go używać potrafisz, ty szpiegu królewski! — mruknął Masław, dobywając także miecza i najeżdżając koniem na przeciwnika.

W tej samej jednak chwili kiedy Ładon, uskoczywszy w bok, gotował się do obrony, z zarośli świsnęła strzała i uwięzła mu poniżej ramienia. Jęknął i powalił się na trawę.

Z gęstwiny wysunął się człowiek, odziany w skóry, z łukiem na plecach.

— A co, czy dobrze trafiłem? — pytał z zadowoleniem, podczas gdy Masław, pochyliwszy się z konia, przypatrywał się leżącemu, a widząc krew płynącą obficie z rany, skinął głową, podczas gdy w oczach błysnęła mu jakaś okrutna radość.

— Może go dokonać? — spytał nowoprzybyły, równie przyglądając się powalonemu rycerzowi. Masław potrząsnął głową.

— Nie trzeba — odparł;—dziki zwierz zrobi to za nas.

Wyprostował się, jeszcze raz zwycięsko spojrzał na leżącego przeciwnika, i zawróciwszy konia, wraz z towarzyszem swym znikł w zaroślach, pozostawiając za sobą ogień, płonący samotnie wśród puszczy i połyskujący wśród niej niby gwiazda.

. . . .

Ładon sam nie wiedział, jak długo pozostawał tak bezwładny i bezprzytomny; wkońcu jednak ból i chłód nocny obudziły go. Obejrzał się dokoła siebie; ognisko jeszcze tlało, koń jego pasł się na brzegu jeziora, które, tak jak pierwej, leżało ciche w zwojach mgły, to się podnoszącej, to opadającej znowu. Drzewa pochylały się nad nim nizko, maczając gałęzie w wodzie.

Lecz powoli brzegi zaczynają się zaludniać; jakieś białe postaci, niby z mgły utkane, występują z łona wód; oto cała ich gromada, wziąwszy się za ręce, zawodzi pląsy po trawie nabrzeżnej. Ich mokre warkocze, w których wiszą zioła wodne, rozwiewają się w tańcu, a krople z nich padają niekiedy na rozpalone czoło Ładona—i jakżeż go orzeźwiają! zda się, że to deszczyk wiosenny nań spada. Na pozór wodnice zdają się być piękne; białe jak łabędzie, z włosami rudymi lub złotymi, lecz oczy ich świecą zimno, martwo, jak ta toń wodna, która i pociąga do siebie i straszy swą zimną głębiną. Jedna tylko postać wśród owego koła wygląda bardziej na ludzką istotę; oczy jej błyszczą cieplejszym blaskiem, kosy jej, czarne jak skrzydło krucze, nie zmoczone wodą jeziora; lecz trudno ją z razu odróżnić od gromady jej sióstr, gdyż wziąwszy się z niemi za ręce, tańczy i śpiewa tak samo jak one.

Ładonowi zdawało się, że ją już gdzieś widział, lecz obecnie nie mógł sobie tego przypomnieć; w głowie czuł dziwny zamęt.

Wodnice tymczasem tańczyły wciąż i śpiewały—a jakże śpiew ich był słodki! niby szmer wody, płynącej po kamieniach w piękny dzień letni, niby szum sitowia na jeziorze,

kiedy wiatr pójdzie po nim i poruszy wszystkie drzewa i trawy nabrzeżne. Ze szmeru tego wyłaniały się słowa pieśni smętnej i dzikiej:

Tańczmy nad wodą, tańczmy wesoło—
Nikt nas nie widzi o tej godzinie.
Gdzieś sowa tylko huka w gęstwinie —
Pląsajmy, pląsajmy wkoło!

Mgły białe wstają nad cichą tonią,
W dalekiej puszczy wilczyca woła,
Czarne olszyny nizko się kłonią—
Zawiedźmy taneczne koła!

Nasza pieśń słodka niech o tej porze
Hożych młodzieńców w głębinę woła;
Niejeden spoczął już tam w jeziorze—
Zawiedźmy taneczne koła!

Lecz śpieszmy, siostry, bo czas przychodzi,
Gdy dzwon zagłuszy pieśń tę wesołą —
Czuję, jak wroga już moc nadchodzi...
Pląsajmy, pląsajmy wkoło!

Wkrótce jednak postaci pląsających wodnic poczęły się mieszać w oczach Ładona; wreszcie zamieniły się w jeden biały tumian, który rozpłynął się wkońcu i osiadł nad jeziorem jako mgła srebrna.

Na niebie od wschodu ukazał się skrawek bladego świtu. Przed okiem Ładona wszystko zaczęło się mącić i przybierać nieokreślone jakieś kształty; drzewa zamieniły się w olbrzymie, czarne istoty, cisnące się ku niemu; patrzyły z szyderstwem, jak na pokonanego wroga.

VII.

W Kielcach dwór królewski był w poruszeniu.

Na same święta Wielkanocne przybył dziewierz Bolesława, Herman, margrabia Miśnii, w poselstwie od cesarza, srodze zagniewanego na króla za podburzenie Słowian nadel-

biańskich, którzy mu o tem sami następnie donieśli, gdy bawił na Wielkanoc w Ratysbonie.

— Chcesz wojny, będziesz ją miał — kazał cesarz powiedzieć Bolesławowi.

Wszyscy wojewodowie zostali wezwani do króla, radzono o opatrzeniu grodów nad Odrą, mnóstwo gońców wysłano w rozmaite strony, rozesłano wici natychmiast w najdalsze krańce królestwa i wszystko dokoła było w poruszeniu. Każdy spełniał otrzymane polecenie z pośpiechem, bo król nie cierpiał ospałości i sam wglądał wszędzie. Wojna za owych czasów nie była rzeczą nadzwyczajną, lecz stanem zwykłym — to też wiadomość o niej nie sprawiła żadnego zamieszania; wiedziano już z doświadczenia, co w takim razie czynić należy; przytem karność i porządek, wszędzie zaprowadzone przez Bolesława, sprawiły, iż nie było zwykłego w owych wiekach ociągania się w zebraniu sił zbrojnych. Na pierwszą wieść o wojnie, która piorunem przeleciała przez kraj cały, każdy był już na stanowisku. Wszędzie czuć było silną dłoń, wszędzie oko niestrudzone czuwało, i nie było człowieka, któremuby się nie zdawało, że oko to wciąż na niego patrzy; ta myśl dodawała bodźca nawet najopieszalszym.

Bolesław zamierzał wielką wyprawę na Niemców z pomocą Lutyków, Obotrytów i innych nadelbiańskich plemion, lecz te, nie pojmując własnego interesu, zdradziły go przed cesarzem Henrykiem i teraz trzeba było wieść wojnę nie zaczepną, ale odporną. Bolesław zagniewany poprzysiągł, że „zdrajcy będą krwawemi łzami opłakiwać swą zdradę.”

Dwór przez cały ten czas chodził na palcach, wiedziano bowiem, że niedobrze jest narazić się na gniew króla, a lada co mogło go wzniecić w takiej chwili.

Cicho było dokoła, jak makiem zasiał; mówiono tylko szeptem, stąpano jak po rozżarzonych węglach.

Chociaż tydzień już upłynął, jak Ładon był nieobecnym, nikt jednak nie zdawał się tego spostrzegać; wojewoda Bożydar wcale się nie niepokoił długiem oczekiwaniem powrotu syna,

sądząc, że się zabawił w gródku którego ze znajomych władyków. Zbyszek zaś i inni dziwili się wprawdzie, że Ładon nie przybywa, lecz przyobiecawszy sobie nawzajem tajemnicę, nic nikomu nie mówili o tem.

Margraf Herman dotąd jeszcze bawił w Kielcach ze swoim dworem, licznym i dość wspaniałym, i, naturalnie, z samych Niemców złożonym. Zbilut i inni młodzi rycerze często miewali utarczki z tymi ostatnimi, z powodu okazywanej przez nich wzgardy dla wszystkiego, co widzieli w nienawistnej im słowiańskiej ziemi.

Jednego dnia, wieczorem, Zbilut wsunął się do mieszkania opata z miną, która okazywała, że chce coś powiedzieć, a nie wie, od czego zacząć.

Opat, który go znał dobrze, popatrzył i natychmiast domyślił się, że z czemś przychodzi, ale nic z razu nie mówił.

Zbilut powitał opata, całując go w rękę, i począł kręcić się, przestępować z nogi na nogę, nie mogąc się zdobyć na słowo.

Wreszcie ozwał się nieśmiało:

— Ojcze miły, przyszedłem.., chciałbym...

— Pewnieś już co zbroił swoim zwyczajem — rzekł opat spokojnie.

— Jak wy, ojcze, zaraz poznacie! A toć ja jeszcze nic nie rzekłem...

— No, no, zaczynaj — przerwał opat; — znam już cię dobrze; musiałeś pewnie jakieś nowe głupstwo popełnić, a teraz chciałbyś, bym ci dopomógł je zagładzić.

— A tak, niby... — rzekł Zbilut zakłopotany.

— A widzisz, zgadłem — rzekł opat.—Cóż tam znowu nowego?

— A ot, napytałem sobie biedy z tymi Niemcami. Bo też to plemię! niczem im dogodzić nie można! Chleb nasz im nie do smaku, miód nasz im niesłodki; miałem nieraz ochotę zapytać, czy pięści nasze nie będą im lepiej smakowały... alem się powstrzymał, dla miłego spokoju...

— Oczywiście — potwierdził opat, — ty zawsze wielce miłowałeś spokój...

— Prawdę rzekłszy, najbardziej bałem się gniewu króla — rzekł Zbilut, nie zwróciwszy uwagi na ironiczny ton opata. — Ale ze wszystkich najbardziej mię gniewa ten gruby Kurtz, podczaszy margrafa; je, hultaj, za trzech, a wciąż znajduje coś do przygany, tak w jadle, jak w napoju. Już wreszcie nie stało nam cierpliwości, postanowiliśmy go nauczyć...

Tu Zbilut uśmiechnął się z zadowoleniem na wspomnienie psoty.

— Puściliśmy na niego Maruchę...

— Jakto, puściliście niedźwiedzia? — zawołał opat.

— A tak, przecież on nikomu nic złego nie robi, tylko ten głupi Niemiec bał się go. Otóż raz pojechaliśmy z nim na łowy do lasu i po cichu zostawiliśmy go pod drzewem samego aż tu z za krzaka wychodzi Marucha... Niemiec rzucił oszczep i w nogi, a Marucha za nim, bo przywykł gonić służbę dworską... My, śmiejąc się, przypatrywaliśmy się z daleka tej gonitwie, ale wkońcu mówimy sobie, że trzeba uspokoić Niemca, że to nie dziki niedźwiedź za nim goni, tylko oswojony; cóż, kiedy niepodobna go było dopędzić... Cośmy się nakrzyczeli, cośmy się nawołali, nic nie pomogło! Niemiec przepadł gdzieś jak kamień w wodę... W ziemię się zapadł, czy go boginki porwały!...

— Mówiłem ci już nieraz, żebyś przy mnie nie wspominał o tych pogańskich zabobonach! — przerwał opat surowo.

— Nie będę, ojcze — odparł Zbilut skruszony; — ale naprawdę w pierwszej chwili nic innego pomyśleć nie można było. Dopiero później spostrzegliśmy, że musiał on spaść na dno głębokiego parowu, który tam w lesie się znajduje, bo nawet w jednem miejscu widać połamane krzaki i ziemię oberwaną; ale gdzie się stamtąd podział, tego zgadnąć nie umiem...

— Kiedyż wreszcie wywietrzeją wam z głowy głupstwa podobne? — zawołał opat. — I to rycerze królewscy zabawiają się takiemi psotami, godnemi niedorosłych chłopiąt!

— Wiem już dobrze i sam, że byłem głupi, kiedy podałem myśl do tej psoty; ale teraz powiedzcie, ojcze, co czynić, żeby uniknąć gniewu naszego króla?

— Bardzo słusznie, że sobie oddajesz sprawiedliwość, tylko szkoda, że po niewczasie—rzekł opat spokojnie, patrząc na Zbiluta, który chodził, miotał się, nie mogąc ustać na miejscu, i wszystkie włosy potargał sobie na głowie z wielkiego wzruszenia.

— Czy margraf już wie o zniknięciu podczaszego?

— Dzisiaj się dowiedział i podobno chce iść na skargę do króla. Tego tylko brakowało! Król teraz taki, że, zda się, byle mucha przeleciała przez izbę, to się rozgniewa... Nie śmiem nawet myśleć, co to będzie, gdy się dowie o wszystkiem...

— Sprawa to rzeczywiście bardzo zła, król się na pewno rozgniewa, skoro się dowie, że w chwili, gdy idzie o tak ważne sprawy, wam w głowie podobne psoty — rzekł opat poważnie i surowo.

— Ale powiedzcie, ojcze, co ja teraz mam czynić? — zawołał Zbilut rozpaczliwie.

— Obiecuję ci, że będę się starał wytłómaczyć, o ile w mej mocy, przed królem waszą psotę; ale nie ręczę, czy mi się uda; wiesz, że nawet dla mnie trudny przystęp do króla, gdy jest zagniewany.

— Już ja wiem, ojcze, że dla was wszystko łatwe, gdybyście tylko zechcieli — rzekł Zbilut, znów całując rękę opata; — wasza mądrość znajdzie zawsze sposób, bo już niema chyba na świecie mędrszego od was człowieka.

— A osobliwie, gdy wy głupstw jakich narobicie; bo to już nie pierwszy raz, przypomnij sobie tylko, ochraniam was od gniewu królewskiego; oby przynajmniej był ostatnim.

— O, zaręczam wam, ojcze, że to ostatni! — zawołał Zbilut.

Wkrótce po tej rozmowie z opatem Zbilut został wezwany do wojewody Sieciecha. Na wstępie zaraz wojewoda zapytał go surowo:

— Coście zrobili z Kurtzem, podczaszym margrafa? Powiadają, że wczoraj po południu poszedł z wami na łowy do lasu i nie wrócił dotąd. Margraf wciąż się o niego dopytuje i z pewnością ta sprawa dojdzie do króla, jeśli podczaszy się nie znajdzie. Co to wszystko znaczy? Czy myślicie, że król daruje podobną swawolę? I teraz jeszcze, kiedy bynajmniej nie jest skłonnym do żartów!

— Wojewodo — rzekł Zbilut, — bieda się stała, ot, sam nie wiem, jakim sposobem; zmiłujcie się, zróbcie tak, by król o niczem nie wiedział!

— Czyż nie mówiłem, że tu jest jakaś swawola! — zawołał wojewoda. — Coście zrobili z Kurtzem?

Tu Zbilut jął opowiadać wszystko, jak było, mówiąc, że Niemiec musiał to uczynić naumyślnie, aby im na złość zrobić. Wojewoda uśmiechnął się mimowoli na te słowa, ale wnet przybrał ton surowy.

— Wasza psota jest nie do darowania! Szczęście wasze, że król jeszcze o niczem nie wie, inaczej na zawsze odbiegłaby was chęć do żartów! Chciałbym nawet, by się dowiedział, bo przechodzi to już wszelką miarę!

— Nie, wojewodo!— zawołał Zbilut — ja wiem, wyście dobrzy, spełnicie moją prośbę. Jeśli zechcecie, potraficie tak obrócić tę sprawę, że król się o niczem nie dowie; potraficie także uspokoić margrafa, a może tymczasem ów utrapiony Niemiec się znajdzie. Tylko nie opuszczajcie nas, bo bez was przepadniemy! Nie wiem cobym oddał teraz za to, żeby podczaszy był tutaj! Wierzajcie mi, że gdyby można było gdzie dostać jakiego fałszywego Kurtza, z takim samym nosem czerwonym, z takim samym dużym brzuchem i grubemi łydkami, zarazbym go wam dostawił, abyście

mieli czem uspokoić margrafa; ale cóż, jestem pewien, że gdybym zjechał kraj cały, od Poznania do Krakowa, jeszczebym drugiego żywego Kurtza nie znalazł, a na wypchanym zarazby się poznali! Cóż więc mam robić?

— No, no — rzekł wojewoda, napółśmiejąc się, napół grożąc,—tym razem was wyratuję, ale pamiętajcie, by to było po raz ostatni. Tu nie idzie o jednego grubego Niemca, jest ich i tak aż nadto na świecie, ale o to, że zniknięcie podczaszego może obrazić margrafa, który snadno mógłby to poczytać za umyślną zniewagę dla siebie. Trzeba więc starać się wybić mu z głowy myśl podobną, nad czem będę pracował, a wy starajcie się odszukać Kurtza.

Po tej rozmowie wojewoda rzeczywiście udał się do margrafa Hermana, bo dowiedział się, że ten był nadzwyczaj oburzony zniknięciem swojego podczaszego, zwłaszcza, że kilku złośliwych i nieprzyjaznych Zbilutowi napomknęło mu o psotach, jakie ten wyrządzał Kurtzowi.

Wojewoda zastał margrafa nader wzburzonym; siedział przy dzbanie piwa, czerwony i zagniewany; gdy tylko ujrzał wchodzącego Sieciecha, zawołał z daleka:

— Cóż, nie powrócicie mi mego podczaszego? Co to za porządek u was na dworze, by jakieś młokosy ośmielali się stroić żarty z najstarszego z moich dworzan! Ja tego tak nie przepuszczę; udam się z tem do króla, niech winnych ukarze i niech mi powróci Kurtza! Twarz jego jeszcze bardziej się zaczerwieniła, gdy to mówił, począł bić pięścią w stół, sapiąc przytem głośno.

— Wasza miłość—ozwał się wojewoda spokojnie,—któżby się ośmielił stroić żarty z waszych dworzan! Każdy przecie zna należną wam cześć i zachowanie, i wie, że gdyby uchybił w czem krewnemu naszego pana, naraziłby się na gniew jego. Bądźcie pewni, że zarządzimy najstaranniejsze poszukiwania, aby odnaleźć waszego dworzanina; roześlę nawet zaraz kilku gońców w różne strony, a jestem pewien, że prędko odszukają zgubę. Musiał on się zbłąkać w puszczy,

w czasie łowów, ale mam niepłonną nadzieję, że nic mu się złego nie stało.

Wojewoda mówił z takiem przekonaniem, że potrafił uspokoić margrafa—i tak straszna burza została zażegnaną. Margraf Herman opłakiwał tylko po cichu swego wiernego Kurtza, w czem mu towarzyszył dwór cały, pragnąc tym sposobem zaskarbić jego względy.

Tymczasem do Kielc przybył Przemko ze swego gródka, donosząc, że żadnej wieści nie miał dotąd o Ładonie, ale że ludzie jego znaleźli nad Jeziorem Wodnic miecz, należący do młodego rycerza, oraz zauważyli ślady krwi na zdeptanej trawie.

Wojewoda Bożydar, skoro ujrzał ów miecz i wysłuchał Przemkowych doniesień, był przekonany, że syn jego padł ofiarą jakiejś napaści. Skoro wszedł do króla, oblicze jego było tak zmienione, że Bolesław zapytał natychmiast:

— Cóż to się stało, wojewodo?

— Miłościwy panie — rzekł wojewoda, starając się opanować wzruszenie, które mu głos ściskało w gardle,—dowiedziałem się teraz, dlaczego syn mój nie wracał dotąd... oczy moje nie ujrzą go więcej...

— Jakto, co się z nim stało?

Wojewoda opowiedział wszystko, co mu doniósł Przemko i czego się dowiedział od towarzyszy Ładona.

— Cóż to za szalone głowy! — zawołał król niecierpliwie. — Wiedziałem, że Zbilut jest wartogłowem, ale nie spodziewałem się, że i Ładon... Trzeba go jednak szukać, wojewodo; wyślijcie ludzi do puszczy... Dobrze wyjdę, jeśli najlepszych rycerzy potracę przed wojną!

— Wy, miłościwy panie, straciliście jednego z najlepszych rycerzy, a ja więcej jeszcze, bo jedynego syna i dziedzica—odrzekł wojewoda ponuro.

— Prawda—odrzekł król z westchnieniem;—żal mi was szczerze, wojewodo, boć i ja jestem ojcem i pojmuję waszą bo-

leść. No, ale nie wszystko jeszcze stracone... toć niema żadnej pewnej wieści o jego śmierci; bądźcie lepszej myśli...

— Staram się, miłościwy panie, ale trudno mi to przychodzi — odrzekł wojewoda; a chcąc stłumić żal gwałtowny, jaki nim miotał, zacisnął obie pięści na piersiach szerokich.

Nagle dodał, zmieniając rozmowę:

— Jakie macie dla mnie polecenia, miłościwy panie?

— Chciałem was posłać jutro do Krakowa — odrzekł król, zdziwiony tym nagłym zwrotem,—ale teraz...

— To nic, miłościwy panie, zawsze poślijcie...

— Może się co po drodze dowiecie — dodał król.

— Na to małą mam nadzieję, miłościwy panie—odparł wojewoda z ponurem przekonaniem,—ale troskę trzeba strząsnąć z siebie, by nas nie zjadła, albo nie przemieniła w babę, co tylko zawodzi i ręce łamie. Dlatego też proszę was, miłościwy panie, dajcie mi jakie trudne polecenie, a zaręczam, że je spełnię dobrze, bo gdy na miejscu będę siedział, to w głowie mi się coś przewróci, a wówczas na nic się wam nie przydam.

— Dlaczegóż nie macie nadziei? przecie nic niema jeszcze pewnego, że wasz syn zginął? — spytał król.

— Poznałem miecz mego syna — odrzekł posępnie wojewoda; — wiem, jestem pewny, że żywy nie rozstałby się z nim nigdy... Nie mogę już spodziewać się niczego dobrego...

W tym czasie przygotowania do wojny były ukończone i zbrojne hufce pociągnęły ku Magdeburgowi, po drodze karcąc okropnie odstępcze plemiona; wszędzie rozlegały się jęki i wznosiły w górę dymy pożogi.

Margraf Herman pojechał jednocześnie do Ratysbony, do cesarza Henryka, z odpowiedzią od szwagra, która brzmiała w te słowa:

„Chrystus świadkiem, jak niechętnie przedsiębiorę, co czynić teraz będę, ale nie zwykłem uchylać się od wojny.”

VIII.

Ładon, utraciwszy przytomność, nie wiedział, jak długo przeleżał nad jeziorem, ani co się przez ten czas z nim działo; gdy po raz drugi otworzył oczy, ujrzał się w nizkiej chacie, zbudowanej z sosnowych bierwion; leżał na łożu, zasłanem owczemi skórami; pośrodku, w zagłębieniu, płonął ogień na kamieniach, a przy nim gotowało się jadło.. Na stole płonęło łuczywo, a przy łuczywie człowiek jakiś naprawiał sieć rybacką. Twarzy łagodnej, ciemne włosy obcięte miał okrągło, odziany zaś był w postoły z łyka lipowego i białą świtkę, zarzuconą na jedno ramię, po wierzch długiej koszuli, przepasanej skórzanym pasem. Nieopodal, na ławce, siedziała młoda, hoża niewiasta w białej namiotce i kołysała dziecię w kolebce, nucąc mu coś półsennym głosem.

W chacie było spokojnie i zacisznie, okiennice pozasuwane, płomień trzeszczał na ognisku, przy którem wygrzewał się wielki pies kudłaty. Ściany nie były wylepione gliną, a wprost drewniane, stawiane w zrąb, szpary starannie mchem poutykane; woń żywicy unosiła się dokoła. Po kątach leżała broń: oszczep, łuk i topór, dalej porozwieszane sieci, na półkach porozstawiane widniały statki drewniane, a jedna półka, najwyżej, pod pułapem umieszczona, była zajęta przez kamienne bałwanki, wraz z ziołami i innymi przedmiotami, składanymi im w ofierze.

Ładon mimowoli począł się przysłuchiwać słowom pieśni, śpiewanej przez kobietę; nuta jej dźwięczała mu jak dalekie przypomnienie dzieciństwa, ale słowa były dziwne i dobywały się z ust niewiasty niby we śnie, jakby śpiewała nie ona, a inny ktoś przez jej usta:

— Śpij, dziecino, śpij — w lesie zmory wstają,
Siwy wilk już bieży, niedźwiedź w gąszczach leży,
Sowa huka w krzach.
Sokolica dzieciom drobnym żer ciepły podała

I przykryła je skrzydłami, piersiami ogrzała;
W borze czyha strach, w borze czyha strach!
Śpij, dziecino, śpij — zmory ponad wody
Tańczą w korowody,
Wilk ściga łanię przy blasku miesiąca,
Woda stoi śpiąca;
W trzcinach na wybrzeżu żaby rechotają,
W olszynie, w gęstwinie puhacze hukają—
Śpij, dziecino, śpij!

Piosnka zdawała się usypiać jednakowo i matkę i dziecko; kobieta pochyliła głowę na piersi i widocznie drzemała.

Na dworze słychać było tymczasem, jak ciepły deszcz wiosenny uderzał o okiennice i spływał po dachu; od czasu do czasu nawet grom rozlegał się słabo. Tutaj jednak było tak zacisznie, iż zapominało się całkiem, że tam kędyś grzmoty huczały nad puszczą.

Ładon starał się przypomnieć sobie i zrozumieć, skąd się mógł wziąć tutaj. Chata i ludzie byli mu całkiem nieznani; prócz tego pamiętał dobrze, że gdy stracił przytomność, na niebie zaczynało już świtać, teraz zaś widocznie była noc, czy wieczór—czyż więc tak długo był bezprzytomnym? Ramię jego było przewiązane i nie czuł już w niem prawie żadnego bólu, gdy się poruszył, by lepiej rozejrzeć się po chacie.

Ruch ten zwrócił uwagę człowieka, naprawiającego sieci; wstał z miejsca i podszedł do Ładona.

— A, jużeście przyszli do siebie — ozwał się uradowanym głosem; —cały dzień czekaliśmy na to z moją niewiastą, aleście wciąż byli jak nieżywi.

Kobieta, zbudzona głosem męża, zbliżyła się również, patrząc ciekawie na młodego rycerza.

— Skądże się u was wziąłem? — spytał Ładon, podnosząc się nawpół na posłaniu. Wówczas niewiasta jęła rozpowiadać:

— A ot, mój poszedł dziś raniutko łowić ryby na jeziorze, i ja też byłam wraz z nim, by pomódz mu zarzucać

sieci, bo my tu samiutcy jedni siedzimy w puszczy. Aż tu na brzegu ujrzeliśmy was i z razu myśleliśmy, żeście nieżywi... Zdziwiliśmy się, skąd w naszej puszczy wziął się taki witeź znaczny, z błyszczącym łańcuchem na szyi, ale mój rzecze do mnie: „Jaga, czy to będzie pan jaki, czy prosty jak my człek. zabierzmy go stąd, może jeszcze niezupełnie umarł; zawszeć bowiem godzi się pomódz człeku, a nie zostawiać go w puszczy, na pastwę dzikiego zwierza.” Ta pewnie, mówię mu...

— Ot, baba jak się rozgada, to już końca temu niema— przerwał mąż. — Dałabyś pokój trajkotaniu, a poszła tam, bo jeszcze dziecko z kołyski wypadnie.

— Ale, wypadnie!—odparła, odchodząc, urażona nieco kobieta — nie twoja to troska; potrafię przecie dziecka dojrzyć.

— Jutro już będziecie zdrowi — mówił tymczasem człowiek do Ładona; — zioła, które się zbiera w noc kupalną w puszczy, najlepiej pomagają na wszelkie rany. Koń wasz także stoi w stajence, nakarmiłem go dobrze i napoiłem; spokojne to jak dziecko i samo do rąk człeku idzie.

— Dziękuję wam, dobry człowieku — rzekł Ładon— i radbym czem wam się wypłacić.

— Za co? — rzekł ze zdziwieniem wieśniak. — Toć przecie każdyby uratował człeka, gdyby go ujrzał umierającego w głuchej puszczy; cóż to za dziw? A toćby było dobrze — dodał, śmiejąc się,—gdybyśmy was zostawili w puszczy bez pomocy, tak, nie przymierzając, niby jakiego psa.

Ze wszystkiego widać było, że ci ludzie żyli od lat wielu w puszczy, nie wychodząc z niej nigdy i nie wiedząc, co się na świecie dzieje. Dla nich jeszcze było jednako, jak za czasów ich ojców: ten sam obyczaj, tę samą wiarę wciąż zachowywali bez zmiany żadnej.

Kobieta była niezmiernie zdziwiona, ujrzawszy krzyżyk na piersiach Ładona; nie mogła pojąć, do czego on służy.

— To obraz Boga — odrzekł Ładon, gdy się zapytała o to.

— Bóg taki mały? — zapytała.

— Nie Bóg, tylko znak jego, który czcić należy. Czyż go nigdy nie widzieliście?

— Nigdy; my czcimy drzewa, święte źródła...

Lecz zatrzymała się, bo mąż spojrzał na nią znacząco. Od tej pory nie było już mowy o tych rzeczach; widocznie obawiali się swego gościa.

Nazajutrz cudny ranek zaświtał nad puszczą. Na każdym listku błyszczała kropelka wczorajszego deszczu; orzeźwiające wonie płynęły z wiatru powiewem. Ptaki szczebiotały w gęstwinie; gdzie tylko zajrzał promień słońca, tam unosiły się roje brzęczących owadów; krasne, różnobarwne motyle bujały tu i owdzie.

Ładon podniósł się i wyszedł przed chatę; nie czuł jeszcze dość siły, by wyruszyć w drogę, usiadł więc spokojnie na przyzbie, patrząc przed siebie i oddychając świeżością wiosennego poranku. Nieopodal, na zielonej trawie, pasł się siwy i na głos swego pana natychmiast przybiegł, wesoło potrząsając grzywą.

Dokoła była cisza; echo tylko powtarzało klekot terlicy, na której kobieta tarła konopie. Niedaleko bawiło się dziecko, strzeżone przez wiernego Kruczka, podczas gdy gospodarz naprawiał coś około brony.

Przy robocie kobieta śpiewała odwieczne, zapomniane już gdzie indziej pieśni pogańskie; brzmiały w nich imiona Żywie, Nya, Kupała; wzywała też opieki białych bogów, którzy darzą zbiorami i chronią od nieszczęścia, a zaklęciami odganiała czarnych duchów i zażegnywała uroki. Nuta śpiewu była poważna, uroczysta, to znów dziwaczna i urywana. Przeciągły i majestatyczny szum puszczy towarzyszył pieśniom.

Ładon tymczasem myślał o wszystkiem, co mu się przytrafiło; owo spotkanie z Masławem stanęło znów przed jego okiem i zrodziło posądzenie, że nocne wycieczki Zaboja muszą mieć z tem jakiś związek. Postanowił sobie, iż docieczo

koniecznie, co to był za związek. Wszystkie pogłoski głuche o Łysej górze przypomniały mu się również; był teraz pewnym, że Zabój tam się udawał, a może i Masław... W pamięci stanęła mu obietnica, jaką dał królowi, iż będzie pomagał w wykorzenieniu dzikości. A kiedyż lepsza sposobność się znajdzie do spełnienia jej? Czyż nie było jego obowiązkiem wyśledzić te tajemnicę i odkryć ostatnie szczątki pogaństwa, kryjące się wśród mroków puszczy i zagrażające rozprzestrzenieniu prawdziwej wiary? Czyż nie pozyskałby tym sposobem zasługi u Boga i u króla, który starał się wszelkiemi siłami tępić barbarzyństwo?

Postanowił, że dotrze koniecznie do góry Łysej, choćby miał się znowu narazić niewiedzieć na jakie niebezpieczeństwo. Trzeba było tylko czekać wieczoru dnia następnego.

Na drugi dzień, gdy słońce zaszło, Ładon osiodłał konia, i pożegnawszy się z poczciwymi ludźmi, którzy mu dali opiekę, postanowił puścić się w drogę. Wprzód jednak, nie wiedząc, jak ich wynagrodzić za przytułek, ofiarował sztukę złota kobiecie. Ta poczęła z naiwnem zdziwieniem oglądać ją ze wszystkich stron, wreszcie zawołała:

— Toż się mały będzie cieszył, gdy mu dam taką cacę!

Mąż poznał jednak, że to coś innego być musi, niż caca dla małego, i rzekł, zwracając się do rycerza:

— Głupia niewiasta, nie wie, co to takiego; toć przecie pewnie nie zabawka dla dziecka, a coś wedle uroków, albo może także obraz waszego boga?

Ładon poznał wtedy, że ci szczęśliwi ludzie nie wiedzą, co to pieniądze.

— Wyprowadzę was aż na drogę, bo nie wiecie, którędy jechać — odezwał się wieśniak po chwili. — U nas to w puszczy trzeba się urodzić, jak ja, by znać wszystkie wertepy i uroczyska.

I wyprowadził go aż na drogę, żegnając słowami:

— Niech bogi was prowadzą.

W puszczy mrok zapadł już na dobre, ale na drodze

było jeszcze dość jasno. Ładon przypominał sobie, w której stronie widział wczoraj przed sobą górę Łysą; pamiętał dobrze, że to było od zachodu, niby odbicie łuny kryjącego się słońca. Puścił się więc i teraz w tę stronę. Góra Łysa znajdowała się wprost w obranym przezeń kierunku. Musiało być do niej ze trzy dobre godziny drogi na przełaj, jeśli oczywiście nie znajdą się wąwozy, bagna, wertepy, które trzeba będzie omijać.

W każdym razie miał jeszcze przed sobą noc całą.

Droga czas jakiś była dość znośną, lecz wkońcu rozdzieliła się na kilka wązkich ścieżek, ginących w zaroślach. Ładon stanął, namyślając się, którędy jechać, wreszcie puścił się ścieżką na prawo. Miesiąc jeszcze nie zeszedł i było bardzo ciemno, ale koń, kierowany instynktem, szedł, nie potykając się nawet. Teraz i jeździec i koń obyli się z puszczą i strachy jej nie budziły już w nich takiego przerażenia.

Ścieżyna wiła się w gąszczach, raz spuszczając się w dół, drugi raz pnąc się po urwiskach skalnych, gdyż grunt w puszczy stawał się coraz nierówniejszym i skalistszym; głębokie parowy co chwila zastępowały drogę, ale siwy dzielnie je przebywał, wspinając się po urwiskach. Wszędzie po drodze natrafiali na wypłuczyska, utworzone przez wiosenne strumienie i zasypane ostrymi kamieniami.

Wreszcie grunt zaczął się znacznie podnosić — czuć było, że wjeżdżają pod górę. Zamiast dębów i brzóz, ukazywały się sosny, modrzewie i świerki; po bokach wznosiły się dzikie urwiska, porosłe jałowcem; miejscowość przybierała coraz bardziej surowy i groźny pozór. Ogromne, rozłożyste buki roztaczały swoje ciemne sklepienia; obok nich rosły świerki, jakby zawieszone nad przepaścią, a gdzieś w ciemnościach, pod osłoną krzewów, szumiał po kamieniach niewidzialny potok.

Miejscami widać było wielkie głazy, rozrzucone na stoku góry, która z każdą chwilą stawała się bardziej stromą.

Wkrótce Ładon wjechał w las jodłowy. Nad jego głową roztoczyły się ciemne sklepienia, podobne do naw go-

tyckiej katedry. Olbrzymie, stuletnie jodły wznosiły się wysoko, proste, wysmukłe i silne, na kształt filarów, a wierzchołki ich tonęły w niebiosach. Miejscami niektóre z nich leżały, obalone przez wiatr, a korzenie ich sterczały wysoko, zagradzając drogę jeźdzcowi. Cichy, przeciągły szum szedł po wierzchołkach puszczy, to wzmagając się, to słabnąc, a w szumie tym było coś rytmicznego, niby jakaś pieśń wielka, potężna, szeroka, która płynęła w dal na skrzydłach wieczornego wiatru.

Ładon jechał rozpadliną, wyrytą przez wiosenne potoki i napełnioną ostrymi kamykami, które kaleczyły nogi koniowi. Wkrótce jodły poczęły znikać, a ukazały się świerki tak gęste, że przez nie trudno było się przedrzeć. Pod gałęziami ich, spuszczającemi się horyzontalnie, panowały straszliwe ciemności, których żaden wzrok przebić nie mógł; w ciemnościach tych co chwila coś się poruszało, szeleściało. Mimowolny strach przejął duszę Ładona, gdy wjechał w owe dzikie wertepy, tak, jak gdyby miał popełnić jakieś świętokradztwo.

Wreszcie z pomiędzy drzew błysnęło światło. Ładon sądził z razu, że to świeci ognisko, rozpalone w lesie, i strzegł się zbliżać w tę stronę, by nie spotkać się z ludźmi, gdyż prędzej mógł natrafić na wroga, niż na przyjaciela,—rozumiał bowiem teraz, że poganie strzegli dobrze wstępu do swego schronienia. Przekonał się jednak wkrótce, że to świeci ogień na górze Łysej. Migotał wciąż przez gałęzie, zdawał się to gasnąć, to znów zapalać; krwawy blask jego świecił przez mgły, okrywające górę.

Tymczasem ponad drzewami wysunął się księżyc wielki, czerwony, jak tarcza; płynął po niebie, wzbijając się coraz wyżej, aż oblał wreszcie blaskiem całą dziką okolicę.

Ładon spostrzegł wówczas, że stoi u samych stóp góry Łysej, i zatrzymał konia. Wszystko, co dniem jeszcze słyszał o tej strasznej górze, owe powieści o boginkach leśnych, mających strzedz do niej przystępu, wszystko to nagle stanęło

mu w myśli i zimny pot wystąpił mu na czoło, groza przejęła serce dreszczem. Cóż, jeśli nagle z za krzaków ukaże się jakaś postać potworna i straszna, cóż, jeśli wilkołak lub zmora spojrzy nań krwawemi oczyma? Nadstawiał pilnie ucha, czy krzyk jaki nie rozedrze ciszy nocnej, lub czy nie usłyszy gdzieś w dali srebrzystego śmiechu złośliwych boginek. Ale nie—dokoła wciąż trwało głębokie milczenie, przerywane tylko głuchym szumem puszczy.

Przeżegnał się i poklepał siwego po szyi, mówiąc mu:

— No, stary druhu, w drogę! strachy nic nam nie zrobią teraz.

— Mądre zwierzę, jakby zrozumiawszy te słowa, ruszyło z miejsca, drżąc tylko lekko na całej skórze, jakby strach czuło przed czemś nieznanem. Pan jego wciąż go zachęcał głosem, co uspokajało nieco wiernego konia; obaj odzyskali wkrótce odwagę. Ładon pomyślał, że, jako rycerz chrześcijański, nie powinien się obawiać czarów, ani pogańskich duchów, bo znak krzyża potrafi je wszystkie rozproszyć. Zresztą cisza, panująca dokoła, dodawała mu zaufania.

Nagle koń strzygnął uszami; Ładon począł się przysłuchiwać; jakieś dalekie okrzyki rozlegały się po lesie, jakby sto wiedźm zgromadziło się na harce z szatanami—bo w głosach tych brzmiała radość piekielna i szał opętania, który tak przenikał wszystko dokoła, że Ładon tylko czekał, kiedy drzewa i krzaki, stojące przy drodze, jak czarne potwory, wezmą się za ręce i puszczą się w dziki, zawrotny taniec.

Jechał wązką, stromą ścieżyną, gdy na zakręcie jej nagle ukazał się dziad ślepy, z gęślą, i wziąwszy za uzdę jego konia, spytał cicho:

— Czyś ty Mściwój?

— Tak — odrzekł Ładon szeptem, by głos go nie zdradził.

— Kneź Mszczuj i inni czekają cię na uroczysku — rzekł dziad i zniknął między drzewami.

Ładon jechał, myśląc nad tem, gdzie się znajduje owo uroczysko; zapewne w stronie, gdzie świeci ów ogień tajemniczy; przy nim to poganie i kneź Mszczuj zgromadzali się zapewne na nocne jakieś obrzędy.

Oto ogień coraz więcej się przybliża; słychać nawet jakiś śpiew przeciągły a smutny, który tonie, to znów głośno rozbrzmiewa wśród ciszy nocnej, jednostajnie i ponuro.

Ujrzał wreszcie obszerną przestrzeń, wolną od lasu, tak zwane gołoborze, zasypane złomami skał, wśród których miejscami tylko wznosiły się kępy sosen i świerków. Ogromne głazy, porosłe mchem, sterczały groźnie w świetle miesiąca, niby cmentarze jakichś wymarłych dawno plemion, niby grobowiska olbrzymów, niegdyś świat zaludniających.

Ładon jechał dalej. Mijał głazy, krzaki, drzewa; wreszcie w jednem miejscu ujrzał zdala wielkie koło, utworzone z olbrzymich kamieni, w pośrodku którego palił się obfity ogień; przy tym płomieniu poruszały się jakieś postaci, których jeszcze rozróżnić nie mógł.

Ładon zsiadł z konia, a pozostawiwszy go pomiędzy skałami, przybliżył się cicho, kryjąc się za krzakami jałowcu i za odłamami kamieni.

Dokoła ogniska, wziąwszy się za ręce, pląsało kilkanaście bab starych, z rozwianym siwym włosem. Trzech dziadów gęślarzy siedziało pod drzewem, uderzając w struny gęśli i śpiewając jakąś pieśń pogańską. Obok stał kamień ofiarny, a na nim trójnóg.

Wiedźmy obracały się dokoła płomienia w szalonych podskokach, wydając od czasu do czasu dzikie okrzyki, rozlegające się daleko po lesie.

Dalej zaś, na kilkunastu kamieniach, ułożonych w półkole, siedzieli znaczniejsi z pomiędzy pogan, siwobrodzi starce, bo młodzi dawno już odstąpili starej wiary.

Ładon ujrzał tam i sędziwego Zaboja, ojca Przemkowego.

Reszta obecnych stała w cieniu, padającym od wielkich kamieni; nie mógł rozróżnić ich twarzy, widział tylko, że ich było dużo; widocznie poganie z całej okolicy zgromadzili się tu na nocne obchody.

Wiedźmy zaprzestały wreszcie swego wściekłego tańca, a na ich miejsce zbliżyła się gromada poważnych starców. Głosy ich rozlegały się w ciszy nocnej; śpiewali pieśń o nucie wolnej i smutnej, tak smutnej, jak niebo czarnemi chmurami zasnute.

Ładon przysłuchiwał się śpiewowi, który mimowiednie przeniknął go jakiemś smętnem, żałosnem uczuciem; była to jakby ostatnia skarga upadającego bezsilnie pogaństwa, jedynie jeszcze przez starców podtrzymywanego.

Na gruzach dziś zburzonych świątyń stoimy
I patrzym w dal — i patrzym, azali
Nie wstanie witeź i mieczem ze stali
Nie pomści się za srom.

O, Nya wielka, bogini zniszczenia!
Pocoś bezsilnych starców oszczędziła,
Aby patrzyli, jak wszystko się zmienia,
Gdy zapanował tu niemiecki bóg?

Wilk, gdy mu dzieci zabierze wróg srogi,
Po śladach zbójcę dzieci swych wytropi...
Nam, kiedy przemoc odebrała bogi,
Pozostał tylko grób!

Lecz wy, nieszczęśni, co chramy niszczycie,
Dla was świętego już nic nie zostało —
Wy nawet ojców mogiły zburzycie,
By na nich stanął krzyż!

Potem jeden ze starców, odziany w długą, białą szatę lnianą i opierający się na wysokiej lasce, zakrzywionej u góry, widocznie kapłan ofiarnik, zbliżył się do kamienia z trójnogiem.

Dwóch ludzi przyniosło związane jagnię, przeznaczone na ofiarę; położono je na kamieniu i kapłan zakrzywionym nożem zadał mu cios śmiertelny.

Lecz gdy począł oglądać wnętrzności ofiary, z których robiono dobre lub złe przepowiednie, zawołał nagle z wyrazem przerażenia:

— Złe znaki... krew płynie czarna jak noc... jakieś wrogie oczy patrzą na naszą ofiarę!

A po chwili zawołał grobowym głosem:

— Wróg jest wpośród nas!

Zrobiło się zamieszanie, tłum skupił się dokoła kamienia, strwożony; rzucono się wreszcie w różne strony, szukając nieprzyjaciela, którego obecność zepsuła ofiarę. Każdy spoglądał na drugiego z nieufnością, podejrzywając się nawzajem.

Ale wkrótce rozległy się dzikie okrzyki wpośród skał:

— Jest, jest, pojmaliśmy go! Nie ujdzie nam teraz, szpieg przeklęty!

Wszystkie oczy zwróciły się na pojmanego Ładona, którego wtrącono w środek koła. Widział dokoła siebie twarze groźne i oczy dziko świecące. Z pośród gromady ludu wyszedł człowiek i przystąpił do niego. Poznał w nim Masława i został przezeń poznany.

— Znów on!—zawołał Masław, zajrzawszy mu w oczy.— Czyś zmartwychwstał? Jaki bies stawia cię wiecznie na mej drodze?

A potem obrócił się do siedzących na kamieniu starców.

— On jest z dworu Bolesława, który go zapewne przysłał, by nas szpiegował. Trzeci raz już spotykam go na mej drodze i żądam, by śmiercią był ukarany.

— Tak, tak! — zawołali inni — sąd nad nim zrobić!

Powstał gwar niezmierny, zewsząd rozlegały się okrzyki i przekleństwa.

Ponad to wszystko dał się słyszeć spokojny głos pojmanego:

— Nie macie prawa mię sądzić, bo tylko król jeden posiada prawo sądu nad rycerzami ze swego orszaku!

Lecz odpowiedział mu tylko szyderczy śmiech Masława.

— Kneź Mszczuj, jako najstarszy, niech rozstrzygnie, czy mamy go zabić bogom na ofiarę, czy też uwięzić tylko — ozwał się jeden ze starców.

— Co tu sądzić? — zawołał dziko Masław — złowiliśmy go, gdy nas szpiegował, a więc pod nóż z nim! Nie potrzebujemy czekać sądu knezia!

Tymczasem ostrożniejsi mówili:

— Nie można go zabijać; król srodzeby się pomścił za śmierć swego rycerza! On o nich dba, jak o oko w głowie!

— A jeśli nas wyda? — odpowiadali inni.

— Pod nóż go, pod nóż ofiarny! — rozlegały się głosy.

Dokoła stali drwale z puszczy, wszystko ludzie olbrzymiego wzrostu, obrośnięci, o dzikiem wejrzeniu, odziani w skóry; byli oni oddani Masławowi, wszyscy też domagali się śmierci jeńca.

Starcy jednak, składający radę, jeszcze się wahali, bali się zemsty króla.

— Słuchajcie mię! — ozwał się nagle Masław — powiem wam gadkę: Razu jednego człowiek znalazł gniazdo czajki i chciał jej i jej pisklętom poukręcać głowy. Lecz czajka zaczęła prosić: „Zlituj się, człecze, nie zabijaj nas, jam ci nic złego nie zrobiła!” Człowiek zlitował się i zostawił czajkę w spokoju. Ale zdarzyło się, że wróg najechał krainę; człowiek musiał, jak wilk, chronić się w łozie. Jednego dnia, kiedy tam siedział ukryty, nieprzyjaciel przechodził w pobliżu. Otóż czajka zaczęła zataczać koła nad łozą, gdzie się zbieg ukrył, wydając żałosne krzyki. Wróg wówczas zawołał: „On jest tam!” poszedł i zabił człowieka... Skończyłem.

— Masław dobrze mówi — ozwali się niektórzy; — jeśli ma nas wydać, raczej go zabijmy!

— A wy, jak powiadacie, kneziu Mszczuju? — ozwał się jeden z rady do starca, siedzącego w środku półkola. — Śmierć, czy życie?

— Śmierć! — odrzekł twardo kneź Mszczuj.

— Śmierć — wyrzekł również brat jego, kneź Odylon, i inni.

Obaj kneziowie bracia siedzieli w pośrodku koła obradnego i obaj byli siwymi starcami, na pierwszy rzut oka zupełnie do siebie podobni. Lecz kto się im bliżej przyjrzał, dostrzegał pomiędzy nimi różnicę znaczną. Kneź Mszczuj, choć starszy o lat parę, trzymał się prosto, był wysoki i silny, wzrok miał ostry, a na obliczu jego malowała się kamienna surowość. Długa, biała broda spadała mu na pierś szeroką i obrośniętą; czoło wysokie, obnażone już z włosów, jeszcze się wyższem zdawało; rysy, jak z granitu wykute, nigdy prawie nie rozjaśniały się i nie zmieniały swego groźnego wyrazu; jego ściągnięcie brwi było strasznem. Zwano go pospolicie: Kneź-wilk, a sławnym był ze swej srogości. Brat jego, Odylon, bardziej był pochylony ku ziemi, nieszczęścia nadały obliczu jego wyraz ponurego bolu, a przytem jakiegoś zniedołężnienia. Gdy graf Gero wymordował na uczcie trzydziestu książąt słowiańskich, padli tam także wszyscy trzej synowie Odylona, wraz z dwoma starszymi synami knezia Mszczuja. Od tej pory, choć już upłynęło lat wiele, nic nie mogło pocieszyć knezia Odylona i był jak dąb, któremu obrąbano konary. Siwe włosy spadały mu na czoło, poorane głębokiemi zmarszczkami, a oczy błądziły często gdzieś daleko, jakby myślą uciekał w ubiegłe, szczęśliwsze czasy. Tacy byli obaj kneziowie: Mszczuj i Odylon.

Stary kapłan przybliżył się do Masława, gdy ten przestał mówić, i odciągnął go na bok.

— Dlaczego domagasz się tak usilnie śmierci tego młodego rycerza? — spytał cicho. — Czyż nie wiesz, że to nas narazi na straszną zemstę Bolesława?

— Wy nigdy nie pojmujecie moich planów — odparł Masław niecierpliwie. — Wszystko wam trzeba szeroko objaśniać. Właśnie chcę skłonić lud, by wreszcie na coś się ważył; pierwszą krew zawsze najtrudniej przelać; ale raz gdy ją wyleją, reszta pójdzie łatwo. Sama myśl o zemście Bolesła-

wa będzie dla nich bodźcem, bo już wtedy nie pomoże siedzieć cicho. Gdy się krwi napiją, będą straszni. Ze swej strony postarałem się uwagę Bolesława gdzie indziej odwrócić; nie będzie on miał teraz czasu nami się zajmować; inny, liczniejszy wróg wkrótce przeciw niemu wystąpi, bo cesarz nie przebaczy mu podburzenia ludów połabskich.

— Ha, rób, jak chcesz, mój synu — rzekł kapłan z westchnieniem; — ty wiesz lepiej, co czynić należy.

Znajdowało się jednak wielu bojaźliwszych, czy też umiarkowańszych, którzy byli przeciwni tak doraźnemu sądowi i poczęli szemrać.

Kneź Mszczuj dosłyszał owego szemrania; obracając głowę w tę stronę, spytał surowo:

— Kto się ośmiela szemrać przeciw wyrokowi?

Ale wzbudził jeszcze większe niezadowolenie.

— Wolno każdemu dawać głos swój na zgromadzeniu — mruczano dokoła. — Kneź niech nie myśli, że nam gęby pozamyka.

Lecz kneź spojrzał tylko swemi srogiemi oczyma na opornych i natychmiast umilkli, zląkłszy się tego kamiennego oblicza.

Wśród owych twarzy dzikich i roznamiętnionych wyróżniało się tylko oblicze jeńca, blade z powodu niedawno odniesionej rany, ale nie ze strachu; przeciwnie, był spokojny i nie spuścił wzroku, gdy kneź Mszczuj zwrócił nań swe straszne źrenice. Był jakby uosobieniem tej młodej, nowozaszczepionej cywilizacyi, otoczonej zewsząd przez dzicz, a jednak opierającej się wszystkiemu jedynie mocą świeżo nabytej wiary.

Czuł teraz, że jego ostatnia godzina się zbliża, a jednak nie mógł się oswobodzić z pod tego wrażenia, że znajduje się tylko w jakimś śnie strasznym—tak świat otaczający go był różnym od tego, który znał dotąd. Czyż ci starcy, siedzący na kamieniach dokoła ogniska, nie byli jakiemiś widmami pozagrobowemi? czyż te tłumy dzikie, wyjące, nie były tylko

zmorami, ukazującemi się we śnie? Lecz bywały chwile, gdy straszna rzeczywistość błyskawicą stawała przed jego wzrokiem, a wtedy znów czuł, że stoi wobec śmierci, nie tej, o jakiej marzył niegdyś, na polu boju, pod okiem mężnego króla, ale śmierci bezsławnej, z rąk tłumu rozbestwionego, w głuchej puszczy...

A jednak nie czuł trwogi, tylko jeszcze obejrzał się po świecie, jakby go żegnał po raz ostatni, przeżegnał się, zmówił krótką modlitwę, gotując się do zgonu, który, jak sądził, natychmiast miał nastąpić.

Wzrok jego, spuściwszy się znów na otaczających go ludzi, ze zdziwieniem spostrzegł dopiero teraz, że wpośród zgromadzenia znajduje się piękne dziewczę, jasnowłose, w rucianym wianku na głowie. Była to córka knezia Mszczuja, Ziezilia, bogom poświęcona dziewa. Biało odziana, z rozpuszczonym na ramiona długim włosem, stała przy kamieniu ofiarnym, wyglądając niby jakieś widzenie w tej księżycowej poświacie, oblewającej ją od stóp do głowy srebrnym blaskiem. Łzawym i błagalnym wzrokiem zdawała się prosić o litość dla młodego jeńca, lecz straszny kneź nie patrzył na nią wcale.

Tak przeszła może godzina na naradach i sporach; jedni domagali się śmierci jeńca, drudzy się temu opierali. Płomień ogniska oświetlał niepewnym, drgającym blaskiem postaci kłócących się, ich dzikie, roznamiętnione twarze i gwałtowne ruchy. Dokoła stały potężne głazy, zdające się pochylać ciekawie, by usłyszeć, co radzono.

— Dość tego! — krzyknął wreszcie Masław — on musi zginąć, bo inaczej wszystko przepadnie! Poświęćmy go bogom; dawno już nie miały ofiar ludzkich; należy im się cześć taka za tyle zniewag, których doznały.

— Tak — ozwał się stary kapłan Borun, — bogowie chcą ofiary z człowieka...

A wskazując na jeńca długą swą białą laską, rzekł uroczyście:

— Odprowadźcie go do pieczary, jutro niech wszyscy znów się tu zbiorą w kole obradnem, a czyste ręce dziewicy bogom poświęconej, jako najgodniejsze takiego dzieła, zadadzą mu cios śmiertelny tu, na kamieniu ofiarnym, dla przebłagania bogów za zniewagi, zadane im przez chrześcijan.

Na kilku twarzach błysnęła dzika radość na te słowa, inni milczeli ponuro.

Ale nic nie mogło się równać rozpaczy i przerażeniu Ziezilii, gdy usłyszała, że to ona ma spełnić krwawe dzieło.

— Ja, mój ojcze — wołała, podnosząc w górę białe ramiona i wyciągając je do knezia Mszczuja, wciąż zachowującego surowe milczenie, — ja mam zabić człowieka? O, nie, nie, to zbyt straszne! Dotąd moje ręce były czyste od krwi... Litości, ojcze, litości... nie mogę patrzeć na krew! O, bogi! czyż naprawdę możecie być tak okrutnymi, by żądać śmierci człowieka?

Kneź Mszczuj przez cały czas jej mowy ani jednym ruchem nie dał znaku, że ją słyszy; twarz jego wciąż wyrażała kamienną surowość.

Ziezilia, w rozpaczy, zwróciła się do jeńca, wołając:

— Ach, czemuś tu przyszedł na swoje i na moje nieszczęście?

Lecz nagle nowa postać stanęła wśród kola obradnego.

— Co się tu dzieje? — spytał nowoprzybyły, podchodząc do płomienia.

Był to mąż olbrzymiego wzrostu, dumnego lica, o orlich rysach; postawa jego zdradzała żelazną siłę muskułów, a zarazem odznaczała się wrodzoną szlachetnością. Długie włosy, barwy lwiej grzywy, spadały mu na szerokie i potężne ramiona; oczy siwe patrzyły śmiało i nieustraszenie.

— Co się tu dzieje? — powtórzył mocnym głosem.

— Pojmaliśmy szpiega królewskiego i chcemy go oddać pod nóż ofiarny, jak na to zasłużył — odpowiedziano mu z gromady.

Nowoprzybyły przybliżył się do jeńca, i spojrzawszy mu w twarz, zawołał ze zdziwieniem:

— Ładon! Tyś tu! Skąd się tu wziąłeś? Czy może być, byś był szpiegiem?

— Nie jestem szpiegiem — odrzekł Ładon z dumnym spokojem, — lecz jeśli i ty, któregom za brata liczył, sądzisz mię winnym, to oddaj mię choćby zaraz pod nóż waszego kapłana, jestem gotów!

— Nie, tak nie będzie — odparł nowo przybyły; — nie wiem, co cię tu przywiodło; ale nikt nie powie, że Drahomir pozwolił zabić tego, który mu życie ocalił, któremu braterstwo poprzysiągł na polu boju!

A zwróciwszy się do zgromadzenia, rzekł spokojnie:

— Ten młody rycerz nie może zginąć...

— A któż ośmieli się sprzeciwić temu? — spytał Masław szyderczo.

— Ja, kneź Drahomir, syn Mszczuja — odparł dumnie młody kneź.

— Nie, kneziu Drahomirze, nie ośmielisz się zwalić wyroku, który ktoś starszy od ciebie wydał.

— A któż go wydał? — spytał kneź wyniośle.

— Twój ojciec, kneziu, twój własny ojciec, i cała starszyzna, tu zebrana — odparł z szyderczym śmiechem Masław.

Drahomir podszedł do starego knezia i rzekł śmiało:

— Ojcze, musicie zmienić wyrok; ten rycerz nie zginie.

— Dlaczegóż to? — spytał kneź, mierząc syna swym strasznym wzrokiem.

— Dlatego, iż mi ocalił życie na polu boju i przysięgliśmy sobie braterstwo — odrzekł Drahomir. — Jest to syn wojewody Bożydara, z rodu Jastrzębców.

— Dobrze, mój synu — odparł kneź zimno; — ale ja także poprzysiągłem, że zginie ten, kto podpatrzy nasze obchody i zgromadzenia. Jakże więc będzie?

— I ja was także pytałem, ojcze, jak to będzie? — rzekł spokojnie Drahomir.— Bo, mimo całej czci, jaką mam

dla was i dla wszystkich waszych wyroków, nie zezwolę, by ten rycerz zginął! Klnę się na wszystkie bogi, klnę się na Żywię, Nyę i Kupałę, że nie zezwolę na to! I bić się będę, ojcze, z każdym kto go dotknąć zechce, i nie dam, by mu włos spadł z głowy, gdyż jest mi bratem!

Dokoła dały się słyszeć szemrania niechętne. Kneź Drahomir głos podniósł:

— Cześć mam dla wyroków starszyzny i koła wiecowego — mówił, — i wszyscy wiedzą, że w każdym wypadku im ulegałem; ale tym razem muszę sprzeciwić się, muszę, by mię nie nazwano podłym i tchórzem, który nie stanął w obronie swego brata po mieczu! Powtarzam więc: kto się dotknie tego rycerza, ten ze mną będzie miał do czynienia!

Tu szemrania w tłumie stały się głośniejsze; kneź Drahomir obejrzał się i zawołał rozkazująco:

— Ze starszyzną mówię, motłoch niech milczy!

Lecz natychmiast podniosły się krzyki oburzenia.

— Co to, ci kneziowie myślą, że jeszcze nam panują, jak ongi? Minęły te czasy, minęły! dziś wam nie rozkazywać już ludziom! Każdemu wolno mówić na wiecu, co mu się podoba.

— Jesteście rozzuchwaleni tylko! — odparł Drahomir z pogardą — i gdybym nad wami panował, to nie śmielibyście pisnąć i słówka!

Tu już wszczął się hałas okropny, lecz młody kneź na to nie zważał; obie swe potężne dłonie wsparł na mieczu i tak stał wciąż w pośrodku koła obradnego, głową przenosząc całe zgromadzenie i osłaniając swą osobą Ładona.

Masław przystąpił doń.

— Starszyzna wyrok wydała i człowiek ten musi zginąć — rzekł, wstrzymując się, lecz widać było, że gniew go nurtuje.

— A ja nie pozwolę, by zginął — odparł młody kneź gwałtownie. — Jest mi bratem i nie pozwolę na to!

— Ejże, nie zachodź mi w drogę, ty kneźku zuchwały! — zawołał wreszcie Masław, wybuchając. — Znam was! jeden za drugim stoicie murem... poznał swój swego! Ale nic z tego! co starszyzna postanowiła, to musi być! Już nie te czasy, kiedy wyście panowali, nie te!

Kneź obejrzał się tylko, jak gdyby się opędzał od dokuczliwego owadu.

— A ty, synu niewolnika, nie wywódź mię z cierpliwości, bo nie będę długo znosił twego szczekania — odrzekł wreszcie.

— A ty... ty, synu książęcy — zawołał Masław, pieniąc się z wściekłości, ty, wilcze plemię! czy ty myślisz, że i z tobą nie dam rady? Patrz, wszyscy ci ludzie, rybacy, drwale, łowcy za mną stoją i jeśli na nich skinę, to pójdą na ciebie, ty zuchwały kneziu! Pójdą na moje jedno słowo, a wtedy ugniesz się i ty, choć takiś hardy!

— Spróbuj, niewolniku, — odparł Drahomir z wyniosłym spokojem.

— Tak, jam niewolnik — wybuchnął Masław, — ale zadrżą kiedyś knezie i wojewody przed tym niewolnikiem! Ach, wy, wy! — wołał dalej rozwścieczony — wy gotowiście każdą sprawę zgubić dla dogodzenia własnej dumie, a wasza głowa może naraz pomieścić tylko jedną myśl, nic więcej! Sam sobie zgubę przyniesiesz, gdy wypuścisz owego człowieka... Ale twoja ciasna głowa tego nie chce pojąć!

Wyglądał jak ryś rozwścieczony, który rzuca się na spokojnego i dumnego tura; oczy mu błyszczały, białe zęby świeciły, jak u wilka. Stali obaj i mierzyli się wzrokiem, lecz żaden go nie spuścił.

— Kneziu Drahomirze — ozwał się wreszcie jeden ze starców — obmyśl więc jaki sposób, by ten człowiek nie zdradził naszego schronienia, a wówczas starszyzna przystanie na żądanie twoje.

— On może złożyć przysięgę, że nas nie zdradzi — rzekł Drahomir — a ja zaręczam, że jej nie złamie!

— Nie, bracie — ozwał się Ładon, — dzięki za twą przyjaźń i chęć ocalenia mnie, ale ja tej przysięgi nie złożę, bo jej dotrzymać nie mogę.

— I my jej też nie przyjmiemy! — odparł szyderczo Masław. — Bądź spokojny o cześć twoją!

Ładon zbył jego słowa pogardliwem milczeniem.

Kapłan Borun ozwał się poważnie:

— Ja znalazłem sposób, aby wszystkich pogodzić. Słuchajcie mię: Niech ten witeź pozostanie u nas jako jeniec, a tak nie będzie mógł nas wydać, a nic mu się złego nie stanie. Czy zgoda?

— Zgoda! — ozwali się umiarkowani.

Masław zaś milczał ponuro.

Kneź Drahomir zbliżył się znów na środek koła i rzekł:

— Jeśli starszyzna wymaga tego, to mogę za niego poręczyć, ale niech więzień pozostanie u mnie.

Kneź Mszczuj w milczeniu słuchał wszystkich tych rozpraw, lecz na ostatnie słowa syna ozwał się zimno, patrząc mu w oczy:

— Wszystko to dobrze, ale kto nam zaręczy, mój synu, że pewnej ciemnej nocy jeniec nie ujdzie z więzienia, by odkryć Bolesławowi wszystkie nasze tajemnice?

Drahomir zarumienił się oburzony, ale rzekł spokojnie:

— Ja ręczę za to, ja, a dotąd nie dałem jeszcze przyczyny, by nie ufano memu słowu. A więc, czy starszyzna przystaje na to, co rzekłem?

— Przystajemy — odrzekł jeden ze starców, po krótkiej, cichej naradzie; — daj poręczenie, kneziu Drahomirze, a jeniec jest twoim. Przysiąż tylko, że strzedz go będziesz dobrze, bo od tego zależy bezpieczeństwo nas wszystkich.

Kneź Drahomir pokłonił się naprzód kamieniowi ofiarnemu, potem kołu starców i rzekł, prostując się:

— Sładam dzięki starszyźnie, iż mi zaufala, a za więźnia gotów jestem poręczyć i złożyć przysięgę na ziemię i wodę, iż nie zawiodę ufności, we mnie położonej.

— Wielka to przysięga! — rzekł kapłan uroczyście — kto ją złamie, tego ziemia i woda pochłoną. Niech więc się stanie, jako rzekłeś.

Tymczasem Masław nie posiadał się z wściekłości.

— Oni mi wszystko zepsują! — mówił do siebie — a najbardziej ten opętany kneź Drahomir! Ale czekaj, wilcze plemię, kiedyś i na ciebie przyjdzie kolej; będziecie musieli mi uledz!

IX.

Podczas, gdy to się działo w lechickiej ziemi, posłowie, wysłani do Monte-Casino, przybliżali się do celu swej podróży, z radością witając zdala klasztor, bo droga ich ciężką była przez krainy, poddane zaburzeniom i walkom nieustannym.

Bo też były to czasy straszliwego rozpasania się namiętności na Zachodzie Europy. Ludność, napół dopiero okrzesana z barbarzyństwa, przechodziła właśnie epokę wielkiego rozstroju, któremu daremnie silono się tamę położyć, bo złe dosięgało wszędzie, jak zgnilizna, szerząc się bezkarnie. Ale teatrem największych bezprawi stały się Włochy. Mimowolna groza przejmuje na widok występków, mnożących się wówczas tam zuchwale w świetle słonecznem. Rozbój, grabież, zbrodnie, otrucia były na porządku dziennym. Nie dziw też, że gdy przyszedł rok tysiączny, ludzie ze strachem oczekiwali skończenia świata, sądząc, że Bóg nie może ścierpieć dłużej widoku ludzkich występków, przybierających tak wielkie rozmiary. Ale gdy przeminęła owa groźna epoka i trwoga się uspokoiła, powrócono znów do dawnych bezprawi z większem może jeszcze zuchwalstwem. Wielkie zamiary reformy obyczajów, powzięte przez cesarza Ottona III-go, oraz papieża Sylwestra, dawnego jego nauczyciela, legły

w grobie wraz z nimi, a obok tego jeszcze może niejedna myśl, dotycząca niektórych państw północnych. Cesarz bowiem nosił się z zamiarem stworzenia z nich sobie wiernych sprzymierzeńców i wasali, na których w każdej chwili mógłby polegać, a potrzebował takich dla przeprowadzenia swego olbrzymiego przedsięwzięcia — odtworzenia państwa rzymskiego, jak to było jego marzeniem. Olśniony tem świetnem widmem, działał on w ten sposób, jak mu nakazywały jego widoki, nie mając na względzie interesów wiary Stolicy Apostolskiej, w duchu których postępował Sylwester. Papież bowiem pragnął zrobić z Lechii i Czech państwa niezależne od cesarstwa germańskiego, a tylko podlegające stolicy rzymskiej.

W kilka lat potem i cesarz i papież spoczęli w grobie; na tron cesarski wstąpił Henryk II, który zaraz na wstępie znalazł we Włoszech przeciwnika w osobie Arduina, margrabiego Yvres, zowiącego się królem lombardzkim.

Z nim to dotychczas nie mogąc podołać, cesarz posyłał wojsko do Włoch, które okropnie ucierpiały od tych zamieszek wewnętrznych, bo ani jedna, ani druga strona nie żałowała kraju. Szerzyło się więc spustoszenie dokoła, wioski i miasteczka pustoszały, a Arduin wciąż się trzymał i nie chciał uledz władzy cesarskiej.

Z drugiej strony, sycylijscy Arabowie częste czynili napaści na południowe wybrzeża, na których znajdowały się miasta kwitnące i których wązki skrawek pozostał jeszcze przy cesarstwie greckiem, wraz z Neapolem i miastami przyległemi, pod imieniem Sycylii; bo Grecy, chcąc się pocieszyć po utracie rzeczywistej Sycylii, chcieli być przynajmniej panami jej cienia.

W takich to czasach, drogą, wiodącą z Neapolu do Monte-Casino, kroczyła gromadka pielgrzymów polskich.

Uznojone ich czoła, krok niepewny, zakurzone odzienie świadczyły o uciążliwej podróży. Orszakowi przewodniczył Ścibor z Żarnowca, oraz przydany mu za tłómacza braciszek

z Międzyrzecza; za nimi postępowało grono służby uzbrojonej. Oblicza ich wynędzniałe, zapadnięte policzki wskazywały aż nadto, że głód a może niewola towarzyszyły ich dalekiej wędrówce.

Przybywali z oddalonej północy, i zamiast napawać się widokiem czarującej natury południa, na wstępie zaraz uderzeni zostali obrazem rozpasania, mordów i krwi, w której broczyły nieszczęśliwą Italię najezdnicze hordy. Nierzadko oni sami stawali się ofiarami, ale zawsze cel święty ich podróży ocalał ich i zdawał się czuwać nad ich krokami.

Wreszcie oczom ich zarysowały się w oddali niebieskawe szczyty gór i wkrótce doszli do leżącej u stóp ich małej osady San Germano. Nieliczni jej mieszkańcy obojętnie przypatrywali się kroczącej gromadce, która też nie zatrzymując się, poczęła powoli wdzierać się na strome urwiska gór, gdzie u samego szczytu wznosił się wyzębiony czworobok klasztoru Monte-Casino.

Tu już, u tego przybytku spokoju i modlitwy, konały wszelkie odgłosy walki i zapasów ludzkich; a kiedy mały orszak dotarł wreszcie po drodze nad przepaścią do murów klasztoru, z za mgieł przesłaniających wyłoniły się przed nim potężne masy gór, dźwigające na swych ramionach klasztor, otoczony murem fortecznym.

Ścibor stanął w zdumieniu.

Przed nim, nad nim i pod nim występowały szczyty gór, zwieszały się urwiska i złomy w kształtach olbrzymich, wpół ukrytych pod zielenią bukszpanów...

Daleko, daleko tonęło oko w tych masach, a kiedy wkońcu ukośny promień zachodzącego słońca przedarł się z pośrodka piętrzących się obłoków—szczyty gór, klasztor, białe fale obłoczne utworzyły jeden obraz nadpowietrzny, zaświatowy.

W tej chwili rozległ się dzwon na Angelus. Ścibor, a za nim jego orszak, padł na kolana, twarzą dotykając zapylonych progów klasztoru. Czyste, chłodne powietrze gór-

skie, modlitwa, a może i myśl, że dotarli wreszcie do kresu podróży, orzeźwiły biednych pielgrzymów i z otuchą zadzwonili u bramy. Ciężko okute drzwi zaskrzypiały, a gdy brat furtyan otworzył je, znaleźli się w czworokątnym podwórcu, ze wszech stron opasanym zębatymi murami i strzelnicami; bo w owej epoce klasztory musiały się nieraz bronić od napadów.

Klasztor Monte-Casino, najstarsze schronienie Benedyktynów, założony przez samego twórcę zakonu, św. Benedykta, stoi na wyniosłej górze, na miejscu zburzonej w VI-ym wieku świątyni Apollina. Częste trzęsienia ziemi przekształciły go obecnie, ale w epoce owej klasztor był budowlą podobniejszą raczej do twierdzy, w której można się było bronić przez lata całe. Położony na wyniosłym i niedostępnym niemal szczycie, warowny i zbrojny, od niepamiętnych czasów budził uszanowanie, zmieszane z pewną bojaźnią, we wszystkich hordach, przeciągających przez Włochy rozmaitymi czasy.

Powagą też i spokojem wiało od tych murów, odgłosy burzy milkły u ich stóp i nic nie zakłócało ciszy, wśród której schronieni tam zakonnicy w samotnych celach oddawali się naukom.

Starożytna oświata, zdeptana stopami barbarzyńców, zasypana gruzami wiekowymi, zdawała się gasnąć zupełnie, w miejscu jej zapanowała powoli ciemnota i przesądy, ale ostatnie jej iskierki, tlejące jeszcze w ukryciu, przechowywane starannie, miały znów zajaśnieć świetnie. Stare rękopisy, cenne zabytki, opłacane w kilka wieków później na wagę złota, spoczywały teraz pokryte pyłem po klasztorach; tylko mnich w ciszy zakonnej przeglądał owe skarby, grzebiąc w pargaminach, odczytując starożytnych historyków i poetów, a szczególniej ulubionego Wirgiliusza, cieszącego się osobliwszem w wiekach średnich uwielbieniem. Więc też, kiedy dokoła ryczały burze i gromy bojów, w spokojnej celi klasztoru zakonnik siedział nad kartą pargaminu i kopiował

autorów starożytnych, lub zapisywał wypadki, zaszłe za jego czasów.

Dumni książęta, baronowie, rycerze nie domyślali się nawet, że sława ich wielkich czynów leży w ręku skromnego, nieznanego nikomu mnicha, który jedynie wieść o nich przekazać mógł wiekom potomnym.

Oczom Ścibora ukazały się przestronne, wsparte na nizkich arkadach korytarze. Posągi świętych i królów, którzy kiedykolwiek obdarowali klasztor, wznosiły się dokoła; grube, wyciosane z kamienia rzeźby te wprawiały jednak w zdumienie polskiego wędrowca. Nie mógł się on im napatrzyć, z razu nie zwracając niemal uwagi na liczne pytania, jakie mu mnich zadawał; dopiero po niejakiej chwili, porozumiawszy się z nim, o ile mógł, z pomocą brata Bernarda, wytłómaczył mu, że wiezie list z dalekiego kraju do samego przeora. Mnich, wyrozumiawszy, o co idzie, odpowiedział, że przeor wraz ze wszyskimi braćmi jest teraz na wieczornem nabożeństwie, a widząc, iż jeden z orszaku upadł znużony, chciał ich zabrać do refektarza. W tej chwili jednak przez otwarte drzwi kościoła rozległ się śpiew pobożny; Ścibor, pociągnięty, wszedł. — Cóż za wspaniały widok uderzył jego oczy!

Głębie kościoła ginęły w półcieniu; tylko gdzieś tam na końcu płonął ołtarz, pełen świec jarzących. Tu i owdzie, w tajemniczych mrokach, migotały złocenia, ukazywały się bogate mozaiki bizantyńskie, których sztukę Grecy przynieśli z Konstantynopola. Matka Boża w koronie z drogich kamieni, otoczona chórem skrzydlatych aniołów, promieniała w migotliwym blasku. Z chóru rozlegały się głosy niebiańskie, ciche, to znów głośniejsze, niby śpiew duchów błogosławionych; Ścibor padł na twarz, bo mu się zdawało, że jest przeniesionym do nieba.

W Polsce nabożeństwo odbywało się jeszcze z całą prostotą pierwotną, a kościoły nie mogły się równać z włoskimi. Jeden gnieźnieński zbliżał się cokolwiek do nich, lecz i tam

Ścibor nie słyszał nigdy śpiewu podobnego. Ta wiara, wyznawana przezeń nawpół jeszcze powierzchownie, po barbarzyńsku, przemocą teraz wdarła się do jego serca, na skrzydłach owych dźwięków słodkich, w atmosferze całego tego otoczenia, mającego w sobie coś uroczystego, ale zarazem cichego i łagodnego. Czuł prawie obecność Boga przy sobie. Był to Bóg wielki, potężny, ale i dobry... ach, jak niewysłowienie dobry!

Miękkie serce Słowianina rozpływało się w poczuciu tej dobroci i miłosierdzia, kołyszących jego istotą całą tak słodko i łagodnie...

Dawno już nabożeństwo skończyło się, przeor odszedł od ołtarza, głębie kościoła zaległy powoli mroki wieczorne, a on wciąż jeszcze klęczał, zasłuchany w tony, rozlegające się aż dotąd w jego duszy. Zakonnicy w milczącym szeregu przeszli około klęczącego, ręka jakaś dotknęła lekko jego ramienia i cichy głos wyrwał go z tego błogiego zachwytu.

— Pójdź, bracie, przeor czeka na ciebie — przemówiono tuż obok.

Podniósł głowę; nad nim pochylił się zakonnik, a oblicze jego młodociane oddychało taką szczerością, że Ścibor w jednej chwili przeniósł na nie część tego zachwytu, jakim go przejmowały otaczające go freski i wizerunki świętych.

Młodzieńcza żywość ruchów, pogodny, słodyczy pełen wyraz niebieskich oczu, coś dziecięcego, radosnego, promieniejącego z tej całej postaci, tak wyróżniało ją od wszystkich twarzy południowych, przesuwających się w tej chwili około Ścibora, że mimowoli czuł się pociągnięty i rozpoczął w łamanym języku opowiadać swój zachwyt. Kilka zabłąkanych wyrazów łaciny niewiele mogły nauczyć brata Angela, takie bowiem miano nosił zakonnik, ale z serdeczną swą prostotą zrozumiał ten wybuch przepełnionego serca, i przeprowadzając go przez wspaniałe galerye, ze szlachetną dumą pokazywał mu całą wspaniałość swojego klasztoru, który słusznie uważał za najpiękniejsze miejsce w świecie.

Od dzieciństwa, jako przybrany syn wychowany w klasztorze, uważał go za swoją ojczyznę. Wesoły jak dziecko, szczęśliwy ze swego powołania, brat Angelo nie tęsknił za niczem; klasztor był jego rodziną i światem, którego zresztą nie znał; tylko też w ukryciu i oddaleniu od świata mogła się wytworzyć taka natura jasna i czysta. Nikt, wyjąwszy może przeora i dwóch najstarszych braci, nie wiedział, skąd się wziął w klasztorze; reszta młodszych, później przybywających braci mogła tylko powiedzieć, że go już zastała. Prawdopodobnie musiał pochodzić gdzieś z dalekich krajów, co nawet oblicze jego zdradzało; włos miał jasny i oczy niebieskie. Zakonnicy kochali go bardzo, być może dla tego nieznanego pochodzenia, a bardziej jeszcze za tę naturę dziwnie dobrą, pogodną i pełną pobłażania dla drugich.

I teraz głos jego łagodny krzepił biednego wędrowca, który dopiero dobiwszy się do portu, począł odczuwać skutki tej uciążliwej podróży. Przeszli kilka jeszcze korytarzy, aż się znaleźli w celi przeora.

Przeor, staruszek o twarzy łagodnej, siedział w wysokiem krześle, a wziąwszy list gońca, czytał go długo. Przez ten czas Ścibor rozglądał się po celi.

Wreszcie przeor skończył czytać i spojrzał na Ścibora, a dostrzegłszy, że upada ze znużenia, zwrócił się do stojącego obok mnicha.

— Bracie — rzekł łagodnie, — trzeba odprowadzić tego człowieka do refektarza; musi być strudzonym i zgłodniałym.

Brat Angelo skinął na Ścibora, by szedł za nim. Znowu przeszli przez długie, sklepione korytarze, ledwie słabo oświetlone; wreszcie otwarła się przed nimi ogromna sala refektarza, wsparta na dwóch rzędach grubych filarów.

Ściany, jak w kościele, pokryte były malowidłami, okna z mozaiki; gdzieniegdzie stał posąg świętego, wykuty z marmuru; Ścibor rozglądał się ciekawie dokoła.

Kilku zakonników, przechadzających się zwolna, obstąpiło przybywających; ale po niefortunnych próbach rozmówienia się ze Ściborem, zaprzestali daremnych usiłowań.

— Sancta Maria! — ozwał się, ze współczuciem patrząc na podróżnych, jeden staruszek — jakże to straszno podróżować teraz po świecie! Rabusie, złodzieje na każdym kroku! Żałuję tych, co są do tego zmuszeni...

— O! prawda, że straszno — potwierdził drugi. — Gdy mnie raz wielebny ojciec posyłał do Neapolu, to nacieszyć się nie mogłem, znalazłszy się znowu w naszych murach spokojnych; dziękowałem też Bogu miłosiernemu, że mię raczył szczęśliwie do nich powrócić, bo straszno tam na świecie.

— Powiadają — ozwał się trzeci,— że gdzieś na zamku koło Neapolu mieszka rycerz, który każdego spotkanego zakonnika lub świeckiego zabija po długich męczarniach.

— Słyszałem coś o tem, lubo nie wiem, czy tak jest w istocie — odezwał się ojciec Augustyn; — wierzajcie mi jednak, że nie minie go kara Boża, jeżeli to prawda. Musieliście słyszeć o rycerzu Alberyku, który przed laty robił to samo. Żaden sługa Boży nie mógł przejść w pobliżu jego zamku, by nie zostać pochwyconym, i zwyczajnie kończył życie męczeńską śmiercią... I cóż? wkońcu i sam rycerz umarł w grzechach, a dusza jego po śmierci nie mając pokoju, błądziła nocą po drogach, prosząc o modły każdego napotkanego kapłana... Ja sam, który to mówię, miałem takie wydarzenie: Powracałem, będzie temu lat dwadzieścia, z wioski poblizkiej od chorego; ściemniło się zupełnie, droga po górach ciężka, jak wiecie, myślałem więc o tem, jak późno powrócę do klasztoru... Aż oto przechodząc koło kapliczki św. Germana, którą znacie, na rozstaju, nagle słyszę za sobą głos: „Ojcze Augustynie, zmów pacierz za duszę tego, który tylu braci twych wymordował.” Obejrzałem się; poczułem tylko, jak wiatr zimny pociągnął mnie po twarzy. Drżąc, ukląkłem, i zmówiwszy trzy Ave Maria za spokój jego duszy

grzesznej, powróciłem szczęśliwie do klasztoru... I nie jeden raz później...

W tej chwili drzwi od refektarza otwarły się, przeciągły świst wiatru górskiego zawył po korytarzach; obecni przeżegnali się trwożliwie, lecz ujrzeli tylko przeora w towarzystwie kilku starszych braci.

Przeor wydawał się zafrasowanym; stare swe, wychudłe ręce zbliżył do żarzących się węgli; na tych bowiem wyżynach, gdzie zimny wiatr górski często dotkliwie dokuczał, brasero była jedynym środkiem ogrzania się; spojrzał po zgromadzonych braciach, wkońcu rzekł:

— Moi mili bracia, otrzymałem list od opata Tuni, który zajmuje wysoką godność doradcy przy potężnym królu Polanów. Król Bolesław zakłada nowy klasztor i opat Tuni prosi o przysłanie kilkunastu naszych braci, by tam zanieśli nową pochodnię światła i wiary. Od braci, którzy przed laty opuścili nasz klasztor, wiemy, iż król Bolesław jest pobożnym i światłym monarchą; duchowieństwo jego kraju ma w nim opiekuna i dobroczyńcę hojnego. Wysyła nawet w kraje ościenne, między dzicz nieoświeconą, sługi Boże, aby tam nauczali wiary świętej...—Tu przeor zatrzymał się, spojrzenie jego padło na brata Angela. Oblicze młodego zakonnika wyrażało taki gorący zapał i pożądanie świętej misyi apostolstwa wiary, że widocznem było, iż tylko nawyknienie do posłuszeństwa i pokory zakonnej powstrzymywało ten wybuch serca; usta jego drżały, oczy paliły się niezwykłym ogniem; powstrzymując oddech, przysłuchiwał się słowom przełożonego.

Po twarzy przeora przemknął przelotny wyraz wzruszenia, usta poruszyły się cichym szeptem modlitwy czy błogosławieństwa; i była chwila milczenia między bracią.

Przeor mówił dalej poważnie:

— Postanowiliśmy spełnić to pobożne żądanie i wysłać dwunastu braci do Polonii. Jutro, bracia mili, odprawimy na ten cel uroczyste nabożeństwo, i wezwawszy na pomoc Du-

cha Świętego, by nas oświecił, kto najgodniejszy pracować w winnicy Pańskiej, zadecydujemy, którzy z braci naszych mają się udać w tę daleką pielgrzymkę; dzisiaj prosimy was tylko, abyście na naszą intencyę zmówili trzy Ave Maria, czujemy bowiem mocno, jaka odpowiedzialność ciąży na nas obecnie.

To powiedziawszy, przeor dał wszystkim swoje błogosławieństwo i udał się do siebie, rozkazawszy zawezwać brata Bernarda, dla zasięgnięcia informacyi; kazał także wezwać do siebie Ścibora, ale pokazało się, że ten usnął w kącie na ławie, więc przeor nie kazał go budzić.

Ścibor tymczasem, przespawszy się, długo siedział samotny i pozbawiony swojego tłómacza, brata Bernarda, daremnie przysłuchując się rozmowie, której nie rozumiał ani słowa; począł wreszcie, znudzony, przypatrywać się malowidłom ciemnym, którym nigdy dość napatrzyć się nie mógł. Nadaremnie starał się dojść, jak to się działo, że oczy świętych poglądały za nim, gdziekolwiek się obrócił, i łamał sobie nad tem głowę.

— Ot, dziwowisko, nic więcej! — mruknął, kiwając głową.—Gdyby tak gdzie indziej, a nie w klasztorze, myślałbym, że to czary. Kiedy zacznę rozpowiadać tam u nas, to mi nie uwierzą z razu.—I w ślad za tem myśli jego pobiegły ku ojczystym progom.

Na drugi dzień, po uroczyście odprawionem nabożeństwie, na którem obecni byli nasi pielgrzymi, przeor, po długich ze starszyzną zakonną naradach, zawezwał do siebie braci, przeznaczonych do dalekiej na północ pielgrzymki. W liczbie ich był brat Angelo.

Zakonnicy w posłusznem milczeniu przyjęli wyrok, nakazujący im opuścić klasztor i kraj rodzinny. Niejeden, w duszy żegnając się z piękną Italią może na wieki, obejrzał się po całem tem otoczeniu klasztornem, z którem zrósł się już sercem, i zabiegł myślą do owej Polonii dzikiej, gdzie, mówią, prawie rok cały śnieg leży, a kraj jedną puszczą wiel-

ką, gdzie zwierz dziki porywa ludzi w dzień biały, człowiek zaś chodzi tam zaszyty w skóry...

Tylko brat Angelo z taką otuchą jakąś, z taką radosną wdzięcznością przyjął swoje przeznaczenie, że nawet przełamując pokorę, do jakiej go wdrożyło wychowanie zakonne, jął się rozpytywać przeora o ten kraj daleki, do którego go ciągnęło jego powołanie. Zakonnicy z pobożnem zdumieniem przysłuchiwali się pełnym zapału słowom młodego apostoła. Wkońcu przeor, wyczerpawszy szczupły zapas wiadomości, jakie posiadał o tym dalekim kraju, zakończył posłuchanie, robiąc znak krzyża nad głowami przyszłych apostołów Polski.

— O, bracie Angelo! — przemówił ojciec Bonifacy po wyjściu z celi przeora — podziwiam waszą gorliwość w służbie Bożej. Podobno najmłodszy z braci będzie służył za przykład nam wszystkim... bo jeśli mam prawdę rzec, to, choć grzechem jest przywiązywać się tak do rzeczy znikomych, uczułem wielką boleść na wieść, że mamy opuścić nasz klasztor ukochany... Tem większe mam dla was uwielbienie, bracie Angelo.

— Cóż w tem jest nadzwyczajnego? — przerwał wesoło brat Angelo — najwięcej mię popycha ciekawość ujrzenia tych krajów nieznanych.

Od tej chwili brat Angelo nie odchodził już od boku Ścibora, ucząc się od niego języka tego kraju, o którym w młodzieńczej swej wyobraźni marzył dnie i noce.

Zdarzyło się, że w czasie, wyznaczonym przez przeora na odpoczynek pielgrzymów polskich, oraz na przygotowanie się do podróży braci zakonnych, jeden z nich zapadł na zdrowiu. Przeor myślał właśnie, kogoby naznaczyć na jego miejsce, gdy do celi wsunął się ojciec Augustyn, prosząc, by mu pozwolono zastąpić miejsce chorego zakonnika.

Przeor zdumiał się i nawet nie chciał przystać z razu, mając na względzie jego wiek podeszły, oraz znane spokojne usposobienie starca, co uważał za niezgodne z posłannictwem,

którego się domagał; ale ojciec Augustyn począł gorąco prosić, a gdy nadto okazało się, iż przysłuchując się rozmowom brata Angela ze Ściborem i bratem Bernardem, zdobył dużo wiadomości o Polsce i był już niejako przygotowany do podróży, zważywszy zwłaszcza krótkość pozostającego im czasu, przychylił się wkońcu do jego prośby—i ojciec Augustyn zaliczony został w poczet udających się do Polski zakonników.

Nadszedł nareszcie dzień odjazdu. Okolica, jakby na pożegnanie, wystąpiła w całym przepychu blasków słonecznych; góry opuszczały zwolna z ramion swój płaszcz fioletowy i po królewsku odziewały się w przezroczystą, lekką mgłę złotawą, z pod której potężne ich kształty występowały jeszcze wspanialej i groźniej.

Przeor błogosławił każdego i żegnał temi słowy:

— Idźcie, bracia moi! klasztor, jak dobra matka, darzy was na drogę błogosławieństwem, do którego i ja przyłączam swoje. Niech Bóg strzeże każdego kroku waszego, niech chroni was od niebezpieczeństw i upadku, aż doprowadzi szczęśliwie do celu. Zanieście tam światło, gdzie są tylko ciemności; zanieście łagodność obyczajów, gdzie istnieje jeszcze dzikość i barbarzyństwo; zanieście naukę tam, gdzie umysły pogrążone są w grubej niewiadomości. Bądźcie pochodnią niebieską, rozświecającą mroki, w jakich ten biedny lud jeszcze pogrążony.

Temi słowy żegnał wędrowców ich przeor sędziwy, a pozostali bracia łączyli swoje życzenia i modlitwy za ich pomyślność.

Dwunastu zakonników stało już w pogotowiu do odjazdu, spoglądając, po raz ostatni zapewne w życiu, na ukochaną ojczyznę, uroczą Italię, której się wyrzec mieli.

Niejeden z trudnością powstrzymywał łzę pod powieką na widok klasztoru, tego spokojnego ustronia, gdzie spędził połowę życia w ciszy i spokoju ducha.

Ale pora już; przeor drżącą ręką zakreślił w powietrzu znak krzyża nad głowami pochylonemi i mały orszak

ruszył z miejsca; bo chociaż tu na górze panowała jeszcze świeżość górskiego powietrza, tam na dole południowe słońce sypało żarem z bezchmurnego nieba. Zakonnicy raz jeszcze z westchnieniem obejrzeli się poza siebie i wkrótce dwunastu Benedyktynów było już na drodze do ziemi Polanów.

X.

Bolesław, przed udaniem się na wojnę, nakazał, by zgromadzono na Łysej górze materyał do zamierzonej budowy klasztoru, która miała się wnet rozpocząć, skoro tylko budowniczowie z Niemiec przybędą. Nie zdawało się to zbyt trudną rzeczą, bo kamień był na miejscu, a drzewa chyba także zabraknąć nie mogło w puszczy. Nawet modrzewia, budulcu najbardziej cenionego, było tam podostatkiem.

Wzięto się więc natychmiast do szybkiego wykonania królewskiego rozkazu. Lecz nie okazało się to tak łatwem, jak się z pozoru zdawało.

Wyprawiono kilkudziesięciu cieślów i kamieniarzy, by ścinali i obrabiali drzewo, oraz ciosali kamień na górze.

Lecz ludzie ci, gdy zagłębili się w puszczę, zostali nagle napadnięci; dwóch z nich zabito, kilku raniono, a reszta rozbiegła się w różne strony; dopiero w kilka dni przybyli do Kielc, donosząc o swej porażce.

Strażnikiem grodu, kasztelanem (jak ich później zwano) w Kielcach był wówczas Dobrogost, z rodu Gryfów, człek mądry i przedsiębiorczy wielce.

Poznał on, że teraz już sprawa nie z duchami, lecz z prawdziwymi ludźmi z ciała i kości; drugą więc partyę robotników wysłał pod osłoną zbrojnych. Lecz i ich spotkał los podobny poprzednim; choć szli ostrożnie, oglądając się wciąż

poza siebie i po bokach, nagle w najdzikszej miejscowości puszczy, niby z pod ziemi, wyskoczyła gromada jakichś ludzi i, pomimo oporu, rozproszyła ich, jak tamtych. Tym razem dwóch pozostało na polu walki.

Teraz do urojonej obawy przybyła jeszcze rzeczywista: w puszczy nie tylko było można spotkać duchy i widma, ale i życie postradać w walce z żywymi z krwi i kości, w maczugi uzbrojonymi napastnikami.

Ale Dobrogost nie był z ludzi, dających się nastraszyć; był on ze szkoły Bolesława i znał tylko rozkaz królewski. Gdyby całe wojsko duchów oraz żywych ludzi stanęło mu na przeszkodzie, poszedłby na nich, by spełnić wolę króla. Pomimo więc powszechnego oporu, zebrał nową partyę robotników i pod silniejszą jeszcze strażą wysłał ich w puszczę.

Tym razem wysłani mieli się na baczności, za każdym bowiem krzakiem mógł czyhać zbój; nawet cisza, panująca w odwiecznym borze, trwożyła ich. Niekiedy też z zarośli wypadała strzała, nie wiedzieć czyją ręką puszczona, kroki jakieś ostrożne zaszeleściały w gęstwinie, to znów na wierzchołkach olbrzymich drzew rozlegał się łomot i trzask straszliwy—i dąb odwieczny, jakby podcięty niewidzialną siekierą, padał pod stopy podróżnych; ale nadaremne były wszelkie poszukiwania: puszcza znów stała niema i groźna. Kiedy zaś nastała pełna strachów noc w puszczy, zostali nie wiedzieć przez kogo wprowadzeni na bagna i trzęsawiska, gdzie omal wszyscy nie poginęli.

Powrócili więc, mówiąc, że daremnie kusić Pana Boga, bo niema człowieka, któryby mógł przebyć żyw tę przeklętą puszczę.

Dobrogost nie wiedział, co teraz począć; bo jak tu walczyć z nieprzyjacielem, który się wciąż kryje, a mimo to nie ujdzie mu żadne poruszenie przeciwnika?

Kazał przywołać do siebie swego najwierniejszego sługę, nazwiskiem Mroczek, który był nadzwyczaj sprawny i pojętny—i postanowił wysłać go na czele wyprawy.

— Mroczku — rzekł, — to taka sprawa, że jak ty jej nie dasz rady, to na nic już nie liczę. Powiedz mi, czy chciałbyś dostać dobrą nagrodę?

— A któżby tego nie chciał? — odrzekł zapytany.

— A więc wybierz sobie trzydziestu czy czterdziestu dzielnych ludzi, dobrze uzbrojonych w topory, i postaraj się dotrzeć do Łysej góry, bądź-co-bądź, choćby sam bies stawał ci na drodze, choćby upiory, wodnice i inne szatańskie potwory, którymi, jak lud mówi, zapełniona jest ta puszcza, starały się szkodzić ci; na nic nie zważaj. Rozumiesz?

— Rozumiem.

— Dotrzesz do Łysej góry?

— Postaram się.

— Choćby ci stu szatanów zastąpiło drogę, pamiętaj! Bo co do ludzi, to sam wiesz...

— No, tego to już nie potrzeba mi mówić; wprost maczugą po łbie, jeśli się jaki nawinie...

Mroczek nie lubił dużo gadać, ale gdy obiecał, dotrzymał. Dobrogost znał go z tej strony, zatarł też ręce z zadowoleniem, pewny, że tym razem wyprawa się uda.

Mroczek wybrał sobie kilkudziesięciu ludzi, którzy poszli sami, na ochotnika, silnych i odważnych; uzbroił ich w łuki, topory i maczugi — i udali się w puszczę, pełni otuchy.

Kilka dni upłynęło bez żadnej wieści. Dobrogost cieszył się myślą, że oddział Mroczka dotarł już niewątpliwie do Łysej góry.

Tymczasem w okolicy zaczęli się snuć dziady bardzo podejrzanej postaci, szczególnie krążyło ich wielu w dnie targowe, kiedy lud się najliczniej zbierał.

Wreszcie dnia jednego przed Dobrogostem stanął człowiek jakiś, obdarty, zbiedzony, blady, w którym po niejakim czasie dopiero poznał Mroczka.

— Cóż to się stało? dlaczegoś powrócił?

— A trzeba było spróbować, jak tam dobrze w puszczy — odrzekł posępnie sługa. — Trzy dni błąkałem się bez jadła; myślałem, że zamrę gdzie w drodze.

— Więc rozbito was?

— Ze szczętem; nie wiem nawet, co się z moimi ludźmi dzieje, bo zapędzono nas na trzęsawiska, gdzie kilku zdaje się, że utonęło. Tej puszczy sam bies strzeże, człowiek jej żyw nie przejdzie.

Dobrogost szarpnął brodę ze złości. Co on powie królowi, jak się wytłómaczy z tego, że nie spełnił jeszcze polecenia?

— Do kroćset biesów! — zawołał wielkim głosem, pięścią uderzając w stół. — Ja się nie dam odstraszyć tym zbójom! Budulec musi być zwieziony, choćbym miał utracić wszystkich ludzi, choćby w tej puszczy na każdem drzewie gnieździło się dziesięciu szatanów. Zrobię wyprawę na tych zbójów i sam stanę na czele!

Natychmiast też zebrał wszystkich ludzi, jakich miał pod ręką, wziął przewodników, znających dobrze puszczę, i sam wyprawił się wraz z nimi na odkrycie owych zbójów, postanowiwszy stoczyć z nimi ostateczną walkę. Lecz nadaremne były wszelkie poszukiwania; zbrodzono większą część boru, wszystko było cicho dokoła. Puszcza dochowała swej tajemnicy.

Wśród lasu stała wioska samotna, otoczona niezbyt rozległem polem uprawnem i pastwiskami. Wieczór roztaczał już cienie nad lasem i polem, błękitne dymy słały się po łąkach, gdzie derkacz się odzywał.

Sioło było okopane rowem i obwarowane wałem, gęsto nabitym ostrokołem; wązka tylko wjazdowa droga między opłotkami, tak zwana wągroda, wiodła wewnątrz wsi. Chaty były postawione w podkowę, w pośrodku zaś zostawiono obszerne miejsce puste, gdzie była studnia z żórawiem; zapeł-

nione ono było w tej chwili cisnącą się z rykiem spragnioną trzodą bydła.

Drogą między opłotkami szedł w tej chwili dziad samotny; na pozór wydawał się on ślepy; ktoby jednak przyjrzał mu się uważniej, dostrzegłby, że widzi dobrze. Psy zaszczekały, ujrzawszy go, lecz on nie zważał i kroczył dalej powoli.

Prawie cała ludność sioła, starzy i młodzi, byli zgromadzeni na placu, u studni. Chłopcy poili konie, dziewczęta brały wodę. Niekiedy rozlegały się wesołe wybuchy śmiechu.

Dziad wkrótce znalazł się w pośrodku nich; wszyscy spojrzeli nań ciekawie, lecz nikt go nie znał.

Dzieci z krzykiem schroniły się do chat; matki poczęły je strofować, lecz gdy się bliżej przyjrzały dziadowi, nie dziwiły się już lękowi dzieci.

Człowiek ów miał włosy i brodę siwo-rudawe, długie i skołtunione, wyraz twarzy zarazem dziki i chytry; skóra owcza zarzucona na plecy, ramiona żylaste i obnażone, czyniły go podobnym raczej do zbója, niż do spokojnie wędrującego dziada.

Wszedłszy na plac, gdzie byli zgromadzeni ludzie, stanął w pośrodku nich i począł mówić silnym głosem:

— Ludzie, wy sobie tu spokojnie żyjecie wśród lasów, nie wiedząc, co się tam na białym świecie dzieje. Ale posłuchajcie: oto widziano straszne znaki na niebie i na ziemi: miesiąc dwa razy mienił się krwawo, ze starych mogił słychać było nocą jęki i westchnienia, woda w kilku źródłach przemieniła się w krew... A wiecież wy, co to wszystko znaczy? Oto, że stare bogi powrócą wkrótce. Powróci Jesse, Żywie, Nya, Kupała, Świst-Poświst i inni. Słyszycie, słyszycie? Już z daleka ziemia drży pod ich stopami, drzewa pochylają wierzchołki. Idą bogi, a straszną będzie ich zemsta nad tymi, którzy ich nie uznają od razu. Bądźcie gotowi ich przyjąć, by się od ich gniewu wykupić. Już zmory o północy włóczą się po cmentarzach i płaczem a jękiem wróżą biedę. Śpieszcie się, śpieszcie, bo godzina sądu się zbliża!

Powstało zamieszanie; niewiasty poczęły płakać i zawodzić z wielkiego przerażenia; mężczyźni skupili się w gromadki, radząc gwarnie, a tymczasem dziad zniknął. Odszedł, jak przyszedł — przez nikogo nie postrzeżony. Psy tylko zaszczekały, gdy szedł między opłotkami; znikł w lesie. Obejrzano się wreszcie, że odszedł.

— Hej, dziadu, dziadu!—poczęli wołać mężczyźni, lecz echo tylko powtarzało po rosie: — Dziadu, dziadu!" a kilka wron strwożonych porwało się z poblizkiej wierzby.

Gdy dziad znalazł się w lesie, wkrótce z za krzaka wyjechał jeździec, widocznie tam na niego oczekujący.

Był to Masław. Dziad, ujrzawszy go, zatrzymał się.

— W ilu siołach dziś byłeś? — spytał Masław krótko.

— W trzech. W jednem mię psami poszczuto i utopić chciano, ale w drugiem zato dobrze przyjęto i zawierzono temu, co mówiłem. Ale teraz już jestem ostrożny i znikam zaraz, nim się opamiętają; nie chcę być utopionym.

— Bądź spokojny: co ma wisieć, nie utonie! — odparł Masław. — Jutro udasz się w stronę Sandomierza.

— Ej, nie wiem, czy tam bezpiecznie; to nie to, co tu w puszczy; tam nad Wisłą... co stąpisz, to się natkniesz na księdza. Jeszcze mię spławią; nie, lepiej może tamtędy nie iść...

— Głupiec jesteś i tchórz! — rzekł ostro Masław. — Jeśli cię spławią, to mniej będzie jednego łotra na świecie, a z pewnością wszystkie ryby potrułyby się w Wiśle, gdyby cię tam wrzucono. Pójdziesz, gdzie ci mówiłem, i zajrzysz także do gródka Jaropełkowego; powiesz, że na niego czekam na Krasnem uroczysku; pamiętaj tylko, omijaj strony, gdzie gródki częściej rozsiane, bo władyki nam niezbyt przyjaźni, mogliby cię gdzie obwiesić na gałęzi przydrożnej.

— To się rozumie — mruknął dziad. — Nie mam chęci podyndać na drzewie. A co dalej?

— Co dalej? — powtórzył, namyślając się, Masław. — A powiedz mi — rzekł nagle, — gdzie mieszka Rokitka?

Na to imię, niespodzianie wyrzeczone, dziad cofnął się i rzekł zdziwiony i zmieszany:

— Rokitka? A toż na co on wam? Czy ja mogę wiedzieć, gdzie bies mieszka?

— No, no, nie udawaj! — zawołał Masław — wiem ja dobrze, komu służysz. Dużo on ma was pod swą władzą, ale jeśli wszyscy takie łotry, jak ty, to Czarnobóg ma lepsze sługi, niż bogi białe.

— Cicho! — rzekł półgłosem dziad przestraszony — nie gadajcie tak! on wszystko słyszy, choćby nie wiem jak daleko; znajdzie się nagle w takiem miejscu, gdzie się go nie spodzieli nawet. On bies, umie się przerzucać w jakie chce gady i zwierzęta; ja go znam.

W głosie dziada brzmiał przestrach; oglądał się dokoła, jakby się obawiał ujrzeć Rokitkę.

Masław uśmiechnął się pogardliwie.

— Czy myślisz, że uwierzę tym bzdurstwom? — rzekł wreszcie. — Gadaj to sobie babom tchórzliwym na wieczornicach, nie mnie.

— Nie wierzycie? — zawołał dziad z przekonaniem. — A ot, załóżmy się, że gdy opuścimy to miejsce, ujrzymy go wychodzącego gdzieś z jakiego wertepu lub trzęsawiska. Wtedy przekonacie się, czy Lutek kłamie!

Masława zastanowił nieco ton, pełen głębokiego przekonania, z jakiem dziad przemawiał.

— No — rzekł, — wierzę ci; może być, że się potrafi wszędzie wcisnąć, i dlatego wzbudził w nas wiarę, że jest wszędzie obecnym. Ale teraz nie o to idzie; gdzie go można spotkać na pewno?

— Nigdzie, tylko w dolinie nad Prądnikiem, która należy do kniezia Mszczuja i gdzie się wznosi jego gródek. Tam ma on stałą siedzibę w pieczarze, na górze Hełmowej.

— Ale jakże ja ją odszukam?

— Nawet nie próbujcie jej szukać sami, bo upewniam was, że nie znajdziecie, gdyż wejście do niej tak ukryte, iż

nikt tam się sam nie dostanie. Ale zróbcie tak, jako wam poradzę: Jedźcie, jedźcie wciąż doliną Prądnika, a gdy już daleko zostawicie za sobą wysoką skałę, na której stoi gródek knezia, dostaniecie się w wąwóz, zewsząd ściśnięty skałami; a dojechawszy do wielkiej góry, porosłej lasem czarnym, wstrzymacie konia. Wtedy zsiądźcie i krzyknijcie po trzykroć: „Wyjdź, wyjdź, wyjdź, Rokitko!... niewolnik twój przybywa!” Wtedy zaraz on wyjdzie gdzieś z za skały, taki maleńki, garbaty, i zaprowadzi was do pieczary, a tam mu już powiecie, co macie rzec.

Masław rzucił się niecierpliwie.

— Dlaczego mam mówić „niewolnik,” kiedy nim nie jestem? Wcale nie idę do niego, by mu się oddać w niewolę!

— To nic, ale inaczej nie można — odparł Lutek; — gdy nie powiecie tak, jak wam mówiłem, to choćbyście nie wiem jak długo stali, on wam się nie ukaże. On zawzięty... obrażać go nie można; kneź Mszczuj jaki straszny, a kiedy raz psami kazał zaszczuć Rokitkę, ujrzawszy go koło swego gródka, gdzie zbierał jakieś zioła, to później jak mu zaczęło bydło ginąć, tak wszystko wyginęło. Tak mści się Rokitka. A kto u niego raz na służbę stanął, ten już na wieki niewolnik jego, nigdy się nie oswobodzi.

Dziad mówił cicho, głosem tajemniczym, jakby przygłuszonym od trwogi. Dokoła już wieczór coraz bardziej zapadał; las zaległy mroki, tylko ostatni jakiś, zabłąkany promień zapadającego słońca wdzierał się ostro przez gałęzie, czerwony i jaskrawy. Gdzieś w dali turkawka ozwała się po raz ostatni.

Masław jechał powoli wązką ścieżką wśród zarośli, Lutek szedł obok. Wyjechali niedługo na miejsce odkryte; były to obszerne trzęsawiska, często trafiające się w owych czasach wśród głuchych lasów.

Masław i Lutek trzymali się brzegu, gdzie grunt twardszy umocniony był przez korzenie drzew. Przed ich wzro-

kiem rozciągała się cała ta gładka płaszczyzna zielona, na której najmniejszy przedmiot zdala był widocznym, — gdy oczom ich ukazała się nagle mała jakaś, garbata postać, o drobnej, koziej bródce, koloru zwiędłej trawy. Człowiek ten, czy duch—bo niekształtne owo stworzenie wyglądało ze swych ruchów dziwacznych na jakąś nadprzyrodzoną istotę— przeskakiwał z kępy na kępę, oświecony czerwonym promieniem słońca, i znikł nagle w łozie, jak widmo.

Koń Masława rzucił się spłoszony.

— A widzicie! czyż nie mówiłem? — szepnął Lutek, a w głosie jego czuć było przestrach.

Masław nie nadarmo dowiadywał się jednak o siedzibę Rokitki; nazajutrz bowiem natychmiast udał się w drogę ku dolinie Prądnika, by coprędzej obaczyć się z tajemniczym jej władcą, który na równi ze strasznym kneziem, a może nawet więcej od niego, trzymał ją w swem posiadaniu. Ta miejscowość, która otaczała jego siedlisko i do której, po parodniowej podróży przez lasy, wjeżdżał właśnie Masław, była ogólnie unikana i nawet prędzej zbliżano się do gródka knezia Mszczuja, .niż do ustronia, zamieszkanego przez dziwaczną istotę, budzącą w okolicznym ludzie postrach, pomieszany z pewną czcią.

Słońce kłoniło się za góry i za lasy, kiedy Masław wjechał do owego miejsca, tyle osławionego. Otoczyły go z obu stron skały dziwacznych kształtów, jak gdyby przyroda wysiliła się na nie. Tu wznosiły się jakby wieże i zamki wielkoludów, tam jakby łuki niewidzianych jakichś bram i kościołów, to znów najwyraźniej skała przybrała kształt olbrzymiej ręki, której pięć palców zarysowywały się najwidoczniej.

Drzewa oraz bujna roślinność okrywały głazy płaszczem zieleni, dołem zaś wił się Prądnik po kamieniach.

Ani żywej duszy widać nie było w dolinie—bo któż na świecie ośmieliłby się zapuszczać wieczorem w owe miejsca, zamieszkane przez czarownika, czy też samego biesa, jak krążyła gadka między ludem?

Masław wreszcie stanął u stóp góry, okrytej płaszczem świerkowego lasu; czoło jej kryło się już we mgłach wieczornych; poznał, że była to góra Hełmowa, o której mu Lutek mówił.

Niewielkie źródło wytryskiwało z cichym szelestem w poblizkich zaroślach; duże głazy leżały rozrzucone i napiętrzone jedne na drugich. Miejscowość dokoła miała pozór dziki, zasypana była całkiem rumowiskami wapienia i porosła krzewami karłowatymi, po których wiatr przechodził niekiedy, wydobywając żałosny poświst.

Masław zsiadł z konia i po trzykroć zawołał: „Wyjdź, wyjdź, wyjdź, Rokitko!” Echo powtórzyło jego wezwanie i znów nastało milczenie. Czekał, sądząc, że za chwilę z poza skał ukaże mu się dziwaczna istota, którą widział na bagnach,—lecz nic się nie poruszyło, źródło tylko pluskało obok. Powtórzył znów swe wezwanie, oglądając się dokoła; każdy krzak, każdy kamień zdawał mu się w mrokach wieczornych niekształtną postacią karła,—lecz głucha cisza, otaczająca go, wkrótce go przekonała o pomyłce.

Wkońcu postanowił uniżyć się przed dziwnym władcą owej miejscowości; zawołał znów po trzykroć: „Wyjdź, wyjdź, wyjdź, Rokitko! niewolnik twój przybywa!”

Zaledwie ostatnie słowa rozpłynęły się w cichem, wieczornem powietrzu, usłyszał za sobą ostry wybuch śmiechu, podobny do zgrzytu zardzewiałego żelaza. Obrócił się: z poza załomów skały wyszła mała, garbata postać, o krótkiej koziej bródce, barwy zeschłej trawy.

— Cha, cha, cha! — śmiał się, a echa powtórzyły śmiech ten przeraźliwy. — Poniżyłeś więc pychę swą wreszcie i nazwałeś się moim niewolnikiem. Tak, tyś dawno już mój niewolnik, choć się do tego nie przyznawałeś, a raczej niewolnik Czarnoboga, którego ja jestem kapłanem i sługą. Czekałem cię od dawna tutaj. Lecz pomnij, że kto raz dostanie się w moc moją, ten już w niej do końca życia pozostanie.

— Nie przyszedłem — odparł dumnie Masław, — by oddać się w moc twoją, ale aby zawrzeć przymierze z tobą i twym panem. Poznałem, że jeden Czarnobóg jest godzien czci, bo on jeden tylko posiada siłę; inni są słabi i niedołężni, a ja jedynie sile hołduję. Przychodzę więc ofiarować mu przymierze, jak równy równemu; niech mi dopomoże do pozyskania władzy i potęgi, a postawię mu ołtarze, chramy, lud cały skłonię, by mu cześć oddawał. Widzę bowiem, że on jedynie może mi w tem dopomódz; bo kiedy wszystkie bogi upadły, on wciąż pozostał na dawnem stanowisku. Ale sądzę, że i on nie będzie się gniewał, gdy pozyska nowego czciciela i sprzymierzeńca...

— On wiecznie pozostanie, dokąd ludzie trwać będą — odrzekł Rokitka z szyderstwem w głosie,—bo wraz z nim i złe istnieć będzie. O czcicieli on troszczyć się nie potrzebuje, dość ich ma i tak; bo czy myślisz, że my się o nich staramy? Nie, własne to ludzkie występki, własne ich złości oddają ich pod władzę Czarnoboga. Czarnobóg gardzi wami, robakami nędznymi, którzy nawet w złem siły nie macie; waszego przymierza nie potrzebuje on. On, król ciemności, lata z wichrem nocnym po rozstajnych drogach, a gdy idzie, to las cały gnie się pod stopą jego. A ty, nędzny pyszałku, sądzisz, że on potrzebuje twojej czci, twoich chramów, twoich ołtarzy? On i bez ciebie nad całym światem panuje i nie dba o to panowanie... bo cóż jest ten wasz świat, podły, głupi? Mówisz, żeś nie przybył poddać się pod władzę jego? A skądże wiesz, że serce twe nie jest już od dawna w jego mocy? Chcesz temu zaprzeczyć? Powiedz mi: czy wyrzekasz się pychy swej? Nie. Czy wyrzekasz się żądzy panowania nad innymi jedynie z pomocą gwałtów i krwi? Nie. Czy serce twe choć raz zaznało uczucia litości? Wiem, że nie. A więc czemuż zaprzeczasz, czemu się wzbraniasz? Tyś nasz, nasz! nasz!

I znów zaśmiał się szyderczo, a echa doliny odpowiedziały mu.

— Tak, jestem takim, jak powiadasz — rzekł Masław dziko: — jestem dumnym, pysznym, nieubłaganym, i takim zostanę do końca! Ale nieprawda, że w złem siły nie mam; twój pan nie ma prawa mną gardzić, gdyż godzien jestem jego. Jeśli nie chce przymierza jak równy z równym, to niech przyjmie wojnę!

— Szaleńcze, pyszałku! — rzekł Rokitka szyderczo — i z kimże to równać się ośmielasz? Sama twoja pycha na wieki cię zapisuje w niewolę naszą. Pocóż więc przyszedłeś tu?

— Już powiedziałem — odrzekł Masław: — chcę przymierza, chcę, aby sam Czarnobóg ukazał mi się w swej własnej postaci. Czyż to tak trudnem dla ciebie?

— I ty, nędzny robaku, sądzisz, że zniesiesz obecność i widok pana ciemności? Mam litość nad tobą i dlatego go tobie nie ukażę, bo zginąłbyś, tak, zginąłbyś od razu, gdybyś spojrzał w jego oblicze!

— A więc chcę przynajmniej wiedzieć przyszłość z ust twoich; słyszałem, że umiesz ją przepowiadać. Niech wiem, czy spełnią się me zamiary, czy stanę się kiedyś potężnym władcą?

— Mogę to zrobić dla ciebie — odrzekł Rokitka,—ale poczekaj jeszcze trochę; dopiero o godzinie, kiedy ciemności okryją zupełnie dolinę, kiedy sowa ozwie się w skałach, dopiero wówczas duch na mnie schodzi i wówczas powiem ci twą przyszłość, jeśliś tak szalony, że pragniesz ją poznać naprzód. Zostaw konia tu pod drzewem, a sam chodź za mną do pieczary. Tam rozpalę ogień i przygotuję wszystko.

Począł sam wspinać się na górę, by pokazać drogę Masławowi. Szare cienie rozciągały się już dokoła; postać Rokitki, gdy po kociemu przeskakiwał ze skały na skałę, w mrokach można było wziąć za jakieś zwierzę nocne.

Doszli wreszcie do otworu pieczary. Był on tak dobrze osłonięty drzewami i krzakami, że przypadkiem nawet niepodobna go było odkryć. Wązkie przejście między dwie-

ma skałami, okryte sklepieniem krzewów, wiodło do pieczary.

Masław przypomniał sobie różne wieści, obiegające między ludem o tej grocie. Mówiono, że ciągnie się ona nie wiadomo jak daleko w głąb' ziemi i nikt nie wie, co tam jest wewnątrz; że Rokitka kradnie i zaciąga tam dzieci i zbłąkanych podróżnych, by ich zabijać na ofiarę Czarnobogowi. Mimowoli wszystko to stanęło mu teraz na myśli; ale Rokitka szedł wciąż naprzód, zagłębiając się coraz bardziej w ciemne przejście; Masław widział przed sobą jego małą postać, z długiemi rękami, podobną do wielkiego pająka.

— Otóż jesteśmy w mej siedzibie — rzekł wreszcie karzeł, i skrzesawszy ognia, zapalił łuczywo. Przy jego świetle Masław ujrzał, że stoją na brzegu obszernego kotliska, znajdującego się wewnątrz pieczary. Nietoperze, spłoszone światłem, poczęły krążyć nad ich głowami; w ciemności coś się poruszyło, jakieś oczy zabłyszczały nagle zielono w kącie i znów znikły.

Zejście w głąb' było dość stromem, ale Rokitka zsunął się zręcznie w dół, mówiąc: „Za mną!" Masław z trudnością za nim podążył, aż znalazł się na dole. Łuczywo rozświecało zaledwo mały krąg dokoła nich, reszta obszernej pieczary tonęła w grubych ciemnościach. Ciszę przerywał tylko szelest kropel, ściekających po ścianach.

Nagle w kącie coś się poruszyło i ryś wyskoczył na środek; widocznie był oswojonym, bo począł krążyć dokoła Rokitki, jakby go witał.

Karzeł począł teraz znosić gałęzie suche z kąta pieczary i rozpalił ognisko w pośrodku. Płomień zaigrał, oświecając sklepienie, pokryte masą wapienną, nieprzezroczystą, oraz nacieki, wiszące wszędzie, w kształcie soplów. Boczne załomy tylko pogrążone były w cieniach. Masław zdziwił się, nie widząc żadnego bałwana, jak w innych świątyniach; wielki tylko kamień stał pod jedną ze ścian. Rokitka domyślił się snać jego zdziwienia, bo rzekł:

— Czarnobóg nie może być wyobrażony z kamienia, ani z drzewa, gdyż nie ma żadnej widomej postaci, ukazuje się ludziom, jak chce: raz w ogniu, drugi raz w postaci zwierza lub człeka. Wolny duch, unosi się ponad ziemią i napełnia ciemności... one są jego żywiołem... sam Czarnobóg jest ciemnością.

Masław w milczeniu rozglądał się dokoła. Nigdzie nie widać było stosów kości ludzkich, ni zwierzęcych, które spodziewał się tu ujrzeć.

Rokitka, odgadując wszystkie jego myśli, zaśmiał się swym zwykłym śmiechem, mówiąc:

— Myślałeś, że i Czarnobóg, tak jak twoi bogowie, potrzebuje krwi z ludzi i zwierząt? Nie, on nie chce tego; dość mu serc ludzkich i tego jadu, który się w nich wyrabia; taka ofiara milsza mu nad mięso i krew, albo miód i pieczywa, które ofiarujecie tamtym. Czarnobóg, potężny pan ciemności, gardzi takiemi ofiarami; dość mu panowania nad ludzką duszą.

To mówiąc, nasypał na ogień różnych suchych ziół; wonny dym rozszedł się po pieczarze i wzniósł się w gęstych kłębach aż pod sklepienie.

— Zbliż się i patrz! — rzekł Rokitka do Masława — godzina nadeszła.

Masław się zbliżył i wpatrzył w kłęby dymu, które powoli zaczęły przybierać jakieś bardziej określone kształty. Rokitka stał za nim; szyderczy uśmiech nie opuszczał ust jego.

— Widzisz — mówił, — masz, co chciałeś: potęgę, panowanie, pozyskane za cenę potoków krwi; wyniesiesz się i będziesz deptał po głowach ludzkich, a oni cię postawią nad sobą. Widzisz, widzisz, jak wszystko się składa!

Głos jego stawał się coraz więcej szyderczym.

Twarz zaś Masława przybrała naprzód wyraz dumy, potęgi i dzikiej radości; stał, jakby już stopa jego deptała zwyciężonych; wyglądał jak sam władca ciemności, cieszący

się dziełem zniszczenia. Lecz stopniowo oblicze jego pochmurniało; cofnął się wreszcie, jakby w kłębach dymu zobaczył coś okropnego,

— Cha, cha, cha! — rozległ się za nim śmiech, podobny do zgrzytu zardzewiałej piły—cha, cha, cha! Taki koniec potęgi i władzy bezprawnej, tak zawsze kończą podobni mocarze! Cóż? czyś zadowolony? wysoko pójdziesz przecie?

— Tak, zadowolony jestem! — zawołał Masław dziko — za jeden rok potęgi zgodzę się na wszystko! Tak, losy rzucone! Skoro przeznaczenie chce, bym posiadł władzę, niech i dalej będzie tak, jak być ma! Będę potężny, będę możny i będę bez litości, aż do końca! A tam niech się dzieje, co chce!

— A ja ci w tem dopomogę — rzekł Rokitka, lecz poznać nie można było, czy mówi szczerze, czy przez szyderstwo;—mam dużo takich, co się zapisali w moją służbę; rozkażę im teraz, by tobie służyli tak wiernie, jako mnie samemu; gotów jestem dawać ci wszelką pomoc w zamiarach twoich, chcę bowiem, by twe świetne losy spełniły się coprędzej.

I znów śmiech jego rozległ się po pieczarze.

— Pamiętaj tylko o swej obietnicy—rzekł Masław.

— Bądź spokojny, nie zapomnę o niej — odparł karzeł drwiąco.

— A więc przymierze zawarte, jam twój! — zawołał dziko Masław i wybiegł z pieczary, a za nim pogonił w ciemnościach śmiech szyderczy, podobny do zgrzytu zardzewiałego żelaza.

XI.

W dolinie Prądnika jest skała wyniosła, zwana obecnie Grodziskiem. Dawnymi czasy nosiła ona na sobie kolejno twierdze, zamki obronne, lub mieszkanie Bogu poświęconych

niewiast; lecz przedtem jeszcze, w wiekach, które mrok kryje teraz przed nami, wznosiło się tu gniazdo rodu starego.

Ród kneziów, wywodzących swój początek od dawnych książąt, rządzących niegdyś w Krakowie, założył swą siedzibę na tej wysokiej, stromej skale. Obecnie należała ona do starego knezia Mszczuja, knezia-wilka, jak go zwano. Ptaki drapieżne lubią mieszkać na nieprzystępnych skałach, skąd łatwiej zdobycz upatrują; kneź Mszczuj siedział też zawsze w swem rodzinnem gnieździe, i, jak sęp, ostrzył szpony z wysoka. Trzymał on u siebie liczną, zbrojną drużynę, złożoną z ludzi śmiałych i mężnych; często, gdy dano znać, że kupcy wędrowni gdzieś w pobliżu ciągną ze swą karawaną, dzikie sokoły knezia Mszczuja spuszczały się z góry, a zaczaiwszy się przy drodze, uderzały na zdobycz i przynosiły do gródka bogate łupy.

Była tam więc zawsze obfitość wszystkiego: krasne makaty z Carogrodu, zrabowane na kupcach greckich, zaścielały proste, dębowe ławy; złote i srebrne kubki stały obok drewnianej misy, a każdy z ludzi knezia chodził strojny, jak książę, mając u boku najlepszą broń niemiecką i normandzką. Ale każdy z nich drżał przed kneziem, gdy ten powiódł dokoła siebie okiem surowem i zawsze spokojnem.

I nie dziw — wiedziano bowiem, że gdy się zaweźmie, przed niczem się nie cofa, a zemsta jego bywa straszną; pamiętano jeszcze, jak przed kilkunastu laty, zagniewany na jednego z sąsiednich władyków, najechał jego gródek, spalił, a ród cały wymordował.

Kneź niczego się nie bał, gdyż jego gródek miał tak obronne położenie, że szturmem go zdobyć niepodobna było, a głodem wziąć także było trudno, bo w lochach i śpichrzach znajdowały się zapasy, wystarczające na lat kilka.

Mieszkał więc wolny i niepodległy w swym gródku, bo było to w kraju dzikim, zarosłym nieprzebytymi lasami, często zajmowanym przez wroga. Taką była wówczas Chrobacya.

W Wielkopolsce, bardziej już osiedlonej, pod okiem wreszcie króla, nigdyby się utrzymać nie mógł, — ale tu był postrachem okolicy, a ród jego, korzystając ze swego wyjątkowego położenia, żył zawsze tak, jak gdyby nie uznawał teraźniejszych władców kraju, mimo, że Bolesław wielce łaskawym był na potomków dawnych książąt i niektórym z nich ponadawał sporo ziemi w posiadanie.

Na owej sławnej uczcie Geronowej padło także dwóch starszych synów knezia Mszczuja; odtąd poprzysiągł on wieczną nienawiść Niemcom; lecz i dla swoich nie był lepszym.

W późnym już wieku, z drugiej żony, pochodzącej z rodu miejscowych władyków, miał syna Drahomira i córkę.

Gródek knezia był, przeciw ówczesnemu obyczajowi, murowany. Okrągła wieżyca, zaopatrzona w wązkie i rzadkie otwory, wznosiła się tuż ponad pionową skałą, z której gdyś spojrzał, to się zawracało w głowie. Z jednej strony leżał wąwóz, na dnie którego płynął Prądnik, z drugiej przepaść, a wierzchołki wysokich drzew, rosnących w dole, kołysały się na kilkadziesiąt stóp poniżej krawędzi skały.

Góra ta więc była tylko z jednej strony dostępną, ale stamtąd bronił jej gruby mur i brama. Na wierzchu skały rosło kilka lip, a jedna z nich, wygięta, zwieszała się zupełnie nad przepaścią tak, iż zdawało się, iż lada chwila wiatr ją wyrwie i zrzuci na dno. Oprócz wieży, były tam jeszcze inne zabudowania, jak śpichrze, stajnie, oraz sam dwór knezia, wzniesiony z modrzewiowego drzewa.

Służba i zbrojni mieścili się w wieżycy, gdzie na dole były lochy. Sam kneź, wraz z synem i bratem Odylonem, który od niejakiegoś czasu przebywał zazwyczaj przy bracie, nie mogąc wyżyć w swym gródku samotnym, mieszkali w dworcu. Wszędzie, na każdym kroku, znać było, że jest to siedziba, zamieszkana przez mężów jedynie; wszędzie spotykałeś tylko groźne, surowe twarze; niewiasty, jeżeli i były, to się kryły trwożliwie, niby gołąbki w gnieździe sokołów.

W gródku rzeczywiście znajdowała się córka knezia, Ziezilia, ale była ona bogom poświęcona i pozostawała przy ojcu tylko dlatego, że nie było już żadnej świątyni, w którejby im służyć mogła. Otaczało ją kilka dziewcząt, zwykle trwożnych i cichych; nigdy też po świetlicach nie rozległ się srebrny śmiech dziewczęcy, nigdy pieśń wesoła, zawiedziona nad kądzielą, nie obiła się o ściany — obecność strasznego knezia wszystko mroziła.

Ale zato, gdy się połów dobrze udał, kneź wydawał ucztę swoim dzielnym witeziom; wówczas puhary dźwięczały, a pieśni płynęły daleko po dolinie, trwożąc wędrowca wieczornego, który coprędzej uchodził jaknajdalej od drapieżnego gniazda. Twarze wszystkich biesiadników były wtedy wesołe, tylko oblicze knezia nie rozchmurzyło się nigdy; siedział na czele stołu, zimny i spokojny, niby posąg z kamienia, a nikt nie wiedział, jakie myśli ważyły się w tej posępnej duszy.

Tego rana wiał dość chłodny wiatr w dolinie; kneź Mszczuj siedział w wielkiej izbie, z ogniskiem w rogu, ze ścianami obwieszonemi rozmaitą bronią, oraz głowami łosiów, dzików, turów i niedźwiedzi. Skóry tych zwierząt zaściełały ławy, a nawet miejscami podłogę, ułożoną z kamieni.

Gdzieniegdzie rzucona była niedbale bogata makata, purpurą tkana, drogie puhary stały na stole. U ogniska grzał się oswojony wilk knezia, zwany Luty, a obok niego duży, siwy pies. Sokoły, przysposobione do łowów, siedziały na żerdziach, schowawszy głowy pod skrzydła. Kneź Mszczuj zasiadł przy ognisku, wsparłszy nogi na swoim wilku. Przy oknie, wychodzącem na ową przepaść, pełną zieleni, przędła młoda Ziezilia, milcząca i smutna, jak owa bogini, której nosiła miano. Drahomir siedział nieco opodal za stołem, zadumany, z głową wspartą na ręku; a nie musiały to być zbyt wesołe dumy, bo chmury często przechodziły po jego czole.

W izbie panowała cisza, gdyż w obecności starego knezia nikt nie śmiał się ozwać pierwszy; milczano więc.

— Drahomirze—ozwał się wreszcie kneź,—zbliż się tu.

Drahomir wstał i podszedł do ogniska w milczeniu.

Kneź obrócił się do córki:

—Odejdź, Ziezilio—rzekł rozkazująco i zimno;—dziewki nie potrzebują być obecne przy naradach mężów; to nie ich rzecz!

Ziezilia wyszła z izby, nie wyrzekłszy ani słowa.

Gdy drzwi się za nią zamknęły, kneź rzekł do stojącego przed nim syna:

— Od dawna już chciałem z tobą pomówić. Ważna chwila teraz nadeszła; jeśli z niej nie skorzystamy, nigdy się już pewno druga podobna nie trafi. Sądzę, żeś nie zapomniał, z jakiego rodu pochodzimy...

Mówił, jak zwykle, głosem spokojnym i chłodnym, z oczyma nawpół przymkniętemi, jakby chcąc przyćmić posępny ogień, w nich błyszczący.

— Dlaczegóż mię pytacie o to, ojcze?—rzekł Drahomir.

— Dlatego, iż teraz właśnie nadszedł czas, kiedy powinieneś pokazać, czyś jest godnym tego rodu, którego praszczur rządził kiedyś na Krakowie.

I dodał, głos nieco zniżając:

— Bolesław, zajęty wojną, nie może przyjść na ratunek swego państwa; zresztą los wojny jest niepewny... i kto wie, co się z nim stanie. Tu tymczasem nie trudno podburzyć lud, który w wielu miejscach żałuje starych bogów; reszta będzie musiała pójść za większością.

— A kto go podburzy?—spytał Drahomir.

— Masław podejmuje się to zrobić.

— Masław?—powtórzył Drahomir niedowierzająco—ja Masławowi nie wierzę; on o sobie myśli, a nie o nas. Liczyć na lud... to wszystko jedno, co na piasku budować. On dziś z tym, jutro z tamtym, a zawsze stoi po stronie siły; szalony, ktoby wierzył, że można rachować na jego stałość, na jego odwagę lub wierność ..

— Czy myślisz, że ja na nią rachuję?—spytał kneź spokojnie — czy myślisz, że nie znam tego motłochu? Lecz

zręczny zawsze ma powodzenie; trzeba umieć tylko ster ująć w porę; niech sobie Masław myśli, że dla siebie pracuje; co nam to szkodzi? Oddał on nam zanadto wiele przysług, by go się już teraz pozbywać; będzie nam jeszcze czas jakiś potrzebny. A potem, co robimy z nieużytecznem już narzędziem? Łamiemy je lub odrzucamy. Ale na to będzie jeszcze czas. Jak podburzył ludy połabskie przeciw Bolesławowi, tak potrafi podburzyć lud i u nas; a my tego zrobić nie możemy, nie słuchanoby nas, więc też musimy go jeszcze zostawić.

— A cóż dalej?—pytał chłodno Drahomir.

— Dalej? Dalej weźmiemy co nam się z prawa należy. Albo to przodkowie nasi nie panowali ongi w Krakowie? i my teraz to potrafimy.

— Czy nam dadzą tylko?—spytał nieco ironicznie Drahomir.—Zdaje mi się, że Bolesław ma dość siły, aby na to nie zezwolić.

— I my znajdziemy siłę, by mu się oprzeć—odrzekł kneź zimno;—na silnego znajdzie się silniejszy. Czyż nie mamy pewnego poparcia w cesarzu, który zawsze gotów Bolesławowi nogę podstawić? a jego margrafowie i teraz, jak słyszę, obiecują nam pomoc; czyż zresztą Czesi nie byli już w Krakowie?

— Co?—zawołał Drahomir z oburzeniem—chcielibyście wiązać się z wrogiem, wprowadzać go we własne granice? Wroga mieszać do domowych kłótni? Nie, ojcze, wy tego nie uczynicie!

— Uczynię! — odparł kneź stanowczo.—Albož Bolesław nie jest takim samym wrogiem naszym? Czyż jego przodkowie nie zajęli bezprawnie miejsca kneziów prawowitych? My przecie mamy większe prawo do rządów, niż on; gdy mój pradziad zasiadł na stolicy książęcej, jego praszczur chodził gdzieś za pługiem i nie byłby przypuszczonym nawet do stołu książęcego.

— Nie zaprzeczycie jednak, ojcze, że teraz ten potomek kmieci jest mądrym królem, szanowanym od siąsiadów, ukoronowanym przez samego cesarza; a o nas zaledwie wiedzą ludzie, że żyjemy, bo przez tyle lat usuwając się od wszystkiego, daliśmy zapomnieć o sobie, a zapomnienie to największy wróg, ojcze; gdy raz ludzie powiedzieli, że coś przestało istnieć, już na to niema rady.

— A więc pokażmy im, że żyjemy!—zawołał kneź — że ród nasz istnieje jeszcze! pokażmy to!

— Czem? — spytał Drahomir z goryczą. — Wywoływaniem sporów domowych, wzywaniem wroga we własne granice? Ależ wtedy gorzej będzie, bo powiedzą, że cały nasz ród książęcy to nic innego, tylko... zdrajcy!

— Co?—krzyknął stary kneź, a w oczach jego błysło złowrogie światło.

— Zdrajcy!—powtórzył Drahomir dobitnie.

— I ty to śmiesz mówić! ty? — ryknął kneź, gotów prawie rzucić się na syna, ze wzrokiem błyszczącym, jak u wilka. Straszne było to nagłe przejście od spokoju do takiej gwałtowności; Drahomir jednak nie cofnął się, nie spuścił wzroku, stanął tylko z rękami skrzyżowanemi na piersiach.

— Ojcze — rzekł spokojnie, — pojmijcie... jam wasza krew... możecie mię zabić, ale nie ugiąć. To, co myślę teraz, będę zawsze myślał, i to samo powiem nawet wobec śmierci. Wybaczcie mi, jeślim wam uchybił, lecz nie mogłem się powstrzymać, gdym usłyszał, że ród nasz ma ponieść taką straszną plamę na sobie. O, błagam was, ojcze!—zawołał z wybuchem—nie czyńcie tego dla mnie, dla siebie samego, dla czci ludzkiej, o którą każdy dbać powinien! Nie wiążcie się ze zdrajcami, bo ściągniecie na nas nieszczęście, a biedę na kraj cały!

— Odejdź! — odparł kneź twardo.—Widzę, że w tobie niema ani kropli krwi dawnych kneziów. Stworzony jesteś, aby być wiecznie sługą królewskim, poddanym jego! Od

kiedyś chodził na ową wyprawę, dostrzegłem, że blask owego króla cię olśnił; chciałbyś także mu służyć wraz z innymi, zapominając, z jakiej krwi pochodzisz. Tyś nie wart być moim synem...

Drahomir w milczeniu wysłuchał tych wyrazów, nie wyrzekłszy ani słowa usprawiedliwienia; stał wciąż z rękami skrzyżowanemi i słuchał; tymczasem kneź powoli się uspokoił, straszny błysk jego oczu gasnął stopniowo. Oblicze jego znów się stało kamiennem; zdawało się, że chłód od niego wieje.

Nastało milczenie zapaśników, którzy zbierają siły, by na siebie uderzyć.

— Nie zaprzeczycie jednak, ojcze — ozwał się wreszcie Drahomir,—że ci władycy, na których pójdziemy na czele motłochu, to są bracia nasi?

— Nie, stokroć nie!—zawołał kneź, porywając się z miejsca—prędzejbym rękę sobie uciął, niżbym ją miał podać któremu z nich jak bratu, im, których łaska pana, według woli, kolejno podwyższa lub poniża! Prędzej mię ziemia pochłonie.

— To dlaczego z czernią się wiążecie? — spytał wyniośle Drahomir.

— Czerń, to co innego; ja wiem, że oni ze mną nie staną na równi, bo znają, co to kneź!

— Jak chcecie, ojcze, ale ja w powodzenie naszej sprawy nie wierzę. Nie bójcie się, nie cofnę się przed niebezpieczeństwem, nie będę odstępcą. Spełnię waszą wolę we wszystkiem, będę robił, co każecie, dla podtrzymania upadającej sprawy, będę się bił za nią, zginę nawet, jeśli trzeba, ale w nią nie wierzę!

— Tak to zmieniły się czasy! — ozwał się kneź głosem chłodnym, jak zwykle — dawniej młodzi szli na przód, a starzy ich powstrzymywali; dziś my starzy, stojący nad grobem, musimy rozgrzewać serca młodych, bo, niestety! ostygły już one dla śmiałych czynów.

— Daremnie mię oskarżacie, ojcze—rzekł Drahomir.— Cóżem ja winien, że widzę, gdy wy wszyscy jesteście ślepi? Bo spójrzmy, kto tu stoi naprzeciw siebie? Z jednej strony kapłan Borun, starzec zniedołężniały i zgnębiony, który lat kilkadziesiąt w puszczy przebył i świata bożego nie widział; kilku jeszcze podobnych jemu; wy, ojcze, coście również w gródku swoim tylko żyli, usunięci od spraw szerszych, no i ten Masław. Ale sami bogowie wiedzą, jakie on knuje zamiary; co wszakże pewna, że nie dla nas pracuje, lecz dla siebie. Za sobą prowadzi motłoch ciemny, który oszołomił obietnicami powrotu starej wiary i starego porządku. A naprzeciw? Naprzeciw stoi król, którego słowo poruszy tysiące, naprzeciw stoją wojewodowie i wojownicy ich, wyćwiczeni w długich bojach; władyki, kmiecie, cały ten spokojny lud rolniczy, który nie chce gwałtów i bezprawi.

W tej chwili odgłos rogu, rozlegający się pod oknami, przerwał rozmowę. Kneź klasnął w ręce; wszedł sługa.

— Co to?—spytał kneź krótko.

— Drużyna nasza powróciła z wyprawy—odparł sługa z pokłonem.

Na podwórze w istocie wjechał oddział zbrojny; na czele znajdował się dowódca, w pośrodku zaś widać było jakiegoś jeńca.

— Widzę, że przywożą ze sobą połów — rzekł kneź; — zobaczymy, co to jest.

To rzekłszy, wyszedł na podsienie, Drahomir zaś sam pozostał w izbie i pogrążył się w posępnem zamyśleniu; jego oblicze, zwykle noszące wyraz śmiały i otwarty, pokryło się teraz chmurą, jak gdyby przed jego okiem stawały wcale niewesołe obrazy.

— Ha, niechże i tak będzie!—rzekł wkońcu sam do siebie—ginąć, to ginąć!

Kneź stanął na podsieniu, czekając, by oddział się zbliżył. Wszyscy jego ludzie byli dobrze uzbrojeni, na pięknych

koniach, strojni w rysie kołpaki z czarnemi piórami, oraz w bogate płaszcze; wszyscy byli młodzi, rośli i silni jak dęby — bo kneź umiał dobierać sobie ludzi.

Dowódca podjechał, a zsiadłszy z konia, stanął przed kneziem, by mu zdać sprawę z kilkudniowej wyprawy w okolice Kielc. Ludzie z jego oddziału pozostali nieco dalej.

— Co nowego, Leszku? — spytał kneź półgłosem.

— Spełniliśmy wszystkie wasze zlecenia, miłościwy kneziu, posunęliśmy się aż ku Kielcom. Dobrogost zbiera drużyny zbrojne i wysyła nowych robotników na górę Łysą; Masław zaś porozsyłał różnych swoich podwładnych, by podburzali lud po siołach, a za kilka dni mają się wszyscy zjechać tutaj na naradę.

— Kto? — spytał kneź.

— Kapłan Borun, Masław i reszta.

— Dobrze — rzekł kneź spokojnie; — cóż to za jeńca przywiedliście?

— A ot, spotkaliśmy w puszczy tego Niemca, to i przywiedliśmy go tu; ale nic nie można od niego się dobić, bies go chyba pojmie — odrzekł przywódca.

— A no, dajcie go tu! — rozkazał kneź.

— Hej, Mirek! — krzyknął dowódca — a podaj-no tu tego psa niemego!

Natychmiast przyprowadzono Niemca przed knezia. Był to Kurtz, ale Kurtz o połowę zmniejszony, tak go błąkanie się po puszczy wychudziło. Blady był, nogi się chwiały pod nim; gdy spojrzał w oblicze knezia, tak się przeląkł, że padł na kolana, bełkocąc coś po niemiecku.

— Ktoś ty? — spytał kneź ostro.

Niemiec znów wybełkotał coś niezrozumiałego, a cała drużyna wybuchła hucznym śmiechem.

— On biedny zaniemiał — rzekł jeden.

— Język ma przyrośnięty, trzeba mu go poderznąć — ozwał się drugi.

— Pokaż, może masz miasto nóg kopyta? Możeś ty czarownik?

— Milczeć tam! — krzyknął kneź. A obróciwszy się do służby, rzekł: — Odprowadzić tego Szwaba do izby, gdzie jest ów rycerz królewski; nie mamy czasu zajmować się nim.

Dwóch pachołków wzięło Kurtza i poprowadziło go w głąb' domu. Otworzywszy drzwi od oznaczonej izby, wepchnęli tam jeńca; ten znalazł się w obecności Ładona, który zdziwiony był niepomału tym towarzyszem, spadłym jakby z nieba.

Ale Kurtz domyślił się wkrótce, że ma przed sobą nie jakiegoś strasznego poganina, lecz rycerza, człowieka podobnego innym, zawołał więc radośnie:

— Chwała Bogu, że wreszcie spotykam chrześcijanina, a nie tych okrutnych pogan; bo wszak prawda, jesteście chrześcijaninem, rozumiecie po niemiecku?

— Tak, jestem chrześcijaninem i więźniem, jak wy — odrzekł Ładon; — pochodzę z dworu króla i należę do jego orszaku. Ale skądże wyście tu się wzięli?

— Długa to historya; potem ją wam opowiem, bo teraz już sił mi nie staje. Dzięki niebu, że przecie znalazłem kogoś, z kim się rozmówić potrafię — odrzekł Kurtz, siadając na ławie; — ci przeklęci Słowianie, bodaj ich choroba zdusiła!... Ale wy nie gniewajcie się — dodał natychmiast niespokojnie; — człowiek może już stracić cierpliwość nareszcie, kiedy cztery dni nawłóczył się po puszczy, a na dobitek popadł jeszcze w ręce zbójów...

— Musiało wam być ciężko — rzekł Ładon; — w naszych puszczach tylko człek obyty z niemi może nie zbłądzić; są tak dzikie...

— Co to dzikie, co to dzikie!—zawołał Niemiec w uniesieniu—to przeklęte puszcze! Tylko szatan jeden może po nich wędrować! Jeść niema co i jeszcze do tego różne strachy się ukazują. Nie, tylko w przeklętym, słowiańskim kraju

znajdują się podobne puszcze, u nas takich niema! Ale wy się na mnie nie gniewacie, że tak mówię? — spytał z niepokojem.

— Bynajmniej — odparł Ładon. — Skądże przybywacie?

— Z Kielc, z królewskiego dworu; właśnie tydzień, jak go opuściłem; bo trzeba wam wiedzieć, żem dworzanin margrafa Hermana. Po was też zaraz poznałem, że nie należycie do tych zbójów, i pomnę nawet, że coś tam gadano o waszem zniknięciu.

— Więc przybywacie z Kielc, ze dworu naszego króla? — zawołał Ładon. — Powiedzcie, co tam się dzieje?

— Cóż ma się dziać? — odparł Kurtz. — Zabiera się na wojnę; król już pewnie wyruszył nawet, bo gdy opuściłem dwór, drużyny zbrojne ściągały zewsząd.

— Wojna, a mnie tam niema! — zawołał Ładon. — Przeklęta niewola! Zdaje mi się, że ściany te mię duszą! Więc powiadacie, że król już wyruszył? — dodał po chwili.

— Tak sądzę — odrzekł Kurtz.

— Pomyśleć tylko, że moi towarzysze może już tam gdzie biją się pod okiem naszego króla, a ja tu siedzę jak przykuty! — rzekł Ładon wzburzony, stając przy oknie i patrząc roztargnionem okiem w dolinę.—Kiedyż to się skończy? i czy się skończy? Dwa tygodnie już tu siedzę; można oszaleć!

— Ba, ba! gdy wy się troszczycie, to cóż mnie pozostanie? Chyba bić głową o ścianę, lub rzucić się z tej oto skały. A jednak ja nie tracę ducha; byle mi tylko jako tako jeść dawano, byłbym spokojny; a gdyby tak jeszcze dzban piwa, to jużby mi było zupełnie lekko na duszy. Biedny mój pan tylko musi się obchodzić bez swego wiernego Kurtza. Czasem, gdy na pół dnia się oddalę, to już pyta o mnie, a teraz, ot, już tydzień jest beze mnie. Ta myśl najbardziej mię dręczyła, gdym się błąkał po puszczy; mówiłem też owym psom słowiańskim: Odprowadźcie mię do margrafa, on się

beze mnie obejść nie może. Ale gadaj im! wszystko jedno, co rozmawiać z drzewami w lesie.

— Bądźcie pewni — odrzekł Ładon z uśmiechem, — że nie spełnili waszego żądania dlatego tylko, iż was nie pojęli; bo gdyby zrozumieli, iż tak wysoka osoba, jak margraf, nie może się obejść bez swego dworzanina, puściliby was niechybnie.

— I ja tak myślę — rzekł Kurtz poważnie. — Ale możebyście wy im to wytłómaczyli.

— Postaram się, ale nie wiem, czy stary kneź będzie zważał na tak ważną przyczynę, bo to człek nieokrzesany i mało dbający o wielkiego margrafa.

— Powiedzcie mu więc — zawołał podczaszy, nabierając stopniowo coraz większej pewności siebie i prostując swą grubą osobę, — powiedzcie mu, że mój pan, Herman, margraf Miśnii, strasznym jest, gdy się na kogo rozgniewa, i że mścić się będzie okropnie za porwanie swego ulubionego podczaszego. Nie wiem nawet, jakim sposobem nie rozpoczęto dotąd poszukiwań. Przecie to nawet dla samego króla i dla całej waszej krainy będzie źle — dodał z zarozumiałością, — gdy się mój pan rozgniewa.

Ładon nie mógł już dłużej patrzeć na pyszałkowatą minę grubego podczaszego i zawołał zniecierpliwiony:

— Czy sądzicie naprawdę, że knezia wasz margraf obchodzi choć trochę? Czy wy, Niemcy, myślicie w zarozumiałości swej, że i u nas jesteście panami, jak tam nad Elbą? A niech przyjdzie wasz margraf i spróbuje, czy zębów nie połamie na kamiennym gródku.

Kurtz otworzył usta szeroko.

— Na Boga!—wyrzekł wreszcie—przecie ja nie sądziłem, że się tak urazicie za tego knezia-rozbójnika, który i was uwięził przecie...

— Nie urażam się za niego, ale nie mogłem słuchać spokojnie, gdyście gadali tak, jak gdyby losy ziemi naszej od

tego zależały, że margraf Herman utracił jednego grubego dworzanina! — zawołał Ładon, tracąc już cierpliwość.

— O! — zawołał Kurtz urażony — gruby dworzanin? A cóż to, czyż to ja jestem jakiś nicpoń, że się o mnie tak odzywacie? Jam przecie pierwszy podczaszy margrafa!

Gdy to mówił, drzwi się otwarły i wszedł Drahomir. Spojrzał dokoła siebie.

— Co to za człowiek? — spytał, wskazując na Kurtza.

— Dworzanin margrafa Hermana — objaśnił Ładon.

— A więc to Niemiec? — rzekł pogardliwie Drahomir.

— Tak — odparł Ładon. — Powiedział mi, że król nasz wyrusza na wojnę.

Drahomir popatrzył w milczeniu na Kurtza, który, przerażony jego wejściem, stracił zupełnie niedawną, butną minę i wcisnął się w najciemniejszy kąt świetlicy.

Drahomir machnął ręką wkońcu.

— Możemy mówić — rzekł, — ten niemy pies pewno nie rozumie ani słowa z mowy naszej.

— Nie mylisz się — odparł Ładon — on nic a nic nie rozumie.

Młody kneź, milcząc, usiadł na ławie pod ścianą; Ładon zaś pozostał przy oknie, patrząc w dolinę. Żaden z nich jakoś nie śpieszył się z rozmową, bo i jeden i drugi zajęty był swemi myślami.

Drahomir starał się usilnie osładzać niewolę przyjacielowi i wymógł nawet na ojcu, by mu dozwolono chodzić swobodnie po gródku, wziąwszy tylko słowo od Ładona, że nie będzie próbował ucieczki. Codziennie też przychodził do niego i rozmawiali obaj długo w zaufaniu przyjaźni; lecz tym razem rozmowa nie kleiła się jakoś.

Ładonowi wciąż nie wychodziła z głowy myśl o wojnie; dusza jego była tam, wraz z królem i wiernymi towarzyszami broni.

— Oni tam biją się — mówił do siebie, patrząc w dal, jakby widział przed sobą wszystkie wywoływane w myśli

obrazy;—król sam wiedzie nasze rycerstwo, by rozbijało niemieckie szyki; wojewoda Nawój pewno prowadzi lekką konnicę i pędzi na przód bez pamięci. Król go zawsze posyła, gdy trzeba gdzie nagle wpaść wrogom na karki, bo do tego on najlepszy. Ach, gdybyś ty wiedział — zwrócił się do Drahomira, — jak on umie zręcznie podejść, by później uderzyć jak piorun, znienacka! Ale czyż warto mówić o tem — dodał z westchnieniem,—gdy tam być nie mogę z nimi!

Drahomir uśmiechnął się lekko.

— Jeszcze będziesz w niejednej wyprawie wraz z królem — rzekł; — nie żałuj więc zbytnio czasu, tu spędzonego. Wierz mi, pragnąłbym całem sercem, by ci nie było zbyt nudno u nas.

— Ja wiem, żeś ty dobry — rzekł Ładon z wdzięcznością,—ale sam to pojmujesz, że ciężko siedzieć w niewoli, podczas gdy inni biją się i zwyciężają...

— Czy zwyciężają, to jeszcze niezbyt pewne — odrzekł Drahomir; — może im tam ciężko przychodzi, bo słyszałem, że połabskie ludy, na których pomoc król liczył, zdradziły go.

Mówiąc to, mimowoli uczuł się jakby zmieszanym, spotkawszy się ze wzrokiem Ładona, bo zdawało mu się, że każdy już czyta w jego oczach zamiary zdrady, jaką zamyślał ojciec.

— Skądże wiesz tak dobrze o wszystkiem? — spytał Ładon zdziwiony.

— Mamy takich, co nam donoszą — odparł Drahomir krótko.

Nastało znów milczenie, aż wreszcie młody kneź ozwał się posępnie:

— Powiadasz, że cięży ci niewola, a jednak, wiedz o tem, że są położenia stokroć gorsze od niej.

Ładon potrząsnął głową.

— Ty nie wiesz — rzekł Drahomir z jakąś goryczą w głosie,—że my, jako potomkowie dawnych książąt, powinniśmy mieć wszystko, albo nic; tak mię przynajmniej uczył

ojciec; nie wiem, czy dobrze, czy źle. Wiem tylko, że żyjemy jakoś inaczej jak reszta ludzi, tak, jak przed wiekami chyba żyli dziadowie... Gdym brał udział w owej wyprawie na Pomorców, oczy mi się otworzyły i przekonałem się o tem dowodnie. Poznałem, że można żyć inaczej, niż w gródku rozbójniczym; inaczej się odznaczać, niż napadami na kupców wędrownych; że na dwór królewski nie cisną się, jak mi mówił ojciec, sami nędzni słudzy, pochlebcy i zausznicy, ale najporządniejsi rycerze z czterech stron świata; poznałem to i odtąd nasze dawniejsze życie mi zbrzydło. Widzę jasno teraz, że wszystko tu dokoła jest starem, spróchniałem i dłużej utrzymać się nie może; że teraz nowy świat nastał, a my w nim jesteśmy jakby upiory. Ale nie mnie sądzić czynności mego ojca; w jego oczach my właśnie żyjemy szlachetnie i po książęcemu, jak dziadowie nasi żyli; inni zaś to tylko motłoch służalczy. Niech i tak będzie; z kneziem Mszczujem sprawa nie łatwa; on ma dłoń żelazną, pod którą się wszystko ugnie. Żyjmy więc po kneziowsku, jakośmy żyli... rozbijajmy po kneziowsku... aż wreszcie padniemy, ale także po kneziowsku!

I zaśmiał się z goryczą.

Ładon wstał, i zbliżywszy się doń w milczeniu, ze współczuciem uścisnął mu rękę.

XII.

Przy Ładonie i Kurtz nie ponosił zbyt ciężkiej niewoli; mógł nawet chodzić po gródku swobodnie, bo wiedziano, iż gruby podczaszy nie spuści się z tej strony skały.

Ludziom knezia służył on zawsze za cel pośmiewiska; gdy się ukazał, natychmiast ze wszech stron powstawały śmiechy i okrzyki. Kurtz z pogardą patrzył na to ze szczytu swej godności i nie raczył zwracać uwagi na drwiny nieokrzesa-

nych gburów słowiańskich. Trzymał się wciąż Ładona, widząc w nim jedyną obronę i nieraz go dobrze znudził i zniecierpliwił gadaniną. Aby uciec od niej, Ładon szedł do stajni zobaczyć i popieścić wiernego konia. Spoglądając na swego siwego, wzdychał do chwili, kiedy znów na nim puści się w świat szeroki. W stajni knezia zwykle znajdował się stary niewolnik, imieniem Łyszczak, używany do najniższych posług w gródku, za co mu nikt nie dał dobrego słowa. Wiecznie też był zgięty, pokorny, niekiedy tylko pozwalając sobie zamruczeć coś pod nosem, gdy zamiatał podwórze lub czyścił stajnie; to była jedyna jego pociecha, bo zresztą życie jego było ciężkiem, zrzucano nań bowiem wszystko, co kto miał najtrudniejszego do spełnienia, a w nagrodę za to żywił się prawie wespół z psami knezia. Pierwszy Ładon ozwał się doń po ludzku, czem go tak sobie ujął, że zawsze odtąd, gdy wszedł do stajni, zbliżał się doń, mówiąc po cichu:

— Widzicie, jaki wasz koń teraz? O, bo ja o nim pamiętam, zawsze mu najlepiej jeść daję. Ale tylko cicho, żeby tamci nie słyszeli — dodał, oglądając się poza siebie; — oni wszyscy na mnie... Bądźcie jednak spokojni, o koniu będę pamiętał, choćby mię zjeść mieli. Hej, hej! kiedyś to i ze mnie był jeździec niezgorszy, gdym z kneziem naszym na wyprawy chodził. Ale minęły już te czasy... teraz jam chyba zdolny stajnie tylko zamiatać.

I z głębokiem westchnieniem brał się znów do jakiejś roboty.

Raz Ładon z nudów wdał się z nim w dłuższą rozmowę. Łyszczak, rad, że może wspomnieć dawne czasy, począł opowiadać, jak to on nieraz walczył przy boku knezia i raz nawet mu życie ocalił w boju.

— I tak o tobie zapomnieli teraz? — spytał Ładon, patrząc na niego z litością.

— A cóż? przecież szkapa, gdy się postarzeje, idzie brony włóczyć, choćby była dawniej wierzchowcem bojo-

wym — rzekł Łyszczak z rezygnacyą; — taki już porządek na świecie... cóż robić? Tacy młodzi, jak wy, tego nie pojmują; ale ja stary dobrze wiem, że inaczej być nie może. Przecie jeśli należę do knezia, to powinienem bronić jego życia... czyż nie tak? A zachcieliście, żeby on tam jeszcze o mnie pamiętał, jakby miał mało na głowie... Czy mi tam długo jeszcze żyć — dodał, machnąwszy ręką.

— Nasz kneź—ozwał się po chwili zamyślenia, a w głosie jego czuć było bojaźń, zmieszaną z dziwną jakąś czcią i przywiązaniem — ho, ho! nasz kneź był zawsze takim, jak teraz; ani troszkę się nie zmienił. Bywało, gdy spojrzy na kogo okiem srogiem, to pod ziemiębyś się schował ze strachu. Najodważniejsi drżeli przed nim, bo też strasznie karał najmniejsze nieposłuszeństwo. Hej, co tu się nieraz działo w tym gródku! — dodał, głos zniżając i oglądając się poza siebie — ściany te niejedną rzecz straszną widziały. A w tych lochach, co są pod wieżą, co tam ludzi jęczało i pomarło... i nikt o nich nie słyszał później. Tak to, tak bywało u nas. O, gdy kneź się na kogo rozgniewał — mówił dalej Łyszczak półgłosem, — to już niema dla niego zmiłowania, ni ratunku, a żadnej urazy nie przepuścił, lecz mścił się strasznie. Pamiętam noc ową, kiedy to ze swą drużyną zbrojną kneź najechał gródek owego władyki Jaromira, do którego miał jakąś urazę; wszystkich co do jednego wyrznąć kazał... i sługi i panów...

— I nikt nie ocalał? — zawołał Ładon.

— Powiadają... gadka taka krąży między ludźmi... że jeden stary sługa uszedł, unosząc z sobą najmłodsze dziecko swego pana; ale co się z nimi stało, nikt nie wie; przepadli, jak kamień w wodę.

Wejście kogoś ze służby przerwało ową rozmowę. Łyszczak pobiegł śpiesznie do roboty, a Ładon odszedł do dworu, gdzie już na niego czekał Kurtz, znudzony jego długą nieobecnością.

Uwagę Ładona zwrócił także stary kneź Odylon, który, jak mara, wciąż snuł się po gródku; obcy wszystkiemu, co się dokoła niego działo, nie mówił ani słowa do nikogo; niekiedy tylko, gdy był sam, z ust jego wybiegały jakieś tajemnicze wyrazy, na pozór bez związku; lecz nikt na nie nie zważał, ani im się przysłuchiwał.

W gródku bowiem od niejakiego czasu był wielki ruch, oddziały zbrojne wjeżdżały i wyjeżdżały zeń codzień niemal. Kneź Mszczuj był bardzo czynnym, wszystkiego sam doglądał, zawsze z twarzą jednako surową i nieprzeniknioną.

Raz, gdy Ładon rozmawiał, jak zazwyczaj, z Drahomirem, a Kurtz również siedział tam gdzieś w kącie izby ukryty, we drzwiach stanął niespodzianie kneź Odylon. Obrzucił izbę wzrokiem i oko jego padło na Kurtza.

— Niemiec! — zawołał, a wzrok jego zabłysnął dzikim ogniem. — Niemiec, Niemiec! Czego on tu chce? czy znów nieszczęście ma przynieść?

— Drahomirze — zwrócił się do młodego knezia, — skąd tu się wziął ten ptak złowróżbny? Jak mogliście wpuścić w dom niemieckiego wilka? On nam znów nieszczęście przyniesie, ja to czuję; nieszczęście spadnie na ten dom!

Usiadł przy ognisku, oko jego utkwione było w płomień, usta poruszały się; widać było, iż zapomniał znów o tem, co go otaczało, i zagłębił się w wspomnieniach.

— Dzieci, dzieci!—ozwał się wreszcie do siebie półgłosem — i wartoż to je chować, trząść się nad niemi? Gdy urosną, gdy mają być pociechą twej starości, zabiją ci je. O, tak! ciesz się, ciesz twoim pierworodnym, niewiasto szalona! Będziesz ty go pieściła, tuliła jak gołąbka, wychowasz pięknego i silnego, aby był pociechą twoją, a wówczas Niemcy ci go wezmą lub zabiją!

Można było myśleć, że zwraca się do kogoś, stojącego przy nim; słowa jego stawały się coraz wyraźniejsze.

— Ha! nie, niema w ludzkiej mowie przekleństwa na tych, którzy mi synów zabrali! Geronie, krwawy ty wilku,

za moje dzieci, okrutnie pomordowane, postradałeś i ty jedynego syna! Powiedz, słodko ci było, gdyś na pobojowisku odszukał skrwawione zwłoki. gdyś rwał włosy i przeklinał? A moje serce, tylu bolami stargane, moje serce, które Nya przemieniła w kamień, drgnęło z rozkoszy, gdyś ty, wrogu mój, cierpiał to, co ja cierpiałem. Lecz nie tyle... tyś jednego tylko syna stracił, a ja w trzech moich zamordowanych trzy razy to samo przebolałem, trzy razy serce się moje rozdzierało!...

I wysilony, prawie nieprzytomny, padł na ławę, dysząc ciężko.

— Co jest kneziowi? — spytał Ładon po chwili Drahomira. — Kogo tak przeklinał i za co?

— To na niego często nachodzi — odparł Drahomir również cicho, — gdy sobie przypomni swoich synów, zdradziecko pomordowanych przez Gerona. Mówią jednak, że najbardziej go to trapić poczęło od czasu, gdy mu skradziono ukochanego wnuka po najstarszym synie. Nie pomnę tego, bo sam byłem małym chłopcem wówczas, ale stało się to tutaj, w gródku. Dziecko wybiegło w dolinę, nad potok, i zostało skradzione przez kupców niemieckich. Odtąd kneź Odyl stał się ponurym jak noc, a niekiedy nachodzi na niego ów obłęd, którego dzisiaj byłeś świadkiem.

Po wyjściu Drahomira, Kurtz zbliżył się do Ładona, drżąc ze strachu, bo postać starego knezia budziła w nim przerażenie. Wkrótce jednak starzec wstał i powlókł się powolnym krokiem z izby na podwórze, kędy zrobił się właśnie ruch, bo straż doniosła, iż ujrzano kilku jeźdźców w dolinie.

— Mój Boże, gdzie to ja się dostałem!—mówił Kurtz— wszyscy tutaj tacy straszni! Trzeba mi też było tego nieszczęścia, żeby zbłądzić w puszczy... tak się dostałem w ręce tych okropnych pogan...

— Krzywdy jednak wielkiej wam nie wyrządzili — rzekł Ładon.

— Już oni nie nadarmo mię tutaj uprowadzili — odrzekł Kurtz, trzęsąc głową.—Ujrzawszy w puszczy gromadę jeźdzców, zbliżyłem się do nich, sądząc, że to jakiś oddział królewski, a oni wzięli mię natychmiast pomiędzy siebie, i gdy ich zapytywałem, gdzie mię prowadzą, śmiali się tylko, jakby mnie wcale nie rozumieli.

Tymczasem Ładon dostrzegł przez okno, jak otwierano bramę i kilkunastu jeźdzców wjechało na dziedziniec gródka; poznał prawie wszystkich owych starców, których widział w czasie obchodu nocnego na górze Łysej. Między nimi był Masław.

Wszyscy otoczeni byli ludźmi zbrojnymi, a zbliżywszy się do wejścia, przed którem czekał na nich kneź Mszczuj z synem, goście zsiadali z koni, oddawali je pachołkom i, powitani przez knezia, udawali się do wielkiej izby wchodowej; kneź witał ich u progu, prosząc, by zasiedli za stołem. Drahomir również nadszedł, stosując się do woli ojca. On i Masław spojrzeli na siebie chmurnie i wyzywająco.

— Przybyliśmy, kneziu—ozwał się najpierwszy kapłan Borun,—by się naradzić z wami wspólnie, co mamy czynić nadal. Bolesław wyruszył już na wojnę, zajęty jest tam, nad Łabą; godzi się więc korzystać nam z chwili i coś przedsięwziąć.

— Nim rozpoczniemy narady, wprzód wypijemy czarę miodu — rzekł kneź; — miód rozgrzewa serce.

Masław siedział wpośród obradujących starców chmurny i zadumany. Otaczający dostrzegli w nim wielką zmianę od czasu, jak powrócił z pieczary Rokitki; w obliczu jego czytać się dawała jakaś potęga i pewność zwycięstwa, która nie mogła nie podziałać na innych. Wszyscy też mimowoli poddawali się jego wpływowi; stał się teraz rzeczywiście duszą i ramieniem całej sprawy.

W chwili, gdy kneź przestał mówić, we drzwiach ukazała się księżniczka Ziezilia, a za nią dwie służebne niosły dzbany z miodem.

Ziezilia nalewała każdemu z obecnych czarę miodu, mówiąc:

— Niech wam bogi dają zdrowie i wiek długi.

Lecz gdy oczy jej spotkały śmiały, pyszny wzrok Masława, drgnęła, jakby za zbliżeniem się ducha ciemności.

— Jakże sądzicie, kneziu —ozwał się jeden ze starców, gdy wyszła Ziezilia, — od czego mamy zacząć najpierwej? Powiedzcie, co myślicie?

— Iść na Kielce natychmiast i wypędzić Dobrogosta— rzekł krótko kneź,—a gród obsadzić swoimi ludźmi.

— I cóż tam będziemy robili? — zawołał Masław. — Zamkniemy się w grodzie i wezmą nas od razu, jak niedźwiedzia w ostępie. Nie, to się na nic nie zdało; lud do takiej wojny niezdolny; ja go znam dobrze. Jedyna wojna, możliwa dla nas: w zaroślach leśnych, w puszczy; dręczyć wciąż przeciwników, szkodzić im na każdym kroku, nie dać im tchnąć, ale samym tak się ukrywać, by nas nawet nie widzieli; oto, jak jedynie możemy wojować.

— To chłopska wojna — rzekł kneź chmurnie.

— A my kogo mamy pod ręką, jeśli nie chłopów? — zawołał Masław. — Przecie nie mamy, jak Bolesław, rycerstwa, które umie zdobywać grody i twierdze; ten motłoch pogardzony to cała nasza siła.

— Ale tym sposobem wojna może trwać lata całe, a nic nie stracimy, ani też zyskamy — odparł kneź. — Trzeba coś ważyć, by coś mieć.

— Ale gdybyśmy poszli za waszą radą, kneziu — rzekł Masław,—od razu wszystko byłoby stracone, bo zgniecionoby nas ze szczętem. Przedewszystkiem musimy pociągnąć za sobą wszystkich drwali z puszczy, łowców, węglarzy, cieśli, rybaków, kuśnierzy, cały ten lud leśny, który wciąż w puszczach przebywa i dotąd żałuje starej wiary. Wprawdzie mało się oni troszczą o wielkich bogów: Jesse i Zywie, ale nie mogą zapomnieć ściętych dębów i zasypanych źródeł świętych, bo te ich sercu najbliższe.

— A jeśli tego pożaru później nie będzie można ugasić?—ozwał się jeden ze starców bojaźliwie.

Masław uśmiechnął się szyderczo.

— Kto nic nie waży, ten nic nie ma... tak wyrzekł kneź Mszczuj — powiedział drwiąco. — Gdy się boicie, to lepiej nic nie rozpoczynać.

— Lud będzie się obawiał Bolesława — ozwał się ktoś z obecnych.

— A czy to Bolesław nie może zginąć na wojnie... jeśli nam tego będzie potrzeba? — rzekł Masław. — Czy to trudno rozpuścić pogłoskę o jego śmierci, jeśli ta śmierć sama nie domyśli się i nie pośpieszy dopomódz nam w zamiarach?

— A gdy Bolesław nagle powróci, to cały motłoch, chcąc uzyskać przebaczenie, zwróci się przeciw nam — wtrącił Drahomir.

— W tem też rzecz, żeby go tutaj nie puścić — odparł Masław. — Czy to trudno znaleźć sobie silnych sojuszników, gdy i tak potęga jego stworzyła mu już niejednego nieprzyjaciela? Dlaczego mamy być wciąż pod wspólnym rządem wraz z Polanami, kiedy ziemia krakowska wprzód była osobno?... Żyją jeszcze ludzie, którzy to pamiętają!

— Więc sądzicie, że lepiej być pod Niemcem lub Czechem, niż pod Bolesławem? — spytał Drahomir, wciąż z ironią. — Jabym sądził, że nam ta zmiana chyba na dobre wyjść nie może...

— Cicho bądź, Drahomirze, rozkazuję ci! — krzyknął kneź Mszczuj surowo. — Niech nie słyszę więcej podobnej mowy.

Drahomir umilkł, ale obaj z Masławem mierzyli się groźnym wzrokiem.

Gwarna narada trwała jeszcze czas jakiś; lecz tylko Masław i kneź Mszczuj gotowi byli śmiało wystąpić, inni tak bali się Bolesława, że nie mogli się zdobyć na żaden krok stanowczy. Czuć było, że nawet w razie, gdyby się plan powiódł, oni nie potrafią nigdy działać śmielej i rzeźwiej. Nie-

którzy z synów owych starców byli teraz wraz z królem na wojnie,—oni też, korzystając z ich nieobecności, ofiarowali swe gródki na schronienie dla pogan. Uradzono przedewszystkiem, że niepodobna dopuścić do zbudowania klasztoru i osadzenia tam księży, którzyby natychmiast pozyskali wpływ na ludność okoliczną. Gdy już wszyscy zaczęli się zbierać do odjazdu, kneź znów kazał podać miodu.

— Pijmy na Nyę! — zawołał Masław, podnosząc czarę. — Na zgubę wrogom naszym!

Wszyscy naśladowali za nim ów obyczaj starodawny, stosowany niegdyś u Słowian na stypie pogrzebowej, gdy przysięgano zemstę wrogom.

— Na zgubę wrogom naszym!—powtórzył kneź Mszczuj, wychylając czarę.

Tylko jeden Drahomir milczał posępnie.

Przed odjazdem, gdy już reszta gości zaczęła wsiadać na koń, Masław wziął na bok starego knezia i rzekł mu półgłosem, ale stanowczo:

— Kneziu, obu nam wyjdzie na dobre, gdy za jedno wciąż trzymać będziemy; wy mnie potrzebujecie, a ja was. Nie zawadziłoby więc zawrzeć ściślejsze związki, przeze mnie bowiem wszystko możecie zrobić, beze mnie nic. Gdy zaś będziemy razem, nikt nam nie da rady, nawet Bolesław. Ja bowiem mam straszną potęgę w ręku; wiecie, że lud tylko mnie jednego słucha...

— Do czegóż to zmierza? — spytał kneź zimno.

— Oto do tego, kneziu, byście mi oddali waszą dziewę, tę krasną dziewę, która miód nalewała. Wtedy ja wam poprzysięgnę wieczny sojusz...

— Ziezilia bogom poświęcona, nie może więc być oddana w małżeństwo, innej zaś dziewki nie mam — odparł kneź dumnie.

— Wymawiacie się — wybuchnął Masław, — dlatego, że wy kneź, a ja z chłopskiej krwi pochodzę! Znam was do-

brze, wy! dumne plemię, pogardzacie tymi, których macie za niższych od siebie!

— A choćby i tak? — odparł kneź wyniośle.

— Ale my mamy zęby — odparł Masław szyderczo. — Strzeżcie się, strzeżcie, powiadam wam! i ty, kneziu, i ten twój syn dumny, bo kiedyś możecie pożałować, żeście nie zrobili tego, czego od was żądałem.

— Gróźb się nie lękam i gardzę niemi, szczególniej, gdy z takich ust pochodzą — odrzekł kneź zimno. — Na groźby znajdą się groźby ,a dziewki, choćbym mógł, nie oddałbym chłopu!

— A ten chłop gardzi wami, wy, plemię pyszałków! i kiedyś przyjdzie może czas, że sami będziecie się ubiegali o związki z nim, ale wtedy on was podepce nogami, ot tak!

I uderzył nogą w ziemię. Poczem, wypadłszy na podwórze, wskoczył na koń i oddalił się szybko. Reszta gości była już w dolinie i nikt nie wiedział, co się przed chwilą odbyło między kneziem a Masławem.

Nazajutrz Ziezilia przędła w świetlicy, przy oknie, gdy wszedł Drahomir. Nie wyrzekłszy słowa do siostry, usiadł przy stole i wsparł głowę na ręku, pogrążony w ciężkie dumy. Lecz nagle Ziezilia wstała z miejsca i, stanąwszy przed bratem, ozwała się nieśmiało:

— Pozwolisz mi, bracie, rzec sobie słowo szczere? Wiem, jaką cześć winnam ja, dziewka, starszemu bratu; zawszem ci była posłuszna i podległa, jako przystoi siostrze. Ale na sercu mi leży sroga troska. Nie mieszam się do tego, co czynicie oba z ojcem, boć to nie moja rzecz; lecz powiedz mi: wszak prawda, że chcecie się wiązać z tym Masławem, który był tu wczora? O, nie czyńcie tego, błagam was na bogi wielkie! To człowiek zły, to człowiek przeklęty! on z Czarnobogiem w zmowie... serce mi to powiada. On nam przyniesie nieszczęście... nie słuchajcie jego namów!

— Ziezilio, co ci to? — zawołał Drahomir, wstając. — Co dziewka ma się mieszać do spraw męskich? Skąd ci to

przyszło do głowy? Trzymać będę z tym, kogo ojciec mi wskaże; wszak wiesz, że jego wolą wszystko tu stoi.

— A więc i jego proś, błagaj, niech z nim nie trzyma. Ja nie wiem nic, prócz tego, że on nam przyniesie zgubę!

— Nie mogę nic radzić, ani odradzać ojcu; znasz go, że on nikogo nie zwykł słuchać. Gdyby on wiedział o tem, że dziewki do jego spraw się mieszają!

— O, biada mi, biada! — jęknęła Ziezilia. — Nikt mię nie słucha, a ja przecież czuję, że wy na zgubę idziecie! O, zlituj się, bracie! — zawołała nagle, padając mu do nóg — zlituj się sam nad sobą i nade mną biedną. Jeden tyś mi pozostał na całym świecie białym, odkąd macierz nasza w mogile; jeden, coś mię bronił zawsze przed srogim gniewem ojca, coś mię opieką osłaniał. Bez ciebie cóż ja pocznę nieszczęśliwa? Oto nic nie mam, jako ten świat szeroki, niby ta kalina samotna, miotana wichrem na polu! Z woli ojca zostałam bogom poświęcona, nigdy mi drużki weselnej pieśni nie zanucą, nigdy nie przejdę w szczęśliwy dom małżonka, nieopłakana, samotna, z dziewiczym wiankiem na czole w grób się położę. W tobie jednym mam wszystko; jak ta kukułka, co po lesie zawodzi, tak ja płaczę teraz u nóg twoich i błagam zmiłowania. Nie darmo, ach, nie darmo nazwano mię Ziezilia; nie dla mnie słodka bogini Łado; od lat młodych tylko żałość mi znana!

Złote jej włosy okryły nogi Drahomira, wianek ruciany spadł z głowy, a łzy gorące oblewały stopy brata. Młody kneź uczuł, że jego bohaterskie serce mięknie od tych łez; podniósł siostrę z ziemi, usiłując ją pocieszyć i ukoić. Białe ramiona oplatały go, niby wiotkie gałęzie powoju, owijające dąb potężny; gdy burze dąb zwaliły, pozostanie mu przynajmniej sława, że był kiedyś najpiękniejszym i najdumniejszym w puszczy; może wysmukłe brzozy zapłaczą po nim chórem; lecz cóż się stanie z powojem?

XIII.

Przeminęła już piękna wiosna, nastało lato upalne; do Kielc przybyli wreszcie Benedyktyni, wysłani z Monte-Cassino, choć budowa klasztoru nie była jeszcze rozpoczętą; zaledwie z wielkimi trudami udało się naścinać dość drzewa i ociosać kamieni potrzebnych. Lecz pomimo wszelkich zasadzek w puszczy, Dobrogost dopiął swego; robotnicy pracowali już na górze Łysej, a huk topora rozlegał się po okolicy. Strzeżono się jednak dobrze; podczas roboty kilkunastu zbrojnych stało zawsze na czatach, by uniknąć nagłego napadu. Mimo to, zdarzyło się parę razy, że gdy który z drwalów nadto się oddalił od towarzyszy, znikał nagle, jakby go ziemia pochłonęła.

Przybył już i budowniczy z Niemiec, wraz z kilku pomocnikami, i kamień węgielny świętej budowy wkrótce miał być umieszczony.

Od króla nie było dotąd żadnej wieści; wojował kędyś za Elbą i nikt w kraju nie wiedział, co się z nim dzieje. Między ludem jednak, po siołach zapadłych wśród puszczy rozchodziły się pogłoski, że Bolesław poległ w boju; przychodziły one nie wiedzieć skąd, z powietrza, a lud im wierzył. Dziadów też coraz więcej włóczyło się po wioskach, a były między nimi postaci, których nikt pierwej nie widział; niepokój też powstał między niektórymi władykami, bo wśród ludu poddanego dostrzegać się dawał ruch jakiś dziwny, a nieraz i słowo jakieś i spojrzenie znaczące padało ukradkiem i dawało wiele do myślenia. Dobrogost nakazał wprawdzie, by każdego podejrzanego dziada natychmiast chwytano i prowadzono do Kielc; w paru wioskach tak nawet zrobiono; lecz któż mógł ustrzedz od tego okolicę, pokrytą nieprzebytymi borami i poprzerzynaną wąwozami, gdzie sposoby porozumienia się były tak trudne, że o wielu leżących wśród puszczy wioskach nie wiedziano wcale?

W jednem nawet miejscu zdarzył się napad na kościół, lecz mieszkańcy wsi obronili księdza, którego poganie chcieli zabić.

Wogóle jednak ruch ten nie przybrał dotąd rozmiarów, jakich się spodziewał Masław; śmiałości, zapału, wiary w powodzenie brakło; na każdym kroku widać było, że wszystko to jest sztucznie wywołane. Spokojna ludność rolnicza, kmiecie osiadli, stali do tych podburzań wprost nieprzyjaźnie; całe oparcie więc było na półdzikich mieszkańcach puszczy, zachowujących dawną wiarę; ale ci byli zdolni tylko do skrytych napaści wśród lasu. Prócz tego, poganie mieli kilka gródków, mogących im służyć w razie potrzeby za schronienie, a należących do owych starych władyków, którzy wraz z kapłanem Borunem czcili jeszcze starych bogów.

Nie szło więc tak, jak się z razu spodziewał Masław; nie śpieszono doń, jak do oswobodziciela dawnej wiary, nie garnięto się do jego boku.

Wszystkich krępowała obawa powrotu króla, strach przed jego gniewem; nikt więc nie chciał na przód się wysuwać. Nadaremnie Masław się wysilał, by tchnąć swój zapał w towarzyszy; nie mógł tego dokazać. Mimo to, ufność w siebie nie opuszczała go; w pieczarze Rokitki widział przyszłe swoje wielkie losy i pewnym był teraz powodzenia własnych zamiarów. Kilka razy, w rozmaitych okolicznościach, doświadczył pomocy chytrego tego karła; pomoc ta przychodziła zwykle w sposób tajemniczy, lecz domyślał się, z jakiego pochodziła źródła; wiedział także, że wszystkie owe dziady, chodzący po wioskach, podlegają władzy Rokitki i z jego rozkazu podburzają ludność.

* * *

Benedyktyni, przybywszy do Kielc, sami natychmiast zajęli się czynnie budową klasztoru; Dobrogost też posłał oddział zbrojnych, pod wodzą rycerza Sławka, by szli naprzód, oczyszczając drogę,—za nimi zaś wyruszył budowniczy

ze swymi pomocnikami oraz gromadą miejscowych robotników, przydanych mu do pomocy. Dwóch Benedyktynów udało się z nimi, by dodawać ducha ludziom, oraz pobłogosławić miejsce i kamień węgielny przyszłego kościoła. Jeden z zakonników był już stary i zwano go o. Augustynem, młodego zaś towarzysza jego zwano bratem Angelo.

Był pogodny ranek letni, gdy ruszono w drogę, dzień zapowiadał się gorący, lecz teraz w powietrzu panowała świeżość rozkoszna. W puszczy, pod sklepieniami z zieleni, było nawet dość chłodno.

— Czy w tym kraju nigdy ciepło nie bywa? — szeptał o. Augustyn, który drżał od zimna w wilgotnej puszczy. Staruszek modlił się po cichu, bo te straszne bory, jakich nigdy w życiu nie widział, przejmowały go trwogą; jednakże poleciwszy się opiece Boskiej, jechał spokojny.

Brat Angelo przeciwnie, nie tylko nie doznawał żadnego niepokoju, lecz zdawał się nawet z przyjemnem uczuciem zapuszczać w głębie boru, rozglądał się dokoła, jakby otaczające przedmioty miały dlań szczególny jakiś urok, i mówił do ojca Augustyna:

— W snach nieraz widywałem podobne puszcze, z takimi samymi gąszczami, mchami i łomami suchych gałęzi.

Początek podróży odbywał się dość wesoło i raźno; nie była to jeszcze owa zawalna puszcza, która rozpoczynała się dopiero u samych stóp gór Łysych. Niektórzy z pachołków zaczęli śpiewać jakąś piosnkę wesołą, inni przygrywali na lipowej ligawce, a echo niosło głos ten po lesie.

Brat Angelo z przyjemnością przysłuchiwał się owym odgłosom, lub też zbliżywszy się do przewodnika, rozpoczynał z nim rozmowę,—bo, choć tak niedawno przybył z włoskiej ziemi, nauczył się miejscowej mowy z zadziwiającą łatwością. Wszyscy towarzysze podróży od razu uczuli pociąg do tego młodego księdza, wesołego jak dziecko i ujmującego każdego swą serdeczną dobrocią.

On zaś mówił niekiedy do ojca Augustyna:

— Jaki to lud dobry i poczciwy! Im więcej go poznaję, tem więcej go kocham; pragnąłbym z całej duszy być mu pomocą we wszystkich jego nędzach. Ciemny on jeszcze i dziki, jak te jego puszcze, ale naturę ma szczerą i niezepsutą. Niech będą dzięki Bogu Najwyższemu, że mi dał takie pole do służenia Mu i pracowania dla dobra bliźnich. Bo czemże ja, najnędzniejszy ze sług Jego, na to zasłużyłem? Dotąd nicem jeszcze nie dokonał, ani wycierpiał dla chwały Jego, szczęśliwym się czując, że mogę wielbić Go w pokoju; teraz dopiero zacznę pracować w winnicy Pańskiej. Jest tu bowiem jeszcze tak wiele, tak wiele do zrobienia!

Gdy to mówił, oczy jego błyszczały niezwykłym zapałem.

Pół dnia upłynęło bez żadnych wypadków, ale Sławko, jako doświadczony, radził mieć się na baczności, mawiając swoim ludziom:

— Dyabeł nie śpi; nie ufajcie tak bardzo tej ciszy i spokojowi; nie wiecie, co w sobie kryją.

Gdy mrok zapadł, zatrzymano się w głębokim wąwozie i tam rozłożono obozowisko. Po drodze ubito kilka sztuk zwierzyny i natychmiast rozpalono wielkie ognisko, aby ją upiec. Sławko kazał wozy ustawić w czworobok, konie puścić na małą łączkę nad wodą, dokoła zaś porozstawiał czaty mające się zmieniać z północy.

Noc była cicha i ciepła; przez wierzchołki drzew widać było połyskujące gwiazdy. Ponad głowami podróżnych kołysały się poważnie szczyty jodeł olbrzymich, a mały strumyczek szemrał wśród ciszy nocnej. Od czasu do czasu po wierzchołkach puszczy rozbrzmiewało coś, niby przeciągłe a głębokie westchnienie, jakby z piersi uśpionego człowieka. Czasem znów huk silny, powtórzony przez echo, przerywał ciszę: to olbrzymie, spróchniałe drzewo upadało gdzieś od starości. Miejscowi ludzie, przywykli do owych nocnych głosów, spali spokojnie, ale o. Augustyn zrywał się ze snu i, żegnając się, szeptał strwożony:

— Sancta Maria! To z pewnością szatan tak się z nas naśmiewa!

— Nie bójcie się, ojcze, to tylko puhacz — mówił któryś z robotników, zbudzony jego szeptem. Ale biedny zakonnik nie chciał temu wierzyć i wciąż szeptał modlitwy.

Tymczasem Sławko obchodził wszystkie czaty, aby przekonać się, czy nie śpią.

— To wy, Sławku? — zapytał go jakiś głos w ciemności, gdy przechodził koło rozłożystego drzewa.

— Tak, to ja; a czuwacie tam?

— Juści nie śpimy.

Sławko poszedł dalej, lecz zaledwie uszedł kilkanaście kroków, gdy dziki okrzyk rozległ się w gęstwinie, gromada ludzi wypadła z zarośli i rzuciła się na obozowisko. Śpiący porwali się na nogi. Sławko, na czele swych ludzi, z dobytym mieczem rzucił się na napastujących; w ciemności słychać było, jak się zwarły te dwie kupy, i jak topory i maczugi uderzały o miecze; konie popłoszone poczęły rżeć i rozbiegać się po lesie. Napastnicy, wydawszy swój pierwszy okrzyk, potem znów milczeli i cała ta walka nocna odbywała się wśród głuchej ciszy, przerywanej tylko szczękiem żelaza, zgrzytem zębów, cichem przekleństwem lub westchnieniem rannych i umierających.

Straszne były te zapasy, w których jedni drugich prawie nie widzieli i częstokroć swoi na swoich się rzucali, a wrogowie chwytali się w pół i mocowali w ciemnościach, wśród najgłębszego milczenia, aż dopóki jeden z nich nie zmógł przeciwnika.

Wreszcie ludzie Sławkowi poczuli, że napastnicy zaczynają słabnąć i cofać się ku zaroślom; wkrótce też opuścili zupełnie pole bitwy, unosząc swoich rannych, a zostawiając kilku trupów. Pozostali nie śmieli ich ścigać w ciemności, z obawy zasadzki; Sławko kazał pozapalać ognie i przy ich świetle obejrzano plac boju i pozbierano rannych, których opatrzono.

Reszta nocy przeszła spokojnie; ranek zaświtał, błękitnawą barwę nadając otaczającej zieleni; gwiazdy gasły jedna po drugiej, senny świegot ptactwa rozległ się wśród gałęzi, lekkie tchnienie wiatru zakołysało wierzchołkami jodeł—puszcza budziła się...

Gdyby nie ślady nocnej walki i rany u niektórych z żołnierzy, możnaby było myśleć, że to sen tylko, że ona wcale nie istniała—tak wszystko dokoła zmieniło się pod wpływem słońca i życia, które wraz z niem spływało.

Ojciec Augustyn rozkazał pochować ciała poległych, co natychmiast spełniono, a na mogiłach rozpalono ognie, żeby dziki zwierz ich nie rozgrzebał.

Tabor udał się w dalszą drogę, która była dziś uciążliwszą niż wczora, bo grunt podnosił się coraz bardziej w górę, coraz więcej wąwozów spotykano i z wozami szczególnie było bardzo ciężko. Ludzie też, utrudzeni nocną walką, nie tak już ochoczo szli, jak wczoraj.

Obaj zakonnicy, jak zawsze poprzedzający tabor, zanucili śpiew pobożny, który echo powtarzało i niosło gdzieś w dal.

„Ave Maria" rozległo się może po raz pierwszy pod sklepieniami dzikiej puszczy. Dziwili się ludzie i z zachwytem słuchali śpiewu pobożnego i uroczystego, śpiewanego zgodnymi głosy, i drzewa dziwiły się, usłyszawszy te nieznane im dźwięki, i szmerem swym wtórzyć im się zdawały...

XIV.

Przybyto wreszcie szczęśliwie na szczyt góry Łysej; robotnicy, pracujący już tam nad ścinaniem i obrabianiem drzewa, powitali z radością nowoprzybyłych, opowiadając o ciągłych napaściach pogan. Stosy drzewa i kamieni stały już gotowe do budowy, lecz, nim przystąpiono do niej, o. Augu-

styn miał odprawić mszę w tem miejscu, by Pan Bóg pobłogosławił przyszłemu dziełu, poczem dopiero miano położyć kamień węgielny przyszłego kościoła.

Ustawiono ołtarz z prostego, porosłego mchem kamienia; wszyscy ludzie Sławka, oraz robotnicy, zgromadzili się dokoła; z drugiej strony stał majster Hans z Kolonii z kielnią w ręku, a za nim jego podwładni ustawili się szeregiem; O. Augustyn przygotował wszystko do świętej ofiary i msza się rozpoczęła.

Dzień był jasny, słoneczny; cała okolica, leżąca u stóp gór, było teraz widną jak na dłoni. Pasmo gór, aż do Łysicy, godnej siostry góry Łysej, wznoszącej się na drugim końcu łańcucha, widać było wyraźnie; górzysty brzeg Wisły, wraz ze wzgórzami Pieprzowemi, Sandomierz, okryty mgłą błękitną, bliżej Kielce, a tam daleko, daleko, jak gęste chmury sine i poszarpane, widniały Karpaty.

Gdy msza się rozpoczęła, powietrze było zupełnie spokojne, tak, że nawet płomień świec, gorejących na ołtarzu, wznosił się prosto w górę. Dokoła głęboka panowała cisza i tylko słychać było, jak ptaszki szczebiotały na drzewach poblizkich.

Lecz nagle wierzchołki puszczy zaczęły szumieć głucho, naprzód w oddali, potem coraz bliżej i bliżej; jedne drugim podawały szum ten, aż wreszcie cała puszcza ryknęła groźnie, ze swych najdalszych głębin, jakby sprzeciwiając się wprowadzeniu innej czci tutaj, gdzie stare bogi dotąd jeszcze panowały w całej swej groźnej dzikości, jakby sam Świst-Poświst po raz ostatni stanął do walki z Bogiem chrześcijan.

A wystąpił on do tej walki z całą potęgą. Od tchnienia jego gięły się wierzchołki drzew stuletnich; na niebiosa błękitne zarzucił czarny płaszcz z chmur gęstych i szedł, szedł silny, niepowstrzymany, tumany pyłu, liści, igieł sosnowych pędząc przed sobą, na znak, że zbliża się król burzy.

Ludzie, oślepieni i ogłuszeni tym nagłym buntem żywiołów, zakrywali oczy i chronili się pod skały; lecz wicher ten

jak przyszedł, tak poszedł; w kilka chwil wszystko uspokoiło się i ucichło, słońce wypłynęło znów na niebo; w dole tylko puszcza szumiała jeszcze głucho.

Msza ciągnęła się dalej, a dźwięk dzwonka i drżący głos ojca Augustyna panował nad szumem drzew, a gdy kapłan zawołał po trzykroć: Sanctus, Sanctus, Sanctus!—głowy pochyliły się w pokorze, a wierzchy drzew także się gięły, jak gdyby chcąc zaświadczyć, że odtąd bóg pogański przestał tu panować, a począł rządzić Pan stokroć potężniejszy, który nie tylko nad burzą, ale nad całem niebem i ziemią króluje niepodzielnie.

Od tego dnia budowa klasztoru rozpoczęła się na dobre, zaczęto stawiać podmurowanie na kościół, jak zwykle w kształcie krzyża, a majster Hans zapewniał, że będzie to kościół, jakiego nie było dotąd w państwie Bolesława. Wszyscy też z gorliwością i zapałem spełniali jego rozkazy, a brat Angelo dodawał zachęty.

Od czasu przybycia zakonników, spokój trwał ciągle; poganie nie dawali znaku życia i można było myśleć, że się zniechęcili do własnej sprawy. Tylko Sławko wciąż kręcił głową w milczeniu i po nocach nakazywał baczność strażom.

*
* *

Nad uroczyskiem, gdzie poganie się zgromadzali, noc zapadła, a nikt jeszcze dotąd nie przybył.

Ogromne, czarne kamienie tylko wznosiły się nieruchomie, wśród nich stała postać samotna. Był to kapłan Borun.

Jego lniana szata bielała w nocnych cieniach; oczy podniósł ku gwiazdom, błyszczącym na niebie, a wiatr nocny rozwiał siwą jego brodę.

Sam jeden w tem miejscu dzikiem oczekiwał na mających się dziś zgromadzić czcicieli starych bogów, sam jeden, pogrążony w ponurych dumach, stał, podobien posągowi z kamienia. W ostatnich czasach twarz jego jeszcze bardziej się postarzała, postać ugięła się ku ziemi, usta przy-

brały wyraz bolesny, jakby niczego już nie spodziewał się na tym świecie.

— „Wy odchodzicie, wielcy bogowie!—mówił, spoglądając w niebo — odchodzicie zagniewani, że lud, któremuście tyle łask wyświadczyli, któremu dawaliście zawsze zwycięstwo nad wrogiem, obfitość płodów ziemskich, opiekę potężną, że lud ten niewdzięczny odwrócił się od was.

„Odchodzi Jesse, wszechstworzyciel, którego dziełem są niebo i ziemia, którego istota przenika wszystko.

„Jesse, to znaczy: ten, co jest, to wielka istność, która daje początek wszystkiemu, co żyje.

„Odchodzi Żywie, potężny żywiciel, co tchem swoim utrzymuje wszystko, co żyje; bo sam Żywie czyż to nie znaczy żywot? Gdyby nie Żywie, nicby nie rozmnażało się na świecie, nie rosło, nie kwitło; a woda żywiąca to ulubiony żywioł jego.

„A Nya, ponura, groźna Nya, bogini śmierci i zniszczenia, która kocha się w ogniu i lubi krwawe ofiary, potężna i wielka; wyrokom jej nic i nikt się nie oprze, zarówno książę, jak i niewolnik. Ale wpływ jej jest zarazem dobroczynnym: bo czyż ogień nie oczyszcza, nie ogrzewa i czyż świat nie potrzebuje odnowienia od czasu do czasu?

„I to wszystko teraz znika, wszystko, co od wieków czcili nasi ojcowie! Więc porzucacie nas, bogi wielkie!...”

Mówiąc to, starzec pochylił się, jakby się wsłuchiwał;— w owej ciszy słychać było senny szum puszczy; ale jemu się zdawało, że to rozlega się daleka pieśń jakaś poważna, że to bogi przemawiają do niego swym głosem. I znów począł mówić po chwilowej przerwie:

— Lecz, nim odejdziecie, spełnijcie mą prośbę: błagam was teraz o śmierć, nie o życie, o śmierć, godną kapłana Świst-Pośwista.

Niedługo poczęli się zjeżdżać mężowie, uczestniczący zazwyczaj w nocnych obradach; po jednemu, po dwóch, przybywali białowłosi starcy, i milcząc, zasiadali na kamieniach,

w kole obradnem — jak gdyby owe duchy ojców, o których wspominał kapłan Borun, powstały z mogił i przybywały stanąć w obronie starej wiary.

Brakło tylko knezia Mszczuja i jego brata.

Masław zjawił się prawie na końcu, chmurny i niezadowolony, bo nic nie szło tak, jak sobie ułożył; przeciw tej sile, która mu pomagała, czuł działanie jakiejś innej siły, stopniowo biorącej górę; — to go robiło wściekłym, bo musiał uznać, że jest coś silniejszego nad wolę pojedynczego człowieka, choćby wola ta była żelazną.

Stary kapłan zbliżył się do niego natychmiast.

— Mój synu — rzekł.—poprzysiągłeś, że nie zezwolisz, by czarni księża zbudowali kościół na górze; a jednak w czasie twej nieobecności zaczęto go stawiać i budowa jego posuwa się z dniem każdym.

Masław nic nie odpowiedział. Zbliżywszy się do środka koła, stanął i począł mówić; mowa jego była krótka i ucinkowa.

— Czarni księża zaczęli stawiać kościół na górze, pomimo, że chcieliśmy im w tem przeszkodzić; nie możemy pozwolić na to. Rozłożyli się na górze; otoczymy ich tam, jako zwierza w legowisku; zabijemy księży i zburzymy to, co zrobili!

— Lecz oni mają zbrojnych—ozwał się jeden ze starców.

— Cóż stąd? — odparł Masław—cóż oni pomogą, gdy obstąpimy ich zewsząd i głodem zmusimy do poddania się? Pomocy przecie znikąd spodziewać się nie mogą. Zgromadzić trzeba wszystkie siły nasze tutaj, a wówczas postawimy im stopę na głowie.

I dodał z dzikim uśmiechem:

— Nie pierwszy to już raz krew księży popłynie w tem miejscu; wszak siedmiu ich zabito tutaj za Mieszka...

Nazajutrz przypadło święto Kupały. Jeszcze w dzień Sławko zauważył gromady ludu, ściągające zewsząd i rozkładające się u stóp góry. Był tem bardzo zaniepokojony i przy-

glądał się im z uwagą,—lecz, o ile mógł dostrzedz, nie zdawali się mieć złych zamiarów.

Nie uspokoiło go to jednak; wiedział, że w noc kupalną pogan mógł opanować nagle szał i mogą się rzucić na nich, — a wówczas kto im się oprze, gdy będą w tak wielkiej liczbie?

Zaledwie zmrok zapadł, w puszczy zapłonęło tysiące ognisk, błyszczących krwawo w ciemności, i z góry las wyglądał tak, jakby na niego wszystkie gwiazdy nieboskłonu pospadały. Słychać było śpiewy; dokoła ognia poruszały się czarne zarysy postaci pląsających, a niekiedy dzikie okrzyki rozlegały się w puszczy i mimowolną trwogą przejmowały tych, co czuwali na górze. Cała noc tak przeszła; lecz gdy blady świt zajaśniał nad wierzchołkami drzew i rozproszył cienie nocne, chrześcijanie ujrzeli się ze wszech stron otoczeni przez gromady ludzi, dziko wyglądających, odzianych w skóry, uzbrojonych w maczugi nabijane krzemieniem, w kamienne topory i łuki. Pozajmowali oni wszystkie wąwozy, wszystkie załomy skał, inni rozłożyli się na skłonach góry i widać było, że nie myślą wcale stamtąd tak prędko ustąpić.

Sławko, gdy to ujrzał, pokiwał głową.

— Hm, przewidywałem, że te przeklęte łotry coś zamyślają — mruknął. — Pięknie teraz wyglądamy, niby niedźwiedź w ostępie; i niema sposobu dać znać Dobrogostowi, w jakiem jesteśmy położeniu; oni nikogo teraz nie przepuszczą.

XV.

Masław powziął postanowienie udania się jeszcze raz do pieczary na górze Hełmowej, mniemał bowiem, że siła ciemności zbyt opieszale mu pomaga, kiedy daje się tak łatwo zwalczać innej sile, tej sile światła, której potęgi uznać nie chciał i nie wierzył w nią, bo zbyt łagodnie działała.

Oburzony był na Rokitkę, uważał się za oszukanego; obiecano mu pomoc—i gdzież ona teraz? Wszystko usuwa mu się z rąk, czarni księża tryumfują. Zamiarem jego nieodwołalnym było teraz: wejść w układy nie ze sługą już, lecz z samym panem, a jeśli trzeba będzie, to i siłą wymódz ukazanie się potężnego ducha ciemności.

Nie krył przed sobą trudności i przeszkód tego przedsięwzięcia, wspomniał groźby Rokitki, lecz to go nie wstrzymywało—gotów był na wszystko, byle tylko otrzymać wymarzoną potęgę.

Wziąwszy więc z sobą pachołka, sławnego z siły i olbrzymiego wzrostu, zwanego Wyrwidąb, wybrał się w drogę od samego rana. Dzień był nadzwyczaj upalny; nawet w puszczy, pod cieniem drzew, gorąco zapierało oddech. Od dawna już deszczu nie było, na otwartych miejscach rośliny zaczynały już więdnąć z braku wilgoci, a dziś szczególniej upał czuć się dawał i ciężar jakiś przytłaczał wszystko ku ziemi.

Wirwidąb co chwila ocierał spocone czoło i przeklinał gorąco. Był to wspaniały olbrzym: ramiona silne, barki szerokie, na których osadzona głowa, o grubym karku, nie wzniosła się nad spokojny wyraz zwierzęcej siły. Obrośnięty był jak żubr, a z pod tego zarostu i włosów kudłatych, spadających na nizkie czoło, widać było oczy małe i spokojne, ożywiające się chyba w walce. Szczęściem, pomimo swej nadludzkiej siły, był łagodnym, powolnym i rzadko się gniewał. Zwano go także Obrem, bo istniało podanie, iż ród Wyrwidębów pochodził od tego zaginionego plemienia, o którem mówiono, że z samych składało się olbrzymów; Masławowi był ślepo posłusznym; zdawało się, że niema w nim własnej woli, lecz rządzi nim rozum i wola jego pana.

Upał coraz więcej się wzmagał; żaden powiew wiatru nie poruszał drzew, w głębi puszczy duszno było jak w piecu. Ptactwo skryło się gdzieś w gęstwinę, konie robiły silnie bokami.

— To ci pali!—mówił Wyrwidąb, który wciąż oblewał się potem — pójdę poszukać źródła, bo już człek nie wytrwa dłużej w tej spiekocie...

— A gdzież je tu znajdziesz? — spytał Masław. — Wszystkie źródła powysychały...

— Ot, poczekajcie ino — odrzekł Wyrwidąb, a położywszy się, przytknął ucho do ziemi. — Jest! — zawołał — jest źródło tu blizko, w gęstwinie.

Pokrzepiwszy się, Masław i Wyrwidąb ruszyli dalej. Po niejakim czasie olbrzym podniósł głowę i począł nasłuchiwać z uwagą.

— Idzie Borun!—rzekł głosem stanowczym.

— Co ci przyszło do głowy! — odparł Masław — niebo prawie czyste...

— Słuchajcie!—rzekł Wirwidąb za całą odpowiedź.

Masław nastawił ucha. W górze słychać było jakiś dziwny szmer: ni to szum liści, ni to szelest igieł jodłowych. Podniósł głowę: ponad nimi wznosiły się miliony pszczół, os i trzmieli.

— To roje tak śpieszą do dziupli przed burzą — rzekł Wyrwidąb. — Oj, wiedzą one dobrze, na co się zanosi.

W tej chwili lekko zagrzmiało.

— Trzeba szukać schronienia—ciągnął dalej olbrzym— bo źle będzie w puszczy, gdy potoki przybiorą. Znam ja tu jedną chałupę na Zielonej polanie; nieraz tam nocowałem, gdym się przypóźnił w borze; tam się schronimy...

I zawrócił w boczną ścieżynę, za nim Masław.

Po niebie tymczasem posuwała się szybko mała chmurka szara, centkowana biało, z posępnymi brzegami. Cisza jeszcze większa zalegała las cały, żaden listek nie drgnął.

Nagle Wyrwidąb wskazał ręką na zachód.

— Słyszycie?—szepnął.—On już idzie!

— Kto?—spytał Masław.

— Świst-Poświst!—rzekł olbrzym, a w głosie jego dźwięczała trwoga. — Prędzej zacinajcie konia!

W istocie, jakiś szum, podobny do huku fal wzburzonych, dochodził gdzieś zdala. Masław rozumiał, że to huragan się zbliża, zacinał więc konia, który pędził, co mógł wyskoczyć; Wyrwidąb zrobił to samo.

Gdy wyjechali na skaliste, odkryte nieco wzgórze, obejrzał się i spostrzegł, że dalekie drzewa, na krańcach puszczy, pochylają się, jak kłosy, ku ziemi; tutaj jednak nie było jeszcze czuć najmniejszego powiewu i liście osiny nawet stały nieruchome. Szum jednak coraz się przybliżał; ot, jest już za tym ostatnim rzędem drzew, już dochodzi tutaj, listki najbliższych lip zaczynają szeleścić — i nagle tuman suchych liści, igieł sosnowych, pyłu i nasion leśnych uderzył na jeźdźców i o mało nie zrzucił ich ze wzgórza. Konie strwożone skoczyły w bok. Przez ten czas biały słupek rozwinął się we wstęgę wspaniałą, która olbrzymim łukiem przecięła fioletowe niebiosa. Wszystkie wichry zerwały się naraz z uwięzi; puszcza nie szumiała już, lecz ryczała; stuletnie drzewa gięły się niemal do ziemi, tumany kurzu oślepiały. Jeźdźcy pędzili jak wiatr, brzuchy końskie dotykały ziemi—lecz burza także pędziła. Byli już na Zielonej polanie; na drugim jej końcu wznosiła się uboga chata, zbita z prostych bierwion, pokryta dachem słomianym. Nędzne to było schronienie na taką burzę, lecz lepsze niż żadne.

Gdy stanęli na polanie, już biała wstęga zamieniła się w ogromny lej, którego koniec zaostrzony zdawał się ziemi dotykać. Szedł on groźny, potężny, ponad lasy, wirując nadzwyczaj szybko na swej osi, lecz za każdym razem, gdy miał już dosięgać ziemi, wiatr chwytał go, zwijając jakby na kołowrocie. Rzekłbyś, że to olbrzym jakiś wyprawia sobie igraszkę, lub że bóg Świst-Poświst poszedł w zapasy z bogiem Lel-Polel. Z szerszego końca owego lejka co chwila wychodziły błyskawice, a gdy jeźdźcy byli już w połowie polany, nagle łoskot pierwszego piorunu rozległ się nad ich głowami, a blask jego oślepił ich prawie. Zapach siarki rozszedł się dokoła.

— Prędzej, prędzej, bo zginiemy! — wołał Wyrwidąb, lecz ryk burzy zagłuszył jego słowa.

Wreszcie dopadli chaty, a wprowadziwszy konie do szopki, zatrzasnęli drzwi za sobą w chwili właśnie, gdy pierwsze, ogromne krople deszczu spadły im na twarz.

Co się dalej działo, nie wiedzieli już—huk piorunów, łoskot upadających drzew, szum wody, wszystko zmieszało się razem. Lejek dotknął wreszcie ziemi, a za tem dotknięciem potoki wody puściły się z niebios; woda wprost urywała się z chmur i rzucała w dół wodospadem.

Z godzinę trwała ulewa i łoskot gromów rozlegał się nad puszczą, lecz wkońcu zaczęło się uspokajać, burza poszła dalej, tylko zdala dochodził szum wezbranych potoków.

Masław i Wyrwidąb otworzyli drzwi i stanęli w progu; cała polanka zamieniła się w jedno jezioro; dokoła leżały stosy drzew połamanych, potrzaskanych; gdzieniegdzie wznosiły się wały nagromadzonych gałęzi.

Olbrzymi pachołek zabrał się do wyczerpywania wody z chaty, podczas gdy pan jego stał w progu i patrzył posępnie na otaczające zniszczenie, które zdawało się budzić w nim jakieś nowe a tajemnicze myśli.

* * *

Gdy burza się zbliżała, kapłan Borun znajdował się w urządzonem w skałach schronieniu, które miał na górze Łysej. Na pierwszy odgłos gromów, jakby się ocknąwszy nagle z odrętwienia, wyszedł stamtąd, patrząc z wyżyny na idący huragan.

— O ty potężny!—zawołał kapłan, wyciągając ręce ponad szumiącymi u stóp jego lasami—ty władco burz i piorunów! zbliżasz się, więc dajesz poczuć swą moc niepokonaną! A może przychodzisz po mnie, twojego kapłana, by unieść mię w twe państwo nadziemskie? O, przyjdź, przyjdź! moja dusza pragnęła cię od dawna, ty dobroczynna, potężna

burzo! Przyjdź, weź mię w swe płomienne objęcia, niech w nich zginę!

W tej chwili grom zahuczał nad szczytami gór.

— Wołasz mię?—zawołał kapłan.—Idę już, idę!

Koń jego stał niedaleko, uwiązany do drzewa; poszedł ku niemu, odwiązał i, wsiadłszy nań, puścił się przed siebie, nie dbając o to, gdzie jedzie. Koń, przywykły do tej drogi i sądząc, że pan jego chce się udać do swej chaty leśnej, zniósł go sam z góry po stromej ścieżce.

Stary kapłan odetchnął wolniej, gdy się znalazł na dole; od dawna już ciężar wielki uciskał jego ducha; wszystkie nadzieje bowiem jego rozwiały się ostatecznie w tym czasie; pragnął już spocząć wreszcie — ach, jak pragnął! Tam, za sobą, pozostawiał świat, na którym nic już dla niego nie istniało, a tu Świst-Poświst wzywał go, otwierając przed nim wrota z ognia, za któremi znajdowała się kraina wiecznej ciszy...

Starzec jechał, otoczony wyjącą puszczą; łoskoty piorunów wstrząsały górami aż do posad, lecz on nie zważał na to i podążał coraz dalej i dalej. Koń co chwila się płoszył i rzucał, lecz szedł posłuszny.

Kapłanowi zdawało się, że ma skrzydła; burza ta upajała go i rozkosz mu sprawiała; chciałby się był rzucić w jej objęcia, utonąć w niej.

Dokoła coraz bardziej huragan się srożył; Lel-Polel i Świst-Poświst królowali wspólnie nad drżącą i pokonaną puszczą.

Wreszcie ciemności jeszcze głębsze zapadły, kiedy obaj sprzymierzeni bogowie ostatni szturm przypuścili do osłupiałej z trwogi puszczy; strumienie wody polały się z niebios i nic już widać nie było, bo żadne oko śmiertelne nie mogło znieść widoku, gdy bogowie stawiali stopę zwycięską na pokonanym przeciwniku.

Nikt też nie wiedział, co się stało z kapłanem Borunem; czy bóg jego uniósł go na skrzydłach, czy ogień niebieski go

pochłonął, czy wody pożarły? Trudno dociec; jedno tylko wiadomem było, to jest: że Świst-Poświst zgładził ze świata swego ostatniego kapłana...

XVI.

Gdy potoki opadły, Masław puścił się w dalszą drogę. Puszcza wprawdzie zawalona była stosami drzew połamanych lub powyrywanych z korzeniem, na każdym kroku spotykało się całe jeziora wody deszczowej, lecz letnie słońce suszyło ziemię na otwartych miejscach.

Niekiedy podróżni natrafiali na zwłoki zwierząt leśnych lub zabitych ptaków; nierzadko w wąwozie można było widzieć żubra lub łosia utopionego, którego porwała woda.

Masław jechał przed siebie, zamyślony, nie mówiąc nic do pachołka, który podążał za nim i w bezczynności otrząsał krople deszczowe ze zwisłych gałęzi.

Nagle o uszy jadących obił się jakiś płacz. Płacz ten, który przechodził chwilami w zawodzenie, dochodził z najbliższych zarośli.

Masław wstrzymał konia, mówiąc do Wyrwidęba:

— Popatrz, co się tam dzieje!

Zanim jednak Wyrwidąb ruszył z miejsca, z zarośli wyszła niemłoda kobieta w białej namiotce, a za nią dziesięcioletnia może dziewczynka. Niewiasta zawodziła i zdawała się upadać pod ciężarem boleści.

— Nie płaczcie, matulu—pocieszało dziewczątko, jak umiało;—może Bóg da, że ją odnajdziemy.

— Oj, nie najdziemy jej, nie najdziemy; serce mi mówi, że nie najdziemy!—jęczała stara.—Oj, złotko moje, kochanie moje! toć ja ją karmiła, poiła z rąk własnych!... Któż mi ją teraz powróci?

— Co wam to, matko?—spytał Masław, uderzony tą boleścią — może dziecko zgubiliście?

— Krowę, mój dobry panie, krowę, co nas wszystkich karmiła! — odrzekła stara, łzy ocierając płachtą. — A żebyście wiedzieli, jaka to była krowa!... Dwie ci je wpierw miałam, dwie, jak dwoje oczu w głowie; tamtą zabrali mi ludzie knezia Mszczuja, tę zabrała burza! O, niedolo moja! co my poczniemy biedni bez niej? z głodu chyba zamrzeć przyjdzie! A w chacie dzieci drobne, mój złoty panie!

I łzy na nowo się polały.

Masławowi myśl jakaś błysnęła szybko—wydobył dwie sztuki złota i dał je kobiecie.

— Macie za co kupić dwie takie krowy, jak tamta, i pamiętajcie—dodał z dumą,—że kiedy kneź Mszczuj lub inni mu podobni rabują lud ubogi, u Masława zawsze on znajdzie pomoc i opiekę!

I ruszył z miejsca.

— O, niech was Bóg błogosławi, władyko, kneziu wspaniały! — wołała uszczęśliwiona niewiasta, ręce podnosząc ku niebu—niech wam ześle wszystko dobre, szczęście, dostatki i życie długie!

— Wolałbym nad to potęgę!—mruknął Masław, odjeżdżając. — No, ale zdaje mi się, że Czarnobóg nie bardzo musi być dziś ze mnie zadowolony, dziś nie zupełnie jemu służyłem. — I dodał po chwili z uśmiechem: — Wprawdzie i to może posłużyć do moich planów, lecz w pierwszej chwili naprawdę poszedłem za głupiem uczuciem litości! Jak też to człowiek nigdy za siebie ręczyć nie może. A nawet Rokitka mówił, że moje serce nieprzystępne temu uczuciu.

— Stary lis, chciał mię oszukać—dodał po chwilowem milczeniu;—sądził, że tak łatwo oszukać Masława! Ale czekaj, ty karle przeklęty! znajdę ja inną drogę, by wymódz pomoc od twego pana! Już na wszystko się zważyłem: Śmierć albo potęga!

. . . .

Gdy Masław wjechał w dolinę Prądnika, noc już zapadła zupełnie; po bokach migotały gromady skał, których zarysy ledwie dawały się odgadywać w ciemności, odcinając się jeszcze czarniej na czarnem tle nieba. Minął już skałę Sokolą, która, niby maczuga jakiegoś potężnego bożka, wetknięta w ziemię, sterczała, grubsza u góry niż u spodu, i zdawało się, że lada chwila runie w dolinę; minął wreszcie gródek knezia Mszczuja, gdzie na szczycie połyskiwało światełko w ciemności, i podążał dalej.

Mijając, obrócił się raz jeszcze, popatrzył na gródek i pogroził mu:

— Ha! wy knezie, rozbójnicy!—mruknął—pożałujecie wy kiedyś, żeście chłopem wzgardzili! I ty, stary wilku, i ty, młody pyszałku, poczujecie oba dłoń moją! Chybabym nie żył, jeślibym nie zemścił się na was!

Białe mgły zaległy wązką dolinę; w ciemności słychać było, jak Prądnik, wezbrany niedawną burzą, huczał, rozbijając się po kamieniach. Im dalej się posuwał, tem dziwaczniejsze kształty przybierały skały; w nocy zdawały się one szeregiem olbrzymów i potworów, strzegących wejścia do przybytku groźnego ducha ciemności.

Jakkolwiek śmiałym był Masław, poczuł jednak na razie trwogę i wahanie się; lecz prędko przezwyciężył chwilową słabość.

— Śmierć lub potęga!—szepnął.

Tylko Wyrwidąb jechał spokojny, jakby nie domyślając się niczego; żadnej trwogi nie doświadczał, ani na widok miejsca odludnego i mającego tak złą sławę, ani na obecność nocy, roztaczającej dokoła wszystkie swe okropności.

Przed nimi sterczała wysoka góra, najeżona lasem świerkowym; była to góra Hełmowa. Masław zostawił konia pod drzewem, i nie namyślając się, wraz z Wyrwidębem poczęli wdzierać się na wyżynę.

Nie chciał wywoływać Rokitki; teraz sam wiedział drogę do pieczary i prosto do niej dążył.

Wkrótce odszukali wnijście—zagłębili się obaj w ciemny korytarz między dwiema skałami. Masław co chwila oczekiwał, że przed sobą lub za sobą usłyszy szyderczy śmiech karła; lecz cisza zalegała dokoła, tylko nietoperze tłukły się w ciemnościach, wydając dziwny pisk, podobny do zgrzytu dwóch kości, pocieranych o siebie.

Stanęli w progu pieczary. Wyrwidąb skrzesał ognia—w pieczarze ani żywej duszy nie było. W pośrodku tylko tlał jeszcze ogień z suchych gałęzi, świadczący, że tajemniczy władca tych miejsc niedawno je opuścił. W miarę, jak płomień dogasał, to znów buchał, po ścianach przesuwał się szereg ruchomych cieni. Z sufitu z cichym szelestem spadały krople wody. Masław i Wyrwidąb zsunęli się na dół i stanęli na dnie groty.

Masław obszedł ją całą, zaglądając w każdy kąt, czy nie ujrzy gdzie Rokitki; lecz pusto było dokoła. Wyrwidąb wyszukał gdzieś łuczywo i zapalił je, ale słabe owo światło gubiło się w ogromnej pieczarze. W jednym kącie spał ryś, lecz za zbliżeniem się nowoprzybyłych, porwał się z posłania, odskoczył, a oczy jego błysnęły w ciemności jak dwie świece. Wyrwidąb zamierzył się nań, Masław jednak go wstrzymał, nie chcąc gniewać Rokitki, w którego mocy znajdowali się w każdym razie, przebywając w jego siedzibie. Ryś też po chwili poszedł się położyć spokojnie na posłanie.

Masław znów począł krążyć po pieczarze; gdy oddalił się na drugi koniec, zdało mu się, że w jednym z bocznych załomów, które w kształcie korytarzy gubiły się gdzieś w głębi ziemi, spostrzegł jakąś postać białą. Cień ten, zaledwo ukazawszy się, zniknął tak, że nie mógł poznać, czy to ludzka istota lub widmo. Spojrzał na Wyrwidęba—ten siedział obojętny przy ogniu. Nietoperze wciąż krążyły koło ognia lub jak strzały przelatywały ponad nim, uderzając o przeciwną stronę z piskiem.

— Długo na siebie daje czekać! — mruknął zniecierpliwiony Masław.

— Kto wie, jakie tajemnice kryje ten potwór w swojem podziemnem schronieniu — rzekł po chwili do siebie, myśląc o postaci, widzianej przed chwilą. — Wprawdzie zaprzeczał temu, że składa krwawe ofiary swemu bogu, lecz czy można mu wierzyć? A może to widmo jakie, wywołane przezeń, by doświadczyć mojej odwagi? Lecz jeśli myślisz, przebiegły potworze, że mię nastraszysz, to się bardzo mylisz; spróbuj, wyślij na mnie wszystkie swoje szatany; obaczysz, czy się ich zlęknę!

Wypowiedział te słowa na głos, lecz w tejże chwili w odpowiedzi usłyszał za sobą ów dobrze mu znany śmiech szyderczy, podobny do zgrzytu żelaza. Obejrzał się z mimowolną trwogą, ale nikogo nie spostrzegł.

— Ukaż-że się raz przecie, przeklęty karle!—krzyknął.

Echa pieczary odpowiedziały mu tylko.

— Ukaż się, bo przetrząsnę twe legowisko i zabiję, jak sowę, jeśli znajdę!—zawołał w szalonym gniewie.

Śmiech szyderczy był całą odpowiedzią na te słowa.

Masław rzucił się w stronę, skąd śmiech dochodził, lecz napotkał tylko kamienną ścianę.

Nagle błysnęło światło w przeciwnym kącie i w jego blasku ujrzał skurczoną postać Rokitki, stojącą w progu jednego z bocznych korytarzy. W ręku trzymał zapalone łuczywo. Twarz jego była groźna. Stanął w pośrodku pieczary, obejrzał się i rzekł głosem, który w niczem nie przypominał jego dawnego sposobu mówienia:

— Kto ośmiela się nachodzić świątynię Czarnoboga i siedzibę jego sługi, bez ich woli?—zapytał groźnie, a oczy błyszczały mu jak u żbika w ciemności.

— Ja, Masław, ośmieliłem się na to! — odparł ten ostatni. — Przychodzę zapytać ciebie, który obiecałeś mi pomoc, czy takie twoje przymierze? Oszukałeś mię, podle oszukałeś! Zamiast powodzenia, wszystko mi się z rąk usuwa; rzucam się jak zwierz po klatce i nic zrobić nie mogę! Więc taka twoja pomoc? więc tak Czarnobóg wspiera tych, którzy z nim trzymają?... No, ale teraz nie będę z tobą gadał,

lecz z nim samym. Nie boję się twoich pogróżek! chcę mu popatrzeć w oczy! niech się przekona, czy lica śmiertelnika pobledną na widok jego oblicza...

Głos jego rozlegał się po pieczarze, budząc echa uśpione w jej głębiach.

Rokitka spokojnie wysłuchał wyrzutów, wreszcie rzekł powoli:

— Nie jam ciebie wzywał; sam tu przyszedłeś po raz pierwszy i pierwszy mię wezwałeś. Nie zobowiązałem się do niczego; odrzuciłem przymierze, które mi ofiarowałeś tak zuchwale, i rzekłem tylko wkońcu, że z własnej woli chcę ci pomagać; ale pamiętaj, obiecałem ci to we własnem mojem imieniu, lecz nie w imieniu Czarnoboga... A w zamian za moją łaskę przychodzisz zakłócać spokój tego przybytku twymi zuchwałymi krzykami. Zapytuję, jak wówczas, kiedy po raz pierwszy tu się ukazałeś: Czego chcesz?

Głos jego był spokojny i chłodny, choć gniew powstrzymywany błyszczał w małych, zielonych oczach.

Masław odparł dumnie:

— Cóż to mię obchodzi, czy w swojem, czy w cudzem imieniu obiecywałeś mi pomoc... dość, żeś mię oszukał. To, coś dotąd uczynił, nic nie znaczy; bez takiej pomocy ja się obejdę! Powtarzam ci: chcę widzieć Czarnoboga, chcę układać się z nim osobiście. Powinieneś umieć go wywoływać; nie zrobisz tego dobrowolnie, to cię siłą zmuszę. Przysięgam ci, że nie ustąpię, dopóki nie dokażę tego, co postanowiłem!

Przez cały ten czas Wyrwidąb stał milczący, rozstawiwszy nogi szeroko, gotów na każde skinienie swego pana. Na twarzy jego nie było widać żadnego zaniepokojenia; nawykły do ślepego posłuszeństwa Masławowi, widocznie z niczego sobie nie zdawał dokładnej sprawy, działając zawsze tylko jak narzędzie jego.

Oczy Rokitki coraz groźniej błyszczały w ciemności; podobny był do kota, gotującego się do skoku; lecz milczał, wzrokiem tylko mierząc przeciwnika.

Masław dobył miecza.

— Czy zrobisz to, czego chcę od ciebie? — krzyknął.— Czy odpowiesz mi nareszcie, poczwaro? Mów, bo cię tym mieczem porąbię w kawałki!

Karzeł milczał, lecz wzrok jego stawał się coraz straszniejszym; Masławowi zdawało się, że sypał iskry; na chwilę nawet byłby przysiągł, że usta jego zionęły ogniem. Mimo to, nieulękły stał, trzymając w ręku miecz dobyty, z okiem wlepionem śmiało w karła.

Nagle ten roześmiał się przeraźliwie, aż odpowiedziały mu głośne echa pieczary. Masław cofnął się, zdumiony tą niespodzianą wesołością.

— Cha, cha, cha, cha!—śmiał się Rokitka—zwyciężyłeś, zwyciężyłeś, mój mężny rycerzu! Czarnobóg lubi śmiałych, jak ty! Nie dałeś się przestraszyć niczem, dlatego też zrobię czego żądałeś; będziesz widział władcę ciemności, spojrzysz w jego oblicze, jeżeli tylko będziesz miał dość siły na to.

Pomimo tej gotowości na wszystko, Masław nie mógł się oprzeć mimowolnemu niepokojowi, bo śmiech Rokitki miał coś złośliwego w sobie. Lecz w naturze jego leżało, że nie cofał się przed niczem, co raz postanowił; nie okazywał więc strachu po sobie, ale czekał, co dalej będzie.

Rokitka dorzucił suchych gałęzi na ogień, który już dopalać się zaczynał, poczem spojrzał na Wyrwidęba.

— Ten człowiek tu pozostać nie może — rzekł;—tobie tylko jednemu obiecałem pokazać władcę ciemności.

A zwracając się do pachołka, rzekł rozkazująco:

— Wyjdź stąd!

Wyrwidąb nie ruszył się z miejsca.

— Wyjdź, jeśli ci życie miłe!—powtórzył Rokitka—nie będziesz tego żałował.

Masław skinął na pachołka; ten, posłuszny jego woli, opuścił pieczarę.

Rokitka, pozostawszy sam z Masławem, obrócił się do niego i rzekł uroczyście:

— Po raz ostatni zapytuję cię: czy chcesz koniecznie ujrzeć potężnego ducha ciemności? Powtarzam ci, iż żądanie to śmiercią grozi! namyśl się więc.

— Już się namyśliłem—rzekł Masław pewnym głosem.

— A więc zrobiłem swoje; teraz nie miej do mnie żalu, żem cię nie uprzedził — rzekł Rokitka szyderczo.

Poczem rozrzucił ogień i z głowni ułożył koło na ziemi, kazawszy Masławowi stanąć pośrodku; zgasił łuczywo, płonące dotąd; pieczara pogrążyła się w ciemności.

Masław widział tylko przed sobą błyszczące, zielone oczy karła, którego niekształtna postać przybierała coraz fantastyczniejszy pozór.

— Dobądź miecza!—zawołał Rokitka stłumionym głosem—i strzeż się wychodzić z tego koła, inaczej śmierć!

Ryś wywlókł się z kąta i przysiadł w pobliżu na tylnych łapach, jakby był także jakimś duchem, podwładnym Rokitce. W ciemnościach odznaczało się jeszcze bardziej ogniste koło, a przy blasku głowni połyskiwał miecz dobyty Masława. Rokitka począł krążyć powoli wokoło i, rzecz dziwna, ryś także mu towarzyszył, topiąc w Masławie swoje oczy szare, w których odbijał się jakiś szczególny wyraz.

Wreszcie Rokitka stanął, wymawiając uroczyste zaklęcia w następne słowa:

Z nocą czarną, kiedy sowa huka,
Z wichrem, który błądzi po rozstaju
I wśród mogił wirem się zakręca,
Z nocną gwiazdą, bladą i posępną,
Przybądź Czarnobogu!

Bies, Czarnobóg, Strybóg, straszne bóstwo!
Wzywam ciebie! w jakiej chcesz postaci
Objaw mi się tu, na me zaklęcia!
A gdy z wichrem przyjdziesz nocną dobą—
Wichrem bujnym tu ciebie pozdrawiam,
A gdy w ogniu ukażesz się błędnym—

W nocnym ogniu ja ciebie pozdrawiam;
Potrzykrotnie mój pokłon ci składam
I po trzykroć wzywam, czarny duchu!

Głos Rokitki podnosił się coraz silniej i potężniej; gdy skończył, nad pieczarą, w dolinie, dał się słyszeć szum gwałtownego wichru.

W tejże chwili Masław, wpatrzony w jeden kąt pieczary, ujrzał przed sobą jakieś oczy groźne, zwrócone na niego z potężnym, nieubłaganym wyrazem... Byłże to odblask ognia na ścianie, czy oczy rysia, albo naprawdę duch ciemności spojrzał na niego? — Nie umiał na to odpowiedzieć; czuł tylko, że pod tem spojrzeniem, zimnem jak ostrze stali, jakiś chłód zmroził nagle jego serce, jakby ostatecznie zamarło w niem wszystko, co ludzkie, jakby jakaś chłodna ręka przesunęła się po niem; a nie będąc zdolnym znieść dłużej napływu wrażeń, padł na ziemię.

Gdy przyszedł do siebie, ujrzał, że w pieczarze znów się ogień pali, a nad nim stoi Rokitka i śmieje się swoim zwykłym śmiechem.

— A co, mężny rycerzu? — pytał — czy straciłeś już chęć do wywoływania ducha? Mimo twej zuchwałej odwagi, tchnienie jego uniosło cię, jak słabą słomkę. Szczęśliwie jeszcze wyszedłeś z tej całej sprawy; gniew Czarnoboga bywa strasznym. Lecz ciebie nie dosięże, bądź spokojny; potrzebny nam jesteś, bo bez ciebie wiele złego nie byłoby spełnionem na świecie; nikt tak dobrze nie usłuży Czarnobogowi, jak ty; dlatego też osłaniamy cię opieką. Ale teraz grozi ci potężna siła, której my nawet zwalczyć nie możemy, gdyż ona moc nam odbiera. Strzeż się tej siły, ona zgubę przynieść może twym zamiarom!

— Mów jaśniej! — zawołał Masław — z której strony mam się spodziewać niebezpieczeństwa?

— Wyjdzie ono z rodu knezia Mszczuja; więcej ci nic powiedzieć nie mogę!

— Z rodu knezia! — powtórzył Masław — zawsze mi staje na drodze ten ród pyszny i zuchwały. Ale postaram się zabezpieczyć od nich nadal, by mi nie szkodzili; zobaczymy, kto z nas silniejszy, miłościwy kneziu!

XVII.

Ostatnie słowa jego zostały przerwane przez ukazanie się nowej postaci, która zjawiła się niespodzianie u wejścia. Z początku sądził, że to Wyrwidąb, lecz przekonał się niebawem o swej omyłce.

Nowoprzybyły był widocznie znacznego rodu — poznać to można było po jego dumnej postawie i świetnym ubiorze.

Przy świetle ogniska Masław dostrzegł nawet złoty łańcuch, błyskający mu na szyi. Znać, że nie po raz pierwszy znajduje się w tem miejscu, bo szedł śmiało i pewnie.

— Oddal się tam! — szepnął Rokitka, wskazując mu jeden z bocznych korytarzy.

Masław usłuchał, lecz wciąż zajęty był myślą: kto mógł być ów nieznajomy z tak pańską powierzchownością?

Z powodu ciemności przybysz nie spostrzegł, że z Rokitką znajdował się przed chwilą ktoś drugi; przybliżył się do ogniska tak, że Masław ze swego ukrycia mógł mu się przypatrzyć: Wzrostu był średniego, na głowie miał drogi kołpak soboli, a bogata klamra spinała mu płaszcz na jednem ramieniu. Obliczu jego Masław nie mógł się przypatrzyć, było bowiem w cieniu.

Zaczął coś mówić z Rokitką, lecz z oddalenia nie słychać było rozmowy; znać tylko było, że gość o coś pyta, a karzeł odpowiada ze zwykłem mu szyderstwem.

Długo trwała owa narada, prowadzona półgłosem, wreszcie Rokitka rzekł głośno:

— Czarnobóg nie może pomódz tym, którzy sobie sami nie pomagają. Czyż ty, książę, możesz czego wymagać od Czarnoboga, kiedy sam nie wiesz, nie śmiesz wyznać przed sobą, czego pragniesz? Ale ja ci powiem: zazdrość to, zazdrość ku najbliższym popycha ciebie; lecz nie masz dość śmiałości, by działać sam, a szukasz pomocy cudzej; nigdy też niczego nie dokonasz, będziesz całe życie opierał się na drugich. Ciesz się wszakże, królewiczu Bezbraimie: będziesz miał dość mocy, by zatruć życie twemu bratu i doprowadzić go do szaleństwa.

Masław słuchał owych słów Rokitki, dźwięczących ironią i szyderstwem; lecz gdy usłyszał imię Bezbraima, podskoczył, jakby powziąwszy myśl nagłą. Królewicz w tej chwili postąpił krok jeszcze ku ognisku i teraz Masław dojrzał oblicze pociągłe, na którem, mimo młodości, nie było młodego wyrazu; raczej odbijała się tam skrytość, a zarazem chwiejny charakter. Oczy czarne błyszczały jakoś niespokojnie i nigdy długo nie spoczęły na jednym przedmiocie; zdawało się, że wciąż się czegoś obawiają lub podejrzywają.

Był to jeden z tych ludzi, mogących się stać okrutnymi i niebezpiecznymi, gdyby tylko posiedli władzę, a to jedynie z powodu swej natury słabej i podejrzliwej, która najwięcej tworzy tyranów. Takie spostrzeżenia robił Masław ze swej kryjówki, a usta jego powtarzały nieustannie:

— Bezbraim, królewicz Bezbraim! To bogowie, nie, to Czarnobóg go tu sprowadził, by dopomógł mi w zamiarach! Że też mi to dawniej na myśl nie przyszło, choć słyszałem, że on teraz bawi w Krakowie!

Nie czekając dłużej, wyszedł ze swego ukrycia i stanął przed zdumionym królewiczem.

— Ktoś ty? — spytał Bezbraim wyniośle. — Jak śmiałeś tu wchodzić teraz?

— Jam jest ten, którego ty nie znasz — odparł nie zmieszany Masław, — ale ja ciebie znam, królewiczu Bezbraimie, znam cię lepiej, niż się tego spodziewasz! Nie patrz

na mnie tak dumnie, bo przychodzę jako przyjaciel, jako stronnik twój...

— Lecz ktoś ty, co śmiesz się zwać mym przyjacielem, nie nazwawszy swego imienia? — odparł królewicz, brwi ściągając.—Nie znam cię, nie widziałem nigdy.

— Powtarzam ci, książę—rzekł Masław z uśmiechem,— że ja ciebie znam, i dość ci na tem! Co ci z tego przyjdzie, że usłyszysz imię nic nieznaczącego człeka, który jeszcze dotąd miejsca sobie na świecie nie zdobył? Królewiczu, są tacy, co boleją na widok poniżenia, w jakiem się znajdujesz tak niesprawiedliwie, ty, starszy syn, prawy dziedzic korony, odtrącon od niej, nie wiedzieć za co, przez ojca rodzonego. Tak, są tacy, co cię żałują i pragną ci pomódz, bo pojmują, jak twe serce goryczą się napełnia na myśl, że wszystko, co ci się z prawa należy, zabiera inny, mniej tego godny. Lud zaś nie może patrzeć na takie przekroczenie obyczaju; boć zawsze, odkąd ziemia nasza, syn starszy zasiadał na stolicy ojcowskiej i krzywda podobna nigdy jeszcze nie była widziana. Wszak syn knezia każdego dziedziczy po starszeństwie mienie rodzica, a za cóż ciebie ma spotkać tak srogie pokrzywdzenie? Jako żywo, tego nie będzie; dość ci ręką skinąć, a tysiące staną w obronie twych przywilejów starszeństwa; bo wiedz o tem, że cały ten biedny lud sponiewierany, mający w puszczach osady, jest ci całem sercem oddany. Rzeknij więc słowo, a od Sandomierza aż do Krakowa wszyscy oni powstaną, by cię poprzeć.

Masław mówił z taką szczerością i zapałem w głosie, jakby oczywiście nic mu bardziej nie leżało na sercu, jak krzywda Bezbraima. Ten patrzył nań z razu zdziwiony, poczem coraz bardziej dawał się opanowywać słowami kusiciela; na chwilę w jego oczach błysnęła duma i chciwość panowania, lecz słabość wzięła górę, a może i ostatki sumienia w nim się ozwały. Potrząsnął głową i rękami, jakby coś odpychał od siebie.

— Nie, nie! — powtarzał — nie kuś mię! to być nie może; nigdy to się nie powiedzie...

— Dlaczego być nie może? — zawołał Masław. — Czemu się nie ma powieść? Śmiałemu wszystko się udaje! Nic nie potrzeba więcej, tylko, żebyś stanął na czele powstającego ludu i ogłosił się jego przywódcą.

Bezbraim zdawał się wahać.

— Nie — rzekł wkońcu, — ja stanąć otwarcie na czele waszem nie mogę; działajcie, a ja tylko będę was popierał skrycie. Nie mogę wystąpić, nie mogę się narażać teraz. Któż mię zapewni, że lud mię później nie odstąpi, gdy król powróci! Nie, nie, nie!—powtórzył, oglądając się dokoła niespokojnie— tak działać nie można, jak mówisz; to zbyt zuchwale i niebezpiecznie. Cóżby się stało, gdyby wszystko upadło? Nie, ja do tego ręki nie przyłożę!

Masław z pogardą popatrzył na mówiącego i opuścił pieczarę.

Przed samą grotą natknął się w ciemności na ogromną postać Wyrwidęba, który czekał na niego u wejścia.

— Jesteście przecie!—rzekł półgłosem, gdy poznał Masława. — Oj, oj! co się tu działo! Myślałem, że już świat się skończy... taka wichura straszna przeleciała nad doliną. To ten przeklęty karzeł tego narobił. Jeszcze dotąd się trzęsę, gdy o tem pomyślę. Ot, tak i patrzyłem, kiedy całą tę skałę zniesie, razem z pieczarą i ze wszystkiem. A koniska biedne to tam też pewnie ze strachu się trzęsą...

Niebawem po odejściu Masława i Bezbraim pieczarę opuścił. Rokitka pozostał sam i wybuchnął głośnym, przydłużonym śmiechem, aż wszystkie podziemia się śmiały.

— Jeden gwałtowny i okrutny, drugi słaby i podstępny, lecz obaj służą Czarnobogowi! O, tak, potężne bóstwo ciemności! dokąd ludzie żyć będą na ziemi, nigdy nie zbraknie ci czcicieli!

— Chodź, stary—zwrócił się do rysia,—ty przynajmniej nie udajesz lepszego, niż jesteś; jesteś drapieżnym, bo natura

cię takim uczyniła; lecz nie gryziesz ręki, która cię żywi. Chodź, wolę cię stokroć, niż tych ludzi!

Gdy to mówił, w bocznym korytarzu ukazała się biała postać jakaś i cicho podeszła do ogniska. Była to obłąkana, którą lud miał za wodnicę.

Stanęła w milczeniu, wpatrując się w ogień zamyślonemi oczyma, jakby nie widziała Rokitki. Ten nie zdawał się zadziwiony nagłem jej zjawieniem i pierwszy przerwał milczenie:

— Cóż, Ruto, z dalekich stron przychodzisz?

Wodnica rzuciła się na dźwięk tych słów.

— Ruta? kto mnie zowie Rutą? Dawno, dawno już nazywano mnie tak. Teraz ludzie mówią na mnie: wodnica... a ja nie gniewam się o to.

— Mówiłaś mi kiedyś, że masz się na kimś pomścić... Tak? — spytał Rokitka.

— Tak — rzekła wodnica, siadając na kamieniu przy ognisku i w zadumie wspierając się na kolanach. — Przypomniałeś mi... miałam się pomścić... ale na kim? Gdy śpię tam, na dnie jeziora, to o wszystkiem zapominam na długo. A wiesz ty, jakie tam są prześliczne rybki, srebrne i złote! często je łapię i pieszczę się z niemi. Niegdyś pieściłam tak samo gołębie, a one mi do rąk leciały; były takie ciepłe, bieluchne... ale to już bardzo dawno temu. Wówczas miałam siostry, matkę, braci, i ojca także. Przyszedł wilk jednej nocy i pożarł je, a ja zostałam sama. Wiesz, tak jak w bajce, którą dzieciom prawią. Ale przyjedzie kiedyś królewicz na białym koniu i zabije wilka i wodą żywiącą pokropi pomordowanych, a wówczas oni wstaną zdrowi, cali i piękni, i znów szczęśliwe czasy powrócą. Lecz trzeba wprzód zabić wilka...

— Tak, trzeba wprzód zabić wilka!—powtórzył Rokitka— i wytępić całe plemię wilcze! Jeśli sama tego nie zrobisz, to przynajmniej możesz do tego dopomódz. Czy słyszysz mię?

Przyjedzie kiedyś taki królewicz na białym koniu; lecz ty mu musisz dopomódz w zabiciu wilka, ty, wodnica!

Obłąkana bezmyślnie potakiwała skinieniem głowy.

— Tak, ja, wodnica—powtarzała, lecz myśli jej były już gdzieindziej.

— Teraz z nią niema co gadać—szepnął Rokitka,—lecz przyjdzie znów taka chwila, że można jej będzie przypomnieć zemstę. O, kneziu Mszczuju, kneziu-wilku! poznasz ty, że nie można bezkarnie psami szczuć Rokitki, poczujesz jeszcze jego rękę!

Oboje, karzeł i dziewczyna, siedzieli w zadumie naprzeciw siebie, przy ognisku; on ze wzrokiem błyszczącym, jak u drapieżnego kota, objął szyję rysia i widocznie w duchu ścigał swą zemstę; ona zaś, rozmarzona, wpółsenna, patrzyła w płomień, nucąc coś cichym głosem.

XVIII.

Już od kilku dni ludzie pracujący na górze Łysej byli oblężeni, a znikąd nie mogli się spodziewać pomocy. Wkrótce żywności zaczynało braknąć, bo zwierz obawiał się przybliżać do miejsca, gdzie obozowało tylu ludzi, i trudno było cośkolwiek upolować. Sławko łamał sobie głowę, jakim sposobem dać znać o swem położeniu Dobrogostowi; ale nic wymyślić nie mógł. Poganie otoczyli ich tak, że nikt, ptak nawet nie mógł, zda się, przelecieć.

Pewnego wieczora Sławko przywołał do siebie jednego z zaufańszych ludzi.

— Miłoszu — rzekł, — co myślisz? Czy nie byłoby sposobu przedostać się jednemu człeku przez chmury owego plugawstwa, by zajść do Kielc?

Miłosz obejrzał się dokoła i pokręcił głową.

— Jak tu się dostać — rzekł, — kiedy nas zewsząd dokoła obrzucono sieciami. Można spróbować jednak, wola wasza, ale wiem, że się to na nic nie zda.

— Jeśli się nie zda, to lepiej nie próbować — odparł Sławko.—Ja sam wiem, że zwyczajnymi sposobami nic się nie zrobi; ale poszukaj-no w głowie, może co wymyślisz. Tyś sprawny chłopak i nie w ciemię bity, wiem o tem dawno...

Miłosz przysłonił ręką oczy, patrząc w dal.

— Plugawstwo obstąpiło nas zewsząd—mruknął,—ptakiem chyba przelecieć.

— Nie tak to łatwo wymyślić co tutaj...

Obszedł dokoła cały wierzchołek góry, oglądając każde miejsce.

Sławko pozostał, spozierając tylko zdala na chodzącego w zadumaniu Miłosza.

Wreszcie ten powrócił z twarzą rozpromienioną.

— Mam już!—zawołał.—Jeśli chcesz, to podejmuję się przedostać do Kielc i sprowadzić tu pomoc.

— Jakim sposobem?

— Pójdę po wierzchołkach drzew.

— Po wierzchołkach drzew? — powtórzył Sławko zdziwiony. — Przecie nie jesteś wiewiórką...

— Wszak to nic trudnego! — rzekł Miłosz.—Kiedym wyrostkiem wybierał gniazda ptasie, nieraz przechodziłem tak pół lasu, a przecie u nas pod Krakowem lasy przerzedzone nieco i drzewa stoją dalej od siebie, niż tu w tej puszczy. Niech tylko noc nastanie, a przejdę tak ponad ich głowami, że ani się tego domyślą. Za cztery dni spodziewajcie się pomocy z Kielc od Dobrogosta.

— Zuch z ciebie! — rzekł Sławko, klepiąc go po ramieniu.—Ruszaj więc z Bogiem, skoro noc zapadnie, i przywiedź nam prędko pomoc, bo tu coś już bardzo kuso koło nas.

Kiedy ściemniło się zupełnie, Miłosz stanął na skraju i spojrzał w dół. O jakie kilka sążni pod jego stopami widniały ognie obozowisk pogańskich. Cała góra zdawała

się być przepasana ognistym pasem. Miłosz wybrał stronę porosłą gęstym lasem, na której z powodu jej spadzistości najrzadziej rozłożone były ognie. Wdarł się na drzewo, a stanąwszy na jednym z grubszych konarów, chwytał za gałąź następnego i przeskakiwał na nie. Gdy natrafił na miejsce, gdzie drzewa były rzadsze, wybierał młode i giętkie, a rozkołysawszy je silnie, w chwili, gdy wierzchołek dotykał następnego, zręcznym skokiem przerzucał się na nie.

Ale szło o to, by nie zwrócić na siebie uwagi; Miłosz starał się być w równej odległości od obu ognisk, pomiędzy któremi przechodził, drżąc, kiedy gałązka trzasła mu pod stopą.

Raz przybliżył się o tyle do jednego z ognisk, że słyszał głosy tych, którzy przy niem siedzieli. Widział też ich z góry: leżeli porozciągani na trawie.

— Słysz, Zbilut, jak to ptactwo czegoś wrzeszczy okrutnie.

— Pewnie żbik je popłoszył.

— Albo ryś skrada się na drzewie.

— Oj, oj, cości nad nami gałęzie trzeszczą... Zbilut, a gdzie twój łuk?

— Darmo tylko zmarnujesz strzałę, nic nie widać.

Miłosz tymczasem dech w sobie zaparł, by nie być dostrzeżonym; szczęściem, wiatr się zerwał, a trzask i szum gałęzi pozwolił mu swobodniej się poruszać.

Przeszedł już wreszcie podwójny szereg ogni, opasujących górę; gdy znalazł się niżej, cisza leśna otoczyła go i usiadł na gałęzi, by nieco spocząć.

Odpocząwszy, począł się dalej przekradać i wkrótce był już u stóp góry. Przed nim leżała puszcza, cicha, bezpieczna puszcza, mogąca go okryć swym opiekuńczym cieniem.

Postanowił jednak do rana nie spuszczać się na ziemię, z obawy dzikich zwierząt. Szedł więc dalej po szczytach drzew.

Nagle łomot jakiś dał się słyszeć wśród gałęzi i para oczu zielonawych zaświeciła w ciemnościach; był to żbik. Wyskoczył na niego ze swymi groźnymi pazurami; obaj przeciwnicy zwarli się z sobą, lecz wkrótce żbik spadł z drzewa, ugodzony przez Miłosza nożem w samo serce.

Tak szedł przez noc całą; skoro zaś na wschodzie zaczęło świtać, czując się strudzonym, usiadł między dwoma rozłożystymi konarami, i przywiązawszy się do drzewa, by nie spaść, zasnął, kołysany porannym szumem puszczy. Gorące, jaskrawe promienie słońca, padające mu wprost na głowę, zbudziły go; sądząc po drodze, jaką słońce już zrobiło, było dość późno. Zsunął się więc z drzewa śpiesznie, oglądając, w której stronie puszczy się znajduje. Za wskazówkę służyły mu pnie drzewne, zawsze od strony północnej porosłe mchem.

Po niejakim czasie napotkał ścieżkę udeptaną i puścił się nią.

Gdy słońce pochyliło się na drugą stronę nieba, ujrzało go na drodze do Kielc.

*
* *

Tymczasem na górze Łysej, pomimo oblężenia, nie porzucano roboty; dzięki zachętom brata Angelo, budowa wciąż posuwała się dalej. Ale żywności brakło coraz więcej; Sławko też codzień spoglądał w stronę Kielc, czy nie nadciąga spodziewana pomoc; nikt jednak nie przybywał.

Pogan tymczasem przybywało z różnych stron; ale kiedy nazbyt się zbliżyli, ludzie Sławkowi razili ich strzałami i to nauczyło ich trzymać się w przystojnej odległości.

Odtąd zadowolili się rozłożeniem obozowisk na stoku góry, czekając spokojnie, aż głód zmusi oblężonych do poddania się.

A głód coraz się zwiększał; resztki żywności, pozostałe jeszcze w zapasie, dzielono na tak szczupłe cząstki, że ledwie

mogły one utrzymywać ludzi przy życiu, i robotnicy zaczęli już upadać na siłach przy pracy.

Brat Angelo bardzo się smucił, pragnął bowiem, by kościół stanął jak najprędzej, widząc w tem jedyny środek wyplenienia pogaństwa; tymczasem budowa zaczęła iść leniwie, a ludzie upadali na duchu. Wszelkimi też sposobami starał się dodawać otuchy i wytrwałości, nieraz sam próbował nawet pomagać im w dźwiganiu ciężkich belek i kamieni.

Wszyscy dotąd mężnie głód wytrzymywali i nikomu ani do głowy nie przyszła myśl o poddaniu się; jeden tylko z robotników, piętnastoletni chłopak, pomagający ojcu w obrabianiu drzewa, opadł zupełnie z sił i nie mógł już chodzić prawie. Widząc to, brat Angelo oddawał mu odtąd codzień pokryjomu część żywności, przypadającą na niego, sam obchodząc się niczem. Trwało to pięć dni i niktby nawet nie zauważył tego, bo młody zakonnik wciąż z jednaką wesołością i pogodą dodawał otuchy innym, gdyby sam chłopak nie odkrył owego szlachetnego podstępu o. Augustynowi, który, przywoławszy do siebie brata Angelo, rzekł mu poważnie:

— Dowiedziałem się, bracie, przed chwilą, żeś użył podstępu, by nas wszystkich oszukać...

Brat Angelo zarumienił się i spuścił głowę.

— Wprawdzie było to w dobrym celu—ciągnął dalej o. Augustyn,—ale na przyszłość, bracie, jako starszy, zabraniam ci podobnych podstępów...

Brat Angelo otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale ojciec Augustyn przerwał mu, pytając z powagą:

— Bracie Angelo, jaka jest najpierwsza powinność zakonnika?

— Posłuszeństwo—szepnął brat Angelo, pochylając głowę.

— Pamiętaj więc, bracie, o owej powinności, a teraz niech cię Bóg ma zawsze w Swej świętej opiece — dokończył stary zakonnik dziwnie rozrzewnionym głosem.

— Zostań jeszcze, bracie, chcę z tobą pomówić—ozwał się o. Augustyn, gdy brat Angelo chciał odejść.—Oddalmy

się tylko nieco na ustronie. — A znalazłszy się na uboczu, rzekł półgłosem:

— Co myślisz, bracie, o naszem położeniu? Jeżeli Bóg miłosierny nie ześle nam pomocy z nieba, to zguba nasza niechybna.

— Ojcze, czyż to być może, by Bóg nie wspomógł naszego świętego dzieła?—zawołał brat Angelo.—Ja ufam stałe w Jego miłosierdzie.

— Ojcze—ozwał się po chwili, — pozwólcie mi zanieść jedną prośbę...

— Mów, bracie — rzekł o. Augustyn, który nagle, nie wiedzieć dlaczego, uczuł się zaniepokojonym.

— Oto chciałbym pójść tam, do tych ludzi — rzekł brat Angelo, wskazując w stronę obozowisk pogańskich.

— A jeżeli cię zamordują? — rzekł o. Augustyn z trwogą.

— To zginę za wiarę!—zawołał z zapałem młody zakonnik.

I dodał z uśmiechem, patrząc w oczy starcowi:

— Mieliżbyście mi zazdrościć, ojcze, tego zaszczytu?

— Nie, nie zazdroszczę ci—zawołał ojciec Augustyn z nagłem postanowieniem,—ale pójdę z tobą!

— Wy, ojcze? — zawołał brat Angelo.

— Tak, ja; nie opuszczę cię, jak nie opuściłem pierwej, gdyśmy tu się wybierali. Czyżbym ja, stary sługa boży, miał się obawiać śmierci? Pójdźmy!

I obaj zakonnicy spuścili się z góry ku obozowiskom pogańskim, niedostrzeżeni w cieniach zapadającego wieczoru.

Tej nocy znów starszyzna pogańska zgromadziła się na uroczysku, w kole obradnem; tylko Masława i knezia Mszczuja nie było; natomiast brat jego, kneź Odylon, znajdował się tym razem wśród zebrania. Obrady toczyły się bardzo leniwie, jak zwykle, gdy nie było Masława, który swą potężną wolą ożywiał wszystkich i zmuszał do działania.

Po niejakimś czasie jeden ze starszyzny ozwał się nagle:

— Widzę gromadę ludzi, zbliżającą się tutaj; pewno coś niezwykłego zajść musiało.

Niebawem rzeczywiście ukazało się kilkunastu ludzi, prowadzących między sobą, jako jeńców, dwóch księży, czarno ubranych.

Radosne i dzikie okrzyki rozległy się wśród zgromadzenia:

— A, pojmaliście ich, tych czarnych kruków? Dawajcie ich tu! Zajrzymy w oczy tym czarownikom przeklętym, a potem strącimy ich ze skały, niechaj idą do biesa!

Jeden z nowoprzybyłych, stanąwszy przed starszyzną, pokłonił się i rzekł:

— Aby rzec szczerą prawdę, nie pojmaliśmy ich, ino się sami oddali w nasze ręce. Ten młody powiedział, że chce mówić z naszymi ludźmi. Ano. wzięliśmy ich i przywiedli tutaj; niech gadają, kiedy tacy mądrzy.

Śmiech powstał wśród zgromadzonego ludu.

— Niech gadają, niech gadają!—wołano zewsząd.—Obaczymy, co zaśpiewają przed śmiercią. Ano, ty stary kruku, wyjdź pierwszy i powiedz nam co pięknego. Starszemu godzi się dać pierwszeństwo; pierwszy będziesz gadał i pierwszy pójdziesz pod nóż!

O. Augustyn nie rozumiał dobrze owych pogróżek, lecz z dzikich ruchów pogan domyślał się ich zamiarów. Milczał więc i modlił się po cichu.

Brat Angelo wystąpił na przód.

— Bracia mili — rzekł swobodnym i spokojnym głosem,—poco macie się plamić krwią naszą? My się śmierci nie boimy... poznaliście z tego, żeśmy się sami oddali w wasze ręce; ale sobie zrobicie tem więcej złego, niż nam. Naprzód popełnicie bezpotrzebną zbrodnię, a krew spada zawsze na głowę tego, kto ją przelał; potem zaś nie przeszkodzicie wcale budowie klasztoru, bo tam w Kielcach pozostało jeszcze dziesięciu takich, jak nas tu widzicie, którzy narażą się na śmierć z największą rozkoszą, aby tylko święte dzieło przywieść do

skutku. A jeżeli zginiemy wszyscy, to król dopełni tego, bo Bóg nie dopuści, by tak wielkie przedsięwzięcie upadło. Ci, którzy was namawiają do oporu i buntu, myślą tylko o sobie, nie dbając o to, że was wydadzą na pastwę gniewu króla, jeśli wam się nie powiedzie; a mogę was zapewnić, że się nie powiedzie. Żal mi was, biedni, ciemni ludzie, i dlatego przyszedłem, by wam powiedzieć słowa prawdy i pokoju.

Lecz starszyzna, bojąc się, by mowa młodego księdza nie zrobiła wrażenia na tłumach, zawołała jednogłośnie:

— Nie potrzebujemy takich mądrych nauczycieli! Nie rozczulaj się nad nami, lecz raczej nad sobą, bo ostatnia twoja godzina wkrótce nadejdzie.

— O, nie! — odrzekł brat Angelo — zawsze żałować was będę, nieszczęśliwi, bo Pan mój, Odkupiciel, czyż nie wyrzekł na Golgocie: „Córki jerozolimskie, nie płaczcie nade mną, lecz raczej nad sobą i synami waszymi!”

— Milcz! jeśli ci życie miłe!—wrzaśnięto dokoła. Nawet kneź Odylon, zwykle milczący, teraz mówił półgłosem:

— Czarni księża chcieliby i nas na niemiecką wiarę nakłonić. Nic z tego nie będzie!

Nagle wśród zgromadzenia ukazał się człowiek na koniu spienionym i zdyszanym. Zeskoczył szybko, a zbliżywszy się do starców, siedzących na kamieniach, każdemu szepnął coś z cicha. Ruch powstał wśród obecnych—i jak ptaszki małe, gdy jastrząb się ukaże, trwożnie świegocą i zbijają się w gromadę, tak w całem zgromadzeniu powstał szmer nagły, szeptali coś między sobą potrwożeni i niespokojni.

— Gdzie Masław, gdzie Masław?—ozwało się kilka głosów.—Sam nas w to wprowadził, a teraz się kryje!

— Masław w gródku knezia Mszczuja—ozwał się ktoś.

— Nie w Kielcach!

— Posłać po niego gońca! Niech radzi, co czynić!

— Co się stało, Mściwoju?—zapytał jeden z obecnych.

— Powiadają, że Bolesław powraca — odparł trwożnie zapytany.

— Bolesław powraca! — powtórzył tamten w najwyższem przerażeniu.—Już po nas!

— Jak sobie chcecie! — ozwał się drugi—ja od wszystkiego ręce umywam. Dość już nas Masław nazwodził obietnicami, które do niczego nie doprowadziły.

— Ja także wracam do domu!—dodał trzeci.—Niech Masław sobie sam radzi...

— Tchórze! — wołali inni, odważniejsi—cóż to, na jedną pogłoskę o powrocie króla rozbiegacie się, jak ptactwo pierzchliwe, kiedy sokół bije z góry!

— Ano, wszyscy znamy dobrze dziób i szpony tego sokoła!

— Gdzie Masław? gdzie Masław?—powtarzali tymczasem inni.

— Oto jestem! Czego chcecie ode mnie? — ozwał się głos Masława, który niespodzianie stanął w kole obradnem.

Zjawienie się jego było tak nagłe, wyraz twarzy tak nakazujący, że najbliżsi cofali się.

— Czego chcecie ode mnie?—spytał po raz drugi.

— Masławie, czy wiesz, że Bolesław powraca?—ozwał się jeden ze starszyzny.

— Więc cóż stąd? — wyrzekł z pozornym chłodem Masław. — Czyście go już widzieli tu blizko? Czy odnalazł już nasze schronienie? Czy nie stało nam broni przy boku? Wszak jeszcze puszcza, zarośla, bagna, wąwozy, wszystko nasze; w żelazo zakuci wojacy Bolesława nie pójdą nas tam szukać; a jeśli pójdą, to bies będzie chyba miał z nich pociechę, nie on! Kto więc zachował męstwo w sercu i nie stał się jeszcze drżącą niewiastą, zającem tchórzliwym, co własnego cienia się lęka, komu stara wiara miła, kto nie zapomniał zrąbanych drzew świętych, zasypanych źródeł, chramów zburzonych, ten pozostanie przy mnie; inni niech idą lizać stopy Bolesława, niech mu oddadzą głowy swoje, albo uchodzą w puszczę, zostawiając mu na pastwę domy własne, żony i dzieci; niech

idą, nie zatrzymuję ich; tchórzów nie potrzebuję; niech ich sobie bierze topór królewski!

Tłum milczał przez cały czas przemowy Masława; głucha cisza trwała, gdy skończył mówić; nikt nie śmiał, czy nie chciał się odezwać.

Minęły już te czasy, kiedy słowo Masława było wszechwładnem; nie oburzali się, ale milczeli, a Masław wiedział, że to najgorszy znak. Rozdrażniając namiętności tłumu, narażał się, że mógł sam być przez niego rozszarpanym, ale również mógł wywołać iskrę zapału i uniesienia; lecz ta głucha cisza, ten spokój lodowaty, zwiastowały zniechęcenie i upadek ducha. Nie było żadnej nadziei. Masław czuł to i, jak zwierz raniony, wzrokiem szukał dokoła siebie, na kogoby się rzucić.

Oko jego padło przypadkiem na brata Angelo.

Młody zakonnik stał wciąż przy ognisku, nieustraszony i spokojny. Krwawy, rozwścieczony wzrok Masława spotkał się nagle z jego łagodnem spojrzeniem—a spojrzenie to miało w sobie tyle cnoty, że nawet straszny Masław czuł się na chwilę zachwianym. Przeczuł w nim siłę odporną, tę siłę, z którą dotąd walczył daremnie.

Lecz po chwili jeszcze większa wściekłość zakipiała w jego sercu; wszystkie namiętności, obudzone przez czarnego ducha, podniosły głowy, aby walczyć z przeciwną im władzą, i strasznym się stał wtedy. Rzucił się z zaciśniętemi pięściami na przód; zdawało się, że w jednej chwili zabije młodego zakonnika.

Ten stał, nie ruszając się z miejsca; światło ogniska padało nań i oświecało całą jego postać i oblicze, od którego zdawał się bić blask jutrzenki. Wzrok knezia Odylona padł na niego w tej chwili i już się odeń nie odrywał, jakby przykuty. Na jego obliczu obok bolesnego wyrazu widniało łagodniejsze jakieś uczucie; potrząsnął wreszcie głową, jakby odpędzał oblegające go wspomnienia.

Masław tymczasem biegł na brata Angelo, wściekły, rozszalały.

— To on, to on! — wołał, z włosem najeżonym, a piana okryła mu usta i pot wystąpił na czoło. — To on mąci mi wszystko!.. a jednak nie mogę pokonać mocy jego, nie mogę... Czarowniku przeklęty, ktoś ty jest? Nie odpowiadasz. A więc giń!

— Zabij więc to, co możesz zabić! — rzekł brat Angelo spokojnie, skrzyżowawszy ręce na piersiach i podnosząc głowę, gdy tymczasem ojciec Augustyn, przerażony, powtarzał drżącym głosem, robiąc znak krzyża w powietrzu:

— Retro satana, retro satana!

Masław podniósł już miecz, jak do cięcia; nagle jakaś ręka wstrzymała jego ramię wzniesione.

— Stój! — wyrzekł mu nad uchem głos knezia Odylona.—Nie zabijesz go!

Masław obrócił się, gotów wywrzeć całą wściekłość na tym, który go wstrzymywał; lecz stary kneź spokojnie położył mu rękę na ramieniu, powtarzając:

— Nie zabijesz tego księdza.

— Któż mi zabroni?—zawołał gwałtownie Masław.

— Ja — odparł kneź poważnie i stanowczo.

Zdawało się, iż otrząsnął zupełnie z siebie swe dawniejsze usposobienie; mówił przytomnie, z powagą i godnością, przystojną jego wiekowi i wysokiemu rodowi. Nawet na Masława na chwilę podziałała ta powaga starca, ale na chwilę tylko.

Rzucił się w jego stronę ze wzniesionym mieczem, wściekły i straszny, wołając:

— Ach, wy knezie rozbójniki! czy wy mi wiecznie będziecie wydzierać z rąk zdobycz? wiecznie mi stawać będziecie na drodze? Ale ja was zmiotę z mej drogi! Jak postanowiłem, tak zrobię! czarni księża muszą zginąć, a ty mi nie zachodź w drogę, stary kneziu niedołężny, bo...

— A więc — rzekł kneź Odylon, stając i swą wysoką postacią zasłaniając brata Angelo — niechaj miecz twój wprzód zbroczy krwią moje siwe włosy, ale tych księży nie dam tknąć!

W tejże chwili dał się słyszeć tętent pomiędzy drzewami — to poczt knezia Mszczuja, towarzyszący jego bratu, przybywał na miejsce obrad, bo stojąc w poblizkim lasku, ujrzał, że coś się tu dzieje niezwykłego, i przychodził w sam czas na pomoc Odylonowi. Ten skinął ręką, orszak przybliżył się.

— Do gródka knezia Mszczuja!—rozkazał kneź Odylon.

W mgnienu oka podano mu konia, jak również obu zakonnikom, mały poczt oddalił się i znikł wkrótce w nocnych ciemnościach.

Masław pozostał z dobytym mieczem, w pośrodku koła obradnego; dzika wściekłość pałała w jego oku. Tymczasem lud rozchodził się powoli i uroczysko opustoszało zupełnie, tylko starcy pozostali, siedząc na swych kamieniach.

Masław, obejrzawszy się dokoła siebie, rzucił się nagle z przekleństwem na ustach, wskoczył na konia i oddalił się pędem.

Noc ciemna zapadła nad uroczyskiem, ogień wygasł, a przy bladem świetle miesięcznem widać było tylko postaci kilku starców siwobrodych, którzy do ostatniej chwili nie chcieli opuścić swego stanowiska, pragnąc zginąć jako ostatni obrońcy bogów, których już wszyscy młodsi odstąpili.

XIX.

Wieść o powrocie Bolesława rozchodziła się nie wiadomo jakiemi drogami, przenikała wszędzie, w najdalsze zakątki kraju. Buntownicy słyszeli ją w każdym głosie natury, każde tchnienie wiatru zdawało się nieść okrzyk: „On

powracal!" „Powraca!" szumiały jodły poważnie; „powraca!— powtarzały dęby w czasie letnich wieczorów — powraca, a z nim chmura wojowników, zbrojnych w miecze ze stali! Powraca zwycięski i straszny!" — A serca winowajców drżały, słuchając tego szeptu puszczy, i wielka trwoga padła na nich.

Tak gdy ryk lwa powtórzą echa pustyni, drży na odgłos ten człowiek, a zwierz wszelki kryje się w zarośla, choć lew jeszcze daleko.

Tłumy, oblegające Łysą górę, coraz topniały; w chwili, gdy dano znać przed wieczorem, że Dobrogost się zbliża z hufcem zbrojnym na pomoc oblężonym, ani jednego z pogan nie było, ostatki bowiem rozproszyły się po puszczy na samą wieść o jego pochodzie.

Dobrogost usłyszał z ust Sławka o postępku obu zakonników, lecz o losie ich dalszym niczego nie mógł się dowiedzieć. Oblężeni widzieli tylko z góry, jak orszak zbrojny uprowadził ich z sobą, i szczególniej żałowali brata Angelo, który potrafił obudzić dla siebie powszechne przywiązanie.

— Zła sprawa!—mruknął Dobrogost, szarpiąc brodę w zamyśleniu.—Król będzie gniewny, wiem o tem dobrze. Ale bies chyba poradziłby z tymi poganami.

Jego opóźnienie pochodziło stąd, że wczoraj napotkał w puszczy zbrojny poczt knezia Mszczuja, z którym musiał stoczyć ciężką walkę; walka ta zakończyła się porażką ludzi knezia, chociaż Dobrogost utracił też niemało swoich. Natychmiast po przybyciu, nakazał przetrząść całą górę, wszystkie załomy skał i zarośla. Gdy przybyli na uroczysko, zarzucone olbrzymimi głazami, natrafili na wielkie koło, ustawione z kamieni, na których siedziało nieruchomie kilku siwych starców.

Słońce zachodziło czerwono; od wschodu zrywał się wiatr burzliwy i pędził przed sobą gromadę chmur sinych, poszarpanych, o krwawych rąbkach; leciały one kędyś w dal, pozostawiając po drodze strzępki swej purpury. Wierzchołki skał okolicznych okryły płomienne odblaski, podczas gdy

krajobraz, rozciągający się u stóp góry, przyodział się w płaszcz z mgły błękitnej.

Starcy siedzieli w kole głazów, milczący i poważni; a choć nie byli królami, ani kneziami, bił od nich taki majestat, że ludzie Dobrogosta cofnęli się mimowoli, przejęci trwogą i uszanowaniem. Jeden tylko z nich wyrwał się na przód, wołając:

— Ojcze, wy tutaj? — Był to Przemko.

Zbliżył się do ojca, mówiąc z naleganiem:

— No, ojcze, chodźcie; po co wam tu zostawać; król powraca; narobicie i sobie i mnie biedy. Wracajcie lepiej do naszego gródka!

— Nie, synu — odparł stary Zabój drżącym głosem, — pozwól mi tu zginąć wraz z tem, co miłowałem i czciłem. Jam już stary, niewiele mi się i tak należy; pozwól mi tu zginąć!

I czepiał się otaczających głazów rękami, drżącemi od starości, powtarzając: „Pozwól, ach! pozwól mi tu zginąć!”

— Co to wam, ojcze? — rzekł Przemko, starając się od ciągnąć starca — chcecie umrzeć? toć przecie możecie to zrobić po ludzku i po bożemu, w domu, wśród rodziny i blizkich, a nie tu w skałach, jak ów zwierz dziki. Trzeba przecież, ojcze, byście się przed śmiercią wyrzekli tych pogańskich błędów; weźmiemy księdza, by odpędzić szatana, który was gnębi i nocami po puszczy wodzi.

— Nie! — zawołał stary Zabój — chcę umrzeć w wierze, w jakiej żyli moi ojcowie!

— Ale przecież tej wiary niema już; jeszcze król Mieszko kazał potłuc bałwany; gdzież więc są ci bogowie? Niema ich i nie było, ta wiara była nieprawdziwą.

Przemko mówił tak, jak się mówi do dziecka upartego, by je przekonać, lecz stary wciąż powtarzał:

— Nie chcę, nie chcę! Jesse, Żywie, Kupała, to moje bogi, to bogi ojców moich, innych nie znam!

Dobrogost sam zawahał się, co czynić, ujrzawszy pięciu tych białych starców, — bo z kimże tu było wojować?

Wszystko jedno stawać do walki z martwymi, powstałymi z grobu. Ale pomyślał sobie, że król gniewałby się bardzo, gdyby się dowiedział, że nie zburzono miejsca, gdzie się zgromadzali poganie. Przetrząsając skały, znaleziono tam niewielką pieczarę, zakrytą krzakami, a w niej znajdował się wysoki bałwan z krzemienia, wyobrażający bożka Świst-Pośwista. Dobrogost rozkazał zapalić pochodnie; oświetlono pieczarę oraz poczerniały posąg bożka, który spoglądał na przybywających swemi wielkiemi, nieruchomemi oczyma.

— Przynieść tu topory! — krzyknął Dobrogost, a zwróciwszy się do starców, rzekł: — No, siwobrodzi ojcowie, nic wam złego nie zrobimy, ale rozejdźcie się, bo mamy tutaj robotę.

Milczenie mu odpowiedziało; pięciu starców nie ruszyło się z miejsca.

— Jak chcecie—odrzekł Dobrogost;—uprzedziłem was; a jeśli pragniecie zostać, zostawajcie. Hej, chłopcy, do dzieła! porąbać mi tego bałwana kamiennego, niechaj ludu nie bałamuci; a te wszystkie kamienie zburzyć także trzeba!

Wtedy jeden ze starców podniósł się z twarzą uroczystą.

— Więc tak? — zawołał — burzycie to ostatnie schronienie, gdzieśmy cześć oddawali starym bogom? Więc już i starcy bezsilni wam stoją na zawadzie, bo oni pamiętają, gdy młodzi zapomnieli o wszystkiem, co niegdyś było przedmiotem czci ich ojców? Jeśli tak, to niema już dla nas miejsca na tym białym świecie, i nic, prócz śmierci, nam nie pozostaje! Puśćcie nas, zostawimy wam wolne miejsce!

I z podniesioną głową przeszedł pomiędzy ludźmi Dobrogosta, którzy się przed nim rozstępowali, jak przed marą.

Przeszedł i stanął na krawędzi skały; pod nogami jego była przepaść, na której widok w głowie się zawracało. Siniejące wierzchołki drzew kołysały się tam w dole, powleczone cieniutką zasłoną mgły wieczornej. Wyciągnął ręce nad głębią; przez chwilę jeszcze obecni widzieli jego postać, wzno-

szącą się ponad otchłanią, i siwe włosy, rozwiane przez wiatr; wszyscy zamknęli oczy z przerażeniem... Gdy je otwarli, starca już nie było... Pozostali jego towarzysze jeden po drugim podnosili się z kamieni, a przechodząc pomiędzy tłumem, oniemiałym ze zgrozy, stawali nad przepaścią i znikali.

Przemko rzucił się, by ojca powstrzymać; lecz stary Zabój ukląkł, a objąwszy rękami kamień ofiarny, zawołał rozkazująco:

— Nie dotykaj mię, nie dotykaj!

Padł twarzą na kamień ofiarny; Przemko poskoczył, by go podnieść, lecz stary Zabój już nie żył — poszedł do swoich bogów.

Dobrogost kazał zburzyć dokoła wszystkie zabytki pogaństwa i słońce dnia następnego oglądało już tylko szczątki, pozostałe po owem zniszczeniu.

* * *

Nazajutrz wieczorem Masław jechał doliną Prądnika w stronę Krakowa. Sam jeszcze nie wiedział, gdzie się ma udać; wszystkie jego zamiary i nadzieje upadły; budowa, stawiana tak starannie, z takim wysiłkiem woli i postanowienia, runęła mu na głowę.

Od swoich zaufanych dowiedział się o pochodzie Dobrogosta na górę Łysą i wiedział, że już wszystko skończone; ponury wzrok utopił w zachodzącem słońcu, które widziało jego porażkę.

— I cóż można zrobić z nikczemnymi tchórzami, którzy na samą pogłoskę o powrocie Bolesława uciekają, jak stado płochliwych owiec?—mówił do siebie.—Daremnie walczyłem z przeznaczeniem, albo raczej ze słabością i niedołęstwem; jedno ramię nie potrafi podtrzymać całej budowy. Ale jeśli padnę, to niech padają ze mną i wrogi moje; wilcze plemię musi zginąć, bo nie chcę, by cieszyło się moim upadkiem. Jeśli prawdę mówił Rokitka, że oni mi stanęli na drodze do potęgi, to nie ujdzie im to bezkarnie. Znajdę ja

sposób, by doszły do króla zdradzieckie knowania knezia Mszczuja, a wówczas ostatnia jego chwila nastanie. Dziś jeszcze — dodał po chwili namysłu, — tak, dziś jeszcze poślę Wyrwidęba do wojewody Bożydara, który, jak słyszałem, poprzedza hufce królewskie; dowie się odeń, że syn jego znajduje się uwięziony wraz z obu księżmi w gródku knezia; niech zburzy to gniazdo rozbójnicze. Ja zaś będę miał dość czasu ukryć się w bezpiecznem miejscu, zanim królewskie wojska przyjdą tutaj. O, bogowie!—dodał z gniewem—obiecywaliście mi potęgę, władzę nad tłumami... i gdzież ona? Wszystko rozwiało się, wszystko znikło, jak mgła poranna, jak dym!

W chwili, gdy słów owych domawiał, usłyszał za sobą znany mu śmiech szyderczy, tym razem jeszcze głośniejszy, niż zazwyczaj.

Obejrzał się: z poza skały wysunęła się mała, niekształtna postać i stanęła nad drogą.

— Ty, przeklęty!—zawołał Masław gwałtownie.—Dlaczegóż obiecywałeś mi powodzenie, kiedyś wiedział, że niebawem ma upaść wszystko? Zapłacisz mi za to!

Głośny wybuch śmiechu odpowiedział mu.

— Masławie — wyrzekł karzeł wkońcu, — po co się gniewasz? Po co napadasz na mnie? Alboż wiesz, jakie twe przyszłe losy? Alboż wiesz, co cię jeszcze czeka? O, nie narzekaj! wszystko, co ci przepowiedziałem, jest prawdą, wszystko: wyniesienie, potęga, panowanie i koniec także. Wszak mówiłem: „wysoko pójdziesz!” i teraz to powtarzam.

Ton jego stawał się coraz bardziej szyderskim; wybuch śmiechu, jeszcze głośniejszy, jeszcze podobniejszy do zgrzytu żelaza, zakończył jego mowę. Nim Masław się spostrzegł, już postać karła znikła wśród głazów, tylko długo jeszcze śmiech jego rozlegał się między skałami, lecz coraz się oddalał, aż wreszcie ścichł zupełnie.

Masław pozostał sam. Przed nim leżała samotna, cicha dolina Prądnika w czerwonych blaskach zachodu i tylko

szum wody po kamieniach przerywał głębokie, zalegające ją milczenie.

Wspiął konia i jechał dalej przed siebie, tam, gdzie purpurowa łuna roztaczała się na niebiosach. Od wschodu wiatr się zrywał i pędził gromady chmur fioletowych, poszarpanych, z czerwonymi rąbkami.

Odtąd nie słyszano już nic o Masławie; głuche tylko wieści chodziły, że uciekł do Czech przed gniewem Bolesława; nie słyszano o nim, aż pokąd nie wystąpił znów, ale dopiero po śmierci tego króla.

Kroniki wspominają jego imię obok imienia Bezbraima, który również po zgonie ojca rozpoczął wojnę z bratem i zatruł mu życie, podczas gdy Masław, ukazując się w czasach burzliwych i pełnych klęsk, jak szatan zniszczenia, siał dokoła siebie mord i spustoszenie, by nacieszywszy się chwilową potęgą, zginąć potem z rąk własnych stronników, którzy powiesili go, przemawiając: „Wysokoś mierzył, wysoko wisisz!"

XX.

Kneź Mszczuj, od kiedy się pokłócił z Masławem, działał na własną rękę, lecz i jemu nie wiodło się; pomimo to, przed nikim nie zwierzał się ze swymi zamiarami i niepowodzeniami, naradzając się tylko niekiedy potajemnie z Ziemkiem, jednym ze swych starych, zaufanych sług. Nawet syn nie wiedział, kędy wysyłano owe poczty zbrojne oraz owych gońców, którzy codzień niemal wyprawiani byli w różne strony. Drahomir dziwił się też niemało, że ojciec do niczego go nie używa, ani sam nie rusza się z gródka. Lżejby mu było, gdyby się mógł rzucić w walki i niebezpieczeństwa, niż teraz, gdy tak czekał bezczynnie. Już raz też napomykał o tem ojcu, lecz ten rzekł, patrząc nań dziwnie:

— Poczekaj, dość jeszcze będzie czasu na to.

Nie wiedziano jednak w gródku o powrocie króla, aż kneź Odylon, przybywający z góry Łysej ze swymi więźniami, przywiózł tę niepokojącą wiadomość. Nie można było poznać na kamiennej twarzy knezia Mszczuja, jakie wrażenie zrobiła nań owa wiadomość, stał się tylko jeszcze surowszym dla otaczających, tak, że drżeli, gdy wzrok jego spoczął na którym.

Obaj zakonnicy przybyli już późnym wieczorem do gródka, ale nazajutrz rano brat Angelo, spojrzawszy w okno, na rozciągającą się u stóp jego dolinę rzekł w zamyśleniu, jak gdyby coś sobie przypominał:

— Jakie to dziwne! wiem dobrze, że nigdy w życiu nie byłem tu, a jednak dolina ta wydaje mi się znaną... Musiałem chyba w czasie podróży naszej widzieć podobną...

I zamyślił się, chcąc sobie przypomnieć, gdzie mógł widzieć podobną okolicę.

Ludzie w gródku z podziwem spoglądali na zakonników, gdy bez trwogi stanęli przed kneziem-wilkiem i spokojnie znieśli jego wzrok groźny, siejący postrach dokoła.

Nawet Drahomir był tem niezmiernie zdziwiony.

— Wiesz, ci księża podobają mi się — mówił do Ładona. — To dzielni ludzie; nie przelękli się wzroku mego ojca, przed którym, jak wiadomo, drżą najodważniejsi, a nawet mnie samemu czasem znieść go trudno.

Tydzień upłynął od czasu, jak dwaj zakonnicy przybyli do gniazda dzikich sokołów; w gródku już obyto się z nimi i oni poczęli też myśleć nad tem usilnie, by zasiać tu ziarna wiary.

Mężczyźni byli zanadto zajęci innemi sprawami, aby można było znaleźć do nich przystęp, ale pozostawały niewiasty, na które nikt teraz nie zwracał uwagi.

Nie spotkali też żadnych trudności w tym względzie i zamiary ich powiodły się zupełnie: biedne, wiecznie zamknięte niewiasty z zapałem przejęły się od razu zasadami wiary, która dawała im pociechę w ich ciężkiem życiu. Szcze-

gólnie Ziezilia, której czuła dusza od dawna tęskniła za czemś podnioślejszem i łagodniejszem, z uniesieniem chłonęła niemal w siebie nauki, otrzymywane z ust o. Augustyna, i odżyła teraz, jak odżywa roślina, na którą spadnie deszcz wiosenny.

Ładon jeden był przypuszczony do owej tajemnicy. Pewnego dnia ojciec Augustyn przyszedł do niego, mówiąc:

— Sądzę, że nie odmówicie nam, rycerzu, małej usługi, zwłaszcza, że przyczynicie się tem do świętej sprawy i będziecie mieli zasługę u Boga.

— O cóż idzie, ojcze? — spytał Ładon.— Jam zawsze gotów wam służyć.

— Oto nie znamy jeszcze tak dobrze tutejszej mowy, aby módz obszerniej wyłożyć zasady wiary naszej świętej owym niewiastom nowonawróconym; pomóżcie nam w tem, rycerzu, a będziemy wam wdzięczni...

— Wierzcie mi, ojcze, że z radością spełnię wasze życzenie — rzekł Ładon, — rad bowiem jestem, iż choć w małej części przyczynię się do spełnienia tak świętego dzieła...

— Bardzo to są chwalebne chęci — rzekł żywo staruszek; — od razu też poznałem po was, że jesteście prawym, statecznym rycerzem, któremu zaufać można.

Ładon uśmiechnął się lekko na te słowa.

— A jeślibyście się omylili, ojcze, w waszych przewidywaniach, to cóżby było?

O. Augustyn popatrzył z uwagą w oblicze młodego rycerza, tchnące otwartością i szczerością, i rzekł, kręcąc głową:

— A, nie, nie; ja znam się na ludziach i nigdy się nie mylę, bądźcie o to spokojni; sześćdziesiąt lat patrzę na ten świat boży. A co jeszcze dodam, że ludzie u was szczersi jacyś, niż gdzie indziej, i łatwiej na ich twarzy wyczytać, co myślą, a serca mają gorące, choć niebo wasze zimne. Powiedzcie też mi, czy u was tu zawsze słońce nie grzeje?

Brat Angelo, jako młody, łatwiej jakoś przywyka do tego kraju, ale mnie wciąż zimno.

— A wszakże dziś dzień upalny — rzekł Ładon — i nasi ludzie narzekają na gorąco. Ale gdybym nie słyszał tego od was, nigdybym nie uwierzył, że brat Angelo na włoskiej ziemi się urodził, bo tam u was wszyscy ludzie są czarnowłosi i ogorzali, że, pamiętam, z razu przywyknąć do tego nie mogłem...

— Więc znacie Italię naszą? — zawołał staruszek z radosnem zdziwieniem.

— Znam i nie dziwuję się, że jej nie możecie zapomnieć, sam bowiem dotąd ją wspominam.

Poczem poszli obaj na stronę, zamieszkiwaną przez kobiety. Ładon, od czasu, jak się znajdował w gródku, bardzo mało widywał którąkolwiek z nich, bo zwykle się kryły za ukazaniem się jego, zarówno Ziezilia, jak jej służebne.

Gdy wszedł do świetlicy, poprzedzony przez o. Augustyna, zastał je tam wszystkie, zgromadzone dokoła młodej księżniczki, która, oblana rumieńcem, z opuszczonemi oczami, jako gołąbka trwożliwa, stała, czekając ich zbliżenia.

— Moja córko — rzekł o. Augustyn, — oto ten rycerz, jako lepiej od nas znający mowę waszą, dopomoże nam w obszerniejszem wyłożeniu zasad wiary świętej, której pierwsze pojęcia jużeście posiadły.

Ziezilia odrzekła cichym, drżącym głosem, nie podnosząc oczu:

— Niech będzie jako chcecie, ojcze.

Ładon więc pozostał, aby pomagać o. Augustynowi w wykładaniu zasad wiary, których wszystkie niewiasty, a osobliwie Ziezilia, słuchały z uwagą i przejęciem.

Wkońcu nawet Ziezilia ośmieliła się podnieść oczy na mówiącego Ładona i zadawać niektóre pytania, dotyczące nieznanych jej przedmiotów religii chrześcijańskiej; z gorącym też zapałem przyjmowała wszelkie nauki o. Augustyna,

wylewając łzy żalu przy opowiadaniu o męce Jezusa Chrystusa.

Jednego dnia Drahomir wszedł niespodzianie do świetlicy i spostrzegł, że Ziezilia coś śpiesznie ukryła na piersiach; był to krzyżyk, dany jej przez o. Augustyna; byłby jednak nie zwrócił uwagi, będąc zajętym czem innem, lecz ona zbliżyła się sama i rzekła drżącym głosem:

— Przed tobą, bracie, nie chcę mieć nic skrytego; choćbym miała na gniew twój się narazić, wyznam wszystko: Oto wyrzekłam się bogów dawnych, jestem chrześcijanką.

— Co? Co ty mówisz, szalona? — zawołał Drahomir.

— Mówię prawdę — rzekła Ziezilia z większą śmiałością. — Od dawna już chciałam ci to wyznać, bo ciężko mi było rzecz taką przed tobą ukrywać.

— Idź mi z oczu, szalona dziewko! — zawołał Drahomir w najwyższym gniewie.—Ty, ty mogłaś to zrobić? I nie bałaś się gniewu ojca, który mógłby cię zabić, gdyby o tem wiedział? A ci księża! Zapłacą mi za to!

— Nie mów tak, bracie! — zawołała Ziezilia. — To prawdziwi święci, z nieba zesłani na to, aby wlać spokój i pociechę w moje biedne serce. Dziękuję Bogu, że ich tu przywiódł.

— Jak widzę, opętali cię zupełnie — rzekł Drahomir, patrząc na nią tym razem bardziej z politowaniem, niż z gniewem.—Co za dziw? Powinienem się był domyślić, że muszą oni mieć sposoby zastawiania sideł na łatwowierne dusze. Wiadomo, że u niewiast włosy długie, a rozum krótki. Starajże się teraz, by ojciec o niczem nie wiedział, bo wtedy za nic nie ręczę. A z tymi krukami ja sam pogadam.

I poszedł do Ładona.

— Co się stało? — spytał Ładon, ujrzawszy wchodzącego Drahomira i spostrzegłszy, że jest wzburzony.

— Co się stało? — odparł młody kneź. — Oto dowiedziałem się, że te czarne kruki, wśliznąwszy się tu chytrze, obałamucili mi siostrę, by odstąpiła dawnej wiary, a ty, za-

miast, jako druh, uprzedzić o zdradzie, milczeniem to pokrywałeś, a może i dopomagałeś.

— Bracie — rzekł Ładon, kładąc mu rękę na ramieniu, — uspokój się. Wyznaję, że dopomagałem w tem, o ile było w mej mocy, lecz nie uważam tego za zdradę przyjaźni, ani złą odpłatę za gościnność, i ty sam, gdy rozważysz w spokoju, przyznasz mi słuszność.

— Nie rozumiem takich różnic — odparł Drahomir.

— Bo w tej chwili jesteś zbyt wzburzony, by mię słuchać spokojnie — rzekł Ładon. — Ale powiedz: czy ty sam nie trzymasz się dawnej wiary tylko dlatego, że taki obyczaj w twoim rodzie? Cokolwiekbyś rzekł, jestem pewny, że nie możesz wierzyć naprawdę w owych bogów, którzy nigdy nie istnieli, a byli wymyśleni tylko przez ciemnotę i zabobon. Ty wiesz o tem tak dobrze, jak ja; za wiele masz rozumu, byś mógł sądzić inaczej.

— Może i tak — rzekł Drahomir posępnie,—ale wolałbym byś nie mówił mi o tem, gdyż ja dotąd sam sobie tego nie śmiałem powiedzieć. Od dawna myśli podobne wciskały mi się do głowy, ale starałem się je odpędzać, boć przecie człowiek musi w coś wierzyć. A choćby i prawda była po twej stronie, czyż dziewki mają sądzić o tem? One powinny słuchać, co starsi od nich mężowie postanowią, a rządzić się swoim rozumem nie ich to rzecz, bo tylko sobie zgubę zgotować mogą.

— Tym razem jednak one trafiły prędzej na drogę prawdy, niż ty, mąż — odrzekł Ładon. —Teraz dopiero rozumiem, dlaczego wasze niewiasty takie smutne i nieszczęśliwe się zdają. Od kiedy tu jestem, jeszcze ani razu nie słyszałem, by śpiewały. I ja mam dwie siostry w domu, lecz one są szczęśliwe; cały dzień słychać ich śpiew wesoły, rozlegający się po domu. Nie chciałbym nigdy ich czem zasmucić, bo nie mogę patrzeć na łzy niewiast... one odbierają odwagę. I szczerze ci mówię, że wolałbym stokroć mieć przed sobą dwudziestu wrogów, zakutych w stal, niż jedną płaczącą nie-

wiastę. Pozwoliłbym raczej, by rządziły w obrębie domu, boć to ich rzecz, a za nic nie chciałbym widzieć dokoła siebie twarzy płaczących i zalęknionych, jak tu u was widzę...

— To chyba wy, Polanie, pozwalacie, by wam niewiasty rozporządzały się w domu; u nas tego niema — odrzekł Drahomir.—Nie mówię ja, żeby je gnębić... i gdybym był panem w domu, nigdyby tego nie było, bo żadnego słabego stworzenia uciskać nie lubię... ale dać im wolność, to jedno, co szalonemu włożyć miecz do ręki; sameby sobie jeno złego narobiły i nic więcej.

— Nasza zaś wiara uczy szanować niewiastę—odparł Ładon; — każdy z nas przecie miał matkę i przez pamięć dla niej powinien bronić inne niewiasty od krzywdy. Każdy rycerz przysięga, że przez całe życie będzie bronił słabych i uciśnionych; bywają tacy, co tego nie dotrzymują, ale też ściągają na siebie wieczną hańbę. Nie wiem, jak tam gdzie indziej, ale za moich towarzyszy, którzy wszyscy byli pasowani na rycerzy przez króla lub cesarza Ottona, mogę ręczyć, jak za siebie, że się nigdy podobną rzeczą nie splamią; a jeśliby nawet który tego się dopuścił, to natychmiast sami usunęlibyśmy go z pomiędzy siebie na zawsze. Nie chcemy bowiem, by Niemcy nazywali nas barbarzyńcami i wynosili się ponad nas, jak to dotąd czynili. Dlatego też, gdyśmy chodzili z cesarzem Ottonem do Włoch, daliśmy sobie słowo, że w niczem nie przekroczymy obowiązków prawego rycerza...

— Widzę ja dobrze, że ty w innym żyłeś świecie — odrzekł Drahomir z westchnieniem, w którem przebijało się zniechęcenie głębokie; —u nas nawet nie usłyszysz nic podobnego. Ta dolina i ten gródek... oto wszystko, co widzimy i znamy. A jednak czuję dobrze, że nie byłem stworzony do podobnego życia, i nieraz cięży mi ono jak kamień!

W tej chwili na podwórzu rozległ się jakiś śpiew smętny.

— To wodnica — rzekł Ładon, wyjrzawszy oknem.

Rzeczywiście ona to była; w wianku rucianym, z rozpuszczoną na wiatr kosą, zjawiła się tu nie wiadomo skąd, lecz

nikt jej nie pędził, bo ludzie knezia byli pewni, że mogłaby zesłać nieszczęście na tego, coby ją pokrzywdził.

Właśnie oddział zbrojnych, który tylko co powrócił z wyprawy, ucztował na dziedzińcu gródka; wszyscy patrzyli na idącą wodnicę z pewnem poszanowaniem, jakie budzi istota wyższa nad zwykłych ludzi. Ona zaś stanęła wpośród nich, obejrzała się dokoła i roześmiała, klasnąwszy w ręce; po chwili zaczęła śpiewać:

Pijcie, śpiewajcie, dzielni witezie!
Niech czara brzęczy wesoło!
Czerwonem winem pełna po brzegi,
Niechaj obiega wokoło —
Lecz w winie widzę krew!

Wieńczysz, dziewczyno, głowę kwiatami
I stroisz się do miłego...
Lecz kwiaty czegoś główki schyliły...
O, wiem ja dobrze, dlaczego—
Na listkach widzę krew!

O, była kiedyś gołąbka biała
I gniazdo w lesie tam miała...
Przyleciał sokół, gniazdo rozgrabił
I braci białej gołąbce zabił —
Odtąd wciąż widzę krew!

Ludzie knezia, chociaż dzielne i odważne junaki, jednakże czuli się przerażeni tą dziką pieśnią, tak dziwnie brzmiącą przy uczcie. Wszyscy milczeli długo, nie mogąc się otrząsnąć z przykrego wrażenia Słońce właśnie zapadało czerwono, na wszystko rzucając swe odblaski jaskrawe, i w puharach naprawdę zdawała się znajdować krew, miasto wina.

Na dziedzińcu ukazał się kneź Mszczuj. Wodnica, spostrzegłszy go, krzyknęła przeraźliwie i wyciągnęła rękę w jego stronę, wołając:

— On! ach, on! O, ta straszna noc!

I padła twarzą na ziemię omdlała.

Ludzie knezia jeszcze bardziej się przerazili, spoglądając w niemem osłupieniu to na knezia, to na dziewczynę. Ich zabobonne umysły brały wszystko, co mówiła, za jakąś straszną przepowiednię.

— Cóż tak stoicie jak słupy? — krzyknął kneź gniewnie. — Boicie się tej dziewki, dzielni wojacy! Mówiłem, żeby mi nie wpuszczać żadnych włóczęgów do gródka!

— To wodnica! — rzekł jeden z nich półgłosem.

— Cóż stąd? Wodnica, nie wodnica, a niech mi się tu nie włóczy!

To mówiąc, oddalił się.

Podwładni knezia nie wiedzieli, co począć. Bali się pana, ale jeszcze bardziej bali się czarów wodnicy. Żaden z nich więc nie śmiał do niej przystąpić.

Lecz, jakby dla wyratowania ich z kłopotu, księżniczka Ziezilia dojrzała przez okno obłąkaną, a że była z natury litościwa, wysłała więc jedną ze swych dziewcząt, by ją podniosła z ziemi i do niej przyprowadziła.

Wodnica, gdy stanęła przed córką knezia, z razu nic nie mówiła, tylko patrzyła obłąkanemi oczyma. Ziezilia ozwała się do niej łagodnie:

— Pójdź tu, biedna dziewczyno, siądź przy mnie; musisz być głodna i strudzona; każę ci podać posiłek jaki...

— Ktoś ty, co do mnie tak litościwie przemawiasz? — spytała wodnica, tracąc stopniowo swój wzrok obłąkany.

— Jam Ziezilia, córka knezia Mszczuja — odrzekła młoda księżniczka.

— Mszczuja? Mszczuja? — zawołała wodnica z tym samym dzikim wyrazem, co pierwej.—Dlaczegoś ty córką jego?

— Cóż cię tak dziwi? — spytała Ziezilia. — Biedna dziewczyno, musiałaś wiele wycierpieć na świecie, nim doszłaś do takiego stanu.

Na te słowa, pełne współczucia, obłąkana nagle zalała się łzami i ukryła twarz w dłoniach. Ziezilia wzięła ją w objęcia i, tuląc do siebie, głowę jej oparła na swem ramieniu.

— Śpij — rzekła, obejmując ją czule, — musisz być zmęczona.

W istocie, wodnica przymknęła oczy i wkrótce usnęła z głową na kolanach Ziezilii.

Młoda księżniczka siedziała cicho, by jej nie zbudzić, i mimowoli jakieś myśli smutne, wywołane dziwnemi słowami wodnicy, oblegać ją poczęły. I jej serce było ciężkie jak kamień i nawet łzy nie mogły mu ulżyć.

— O, Boże! Ty, którego niedawno teraz poznałam — mówiła w duchu, — Ty wielki, dobry i litościwy, oddal wszystkie nieszczęścia od tych, których miłuję, i zdejm ten ciężar z mego serca, bo już upadam pod nim...

Długo tak jeszcze modliła się córka knezia, a gdy promień zapadającego słońca po raz ostatni zajrzał w okno, oświecił obie młode dziewczyny, trzymające się w objęciu, jak siostry.

XXI.

Tego wieczoru strażnik, jak zazwyczaj, stał na wieżycy gródka, patrząc w dal przed siebie, czy nie ujrzy czego podejrzanego w dolinie. Lecz dolina była w promieniach księżyca i cisza panowała dokoła. W gródku ludzie już spoczywali od dawna.

Wspaniała pełnia lipcowa roztaczała potoki srebrnej poświaty, zalewającej całą dolinę; gdzieniegdzie skały rzucały olbrzymi cień, przerzynający ją wpoprzek, niby most, rzucony przez morze światła. W cieniach owych Prądnik tylko połyskiwał, jak srebrzysta łuska pełzającego węża.

Coś rozmarzonego a zarazem uroczystego było w tym krajobrazie nocnym, w tej mieszaninie świateł i cieni, kryjących stopy skał, podczas gdy wierzchołki tonęły w blaskach.

Strażnik stał długo, wsłuchując się w ową ciszę, pełną szeptów i zwykłych szelestów nocnych, które teraz jednak brzmiały jakoś niezwyczajnie; zdawało się, że za chwilę coś się ma stać, co zakłóci ową ciszę i spokój, i mimowolna żałość i lęk jakiś dziwny zdejmowały serce—chciałoby się prosić, by jeszcze potrwała owa cisza błoga, by jeszcze się przedłużył ów sen czarowny.

Lecz nagle strażnik drgnął i nadstawił ucha; zdawało mu się, że od strony Krakowa ziemia dudni, jakby w nią kopyta końskie uderzały.

— Czy bies mię zwodzi, czy co?—mruknął, przysłuchując się.

Lecz wkrótce nie było już żadnej wątpliwości; jęczała ziemia, bo po niej stąpały konie wojaków, a niemało ich być musiało — pewnie z pół tysiąca zbliżało się od Krakowa. Lecz kto oni byli, tego strażnik nie wiedział i nie zastanawiał się nad tem... Spiesznie przyłożył róg do ust i zatrąbił... Echa okolicznych skał porwały odgłos ten i powtórzyły po kilkakroć; coraz ciszej płynęły dźwięki, aż skonały gdzieś w dali.

W gródku natomiast powstał ruch i gwar.

— Hej, wy tam! wstawajcie! — krzyczano na dole. — Nieprzyjaciel nadchodzi.

— Co? Gdzie? — pytały inne głosy — kto widział?

— A ot! nie słyszycie, jak ziemia dudni?

— Do broni! — rozległ się ponad wszystkie te krzyki surowy głos knezia. Słychać było, jak biegano w różne strony; ludzie się potrącali; wynoszono broń z dolnej izby, rozkazy mieszały się z pytaniami.

Ziezilia, przebudzona nagle ze snu w swej świetlicy, porwała się z łoża i z rozpuszczoną kosą wyjrzała oknem.

— O, Najświętsza Dziewico! — modliła się drżącemi usty — o, Maryo litościwa, ratuj nas! Okaż się matką sierocie, co matki nie ma na ziemi! Oto przeczucia moje zaczynają się sprawdzać, zguba się zbliża!

Na podwórcu gwar coraz się wzmagał; Ziezilia ujrzała Drahomira, który wyróżniał się w ciemności swym wzrostem olbrzymim, a stojąc w pośrodku, wydawał rozkazy.

— A co, Mirek, widzisz ich? — pytał strażnika, stojącego na wieży.

— Jak na dłoni — odpowiedział tamten z góry.

— A ilu ich tam?

— A ktoby ich zliczył — odrzekł strażnik. — Ot, jeden szereg, drugi, trzeci, czwarty się wysuwa na dolinę...

— Któż ich prowadzi? Nie poznajesz? — pytał dalej Drahomir.

— Nie, nie mogę jeszcze nic rozpoznać — odparł strażnik. — Miesiąc oświeca drogę i odbija się w zbroi onego męża, co jedzie na czele, tak, że aż za oczy chwyta. A ot, teraz wysunął się na przód: jest to mąż stary, wysoki, z długą siwą brodą, w żelaznej zbroi, a na tarczy ma znak jakiś wymalowany, coś niby ptaka wielkiego.

— Ptak wielki! — powtórzył Drahomir—już wiem, kto to taki... A teraz łucznicy na wieżę, procownicy na mury! Przypuścić ich, aż się zbliżą na odległość strzały, a wówczas ich powitamy!

I wszedł sam do izby, gdzie właśnie kilku ludzi zdejmowało broń ze ściany. Ładon nadszedł również w tej chwili.

— A przynieść jeszcze spisy z wieży i rozdać ludziom— rozkazał Drahomir.

— Drahomirze, co tu się dzieje? — spytał Ładon, kładąc mu rękę na ramieniu.

— Co? — odrzekł Drahomir, obracając się. — Twój ojciec idzie na nas!

— Jakto? Skąd wiesz o tem? Czyś go widział? — pytał śpiesznie Ładon.

— Wiem — rzekł Drahomir spokojnie. — Ale puść mię, bo muszę dozierać przygotowań do obrony.

A odchodząc, zawołał z wybuchem śmiechu:

— Oto zwierz już obsaczony, niechże przynajmniej zęby pokaże ogarom!

Już teraz rozróżnić można było i policzyć zbliżające się szyki.

— Królewskie wojsko! — mruknął Drahomir, przypatrując się im.

Znać było w istocie, że to się zbliża oddział wyborowego wojska królewskiego, bo szło w największym porządku, setkami; naprzód dwieście lekkiej jazdy, potem tyluż pieszych z wielkimi, podłużnymi szczytami i z oszczepami w ręku, na końcu zaś postępowali procownicy i łucznicy.

Dowodził nimi rycerz stary, ale krzepki jeszcze i silny.

Ładon, patrzący z okna, poznał go od razu.

— Mój ojciec! — zawołał. — Prawdę mówił Drahomir.

Z bijącem sercem śledził wszystkie poruszenia nadciągającego hufca. Gdy się przybliżyli do gródka, konni wojacy uszykowali się w dolinie, łucznicy zaś i procownicy wystąpili na przód.

Stary rycerz skinął, trąba ozwała się, poczem przywódca wyjechał na przód, pytając:

— Czy kneź Mszczuj jest tu między wami?

— Jest! — ozwał się krótki, surowy głos knezia.

— Kneziu Mszczuju, kneziu wilku — przemówił stary wódz, — przynoszę ci rozkaz w imieniu króla i w mojem własnem imieniu, byś natychmiast oswobodził więźniów, znajdujących się w twym gródku... to jest mego syna, dwóch zakonników i podczaszego margrafa Hermana; jeśli zaś tego nie spełnisz, to twoje wilcze gniazdo w gruzy obrócimy!

— A ktoś ty jest, co mi ten rozkaz przynosisz? — spytał kneź wyniośle.

— Jam jest Bożydar, z rodu Jastrzębców, wojewoda królewski.

— A więc, wojewodo Bożydarze—odrzekł kneź, — odpowiadam w mojem, tylko w mojem własnem imieniu, bo nie uznaję żadnego pana, odpowiadam tobie, wojewodo, abyś po-

wtórzył to swemu królowi, że: nie boję się ani jego, ani ciebie, słuchać waszych rozkazów nie myślę i nie wydam ani twego syna, ani księży, ani tego psa niemieckiego, choćbyście nie tylko w pół tysiąca, ale z całem wojskiem przyszli mię oblegać. Oto moje ostatnie słowo!

— Dobrze — odrzekł wojewoda, — a więc inaczej do ciebie przemówimy. Łucznicy i procownicy na przód!

Kneź tymczasem obrócił się do swoich:

— Hej wy, a zatrąbcie tam w róg na cztery strony, na znak, że kneź Mszczuj przyjmuje chętnie walkę z królem Bolesławem i z jego wojewodą!

Odgłos rogu rozległ się w stronę zachodu, wschodu, południa i północy, powtórzyły go echa okoliczne, jakby przyroda chciała roznieść daleko w świat owo pyszne wyzwanie.

W tejże chwili grad strzał i pocisków, puszczony ze stron obu, zaćmił powietrze.

Skoro ranek zaświtał, oblężeni zostali otoczeni ze wszystkich stron, jakby ścianą z ludzi, lecz kneź nie robił sobie nic z tego.

— Niech przyjdzie ich jeszcze dwa razy tyle, nie zastraszą mnie — drwił. — Żywności mam, że i na lat kilka wystarczy; a niech próbują szturmem brać gródek... zęby sobie połamią, a nie wezmą.

Ludzie jego, słysząc tę mowę, nabrali zuchwałości, rzucali z góry przeciwnikom obelgi i natrząsali się z nich.

— Ale to wasz wojewoda wybrał się na nas z wielkiemi siłami! — wołali. — Na nas i dwa tysiące za mało! Sprowadźcie tu całe wojsko królewskie, a damy mu radę!

— Ej, wykurzymy was, jak lisów z nory, obaczycie! — odpowiedzieli z dołu przeciwnicy.

Oblężonym łatwo się było bronić, bo tylko jedna strona gródka potrzebowała osłony, mianowicie ta, po której znajdowały się mur i brama; inne broniły się same przez swą niedostępność, na jedno więc wejście tylko trzeba było zwrócić uwagę. Daremnie nieprzyjaciel starał się wedrzeć przez

mur—zawsze zepchnięty został ze stratą. Oblężeni coraz więcej okazywali śmiałości i zaufania, tem bardziej, że ich strzały, jako padające z góry, były celniejsze, podczas gdy przeciwnicy musieli się oddalić na pewną odległość, by trafić, wystawiając się na pociski nieprzyjaciół.

Kneź, aby bardziej jeszcze urągać przeciwnej stronie swą siłą i zaufaniem, codzień wydawał uczty swoim ludziom, ich wesołe i junackie pieśni dochodziły uszu oblegających i wzmagały zaciekłość; przysięgali oni, że wezmą gniazdo sępów, choćby mieli dziesięć lat stać tutaj, a wówczas nie przepuszczą nikomu.

Obaj zakonnicy okazali się teraz bardzo użyteczni, bo choć oblężeni niezmiernie mało, prawie nic nie tracili ludzi, zawsze jednak nie zbywało na rannych, którym uwięzieni księża nieśli pomoc, jako posiadający znajomość różnych ziół leczących. Tym sposobem nawet w tych dzikich, nieposkromionych ludziach potrafili obudzić pewne poszanowanie i wdzięczność, z których obiecywali sobie otrzymać na przyszłość dobre owoce.

Tylko kneź Odylon obcym był wszystkiemu, co się dokoła niego działo, i, jak dawniej, snuł się w zamyśleniu po gródku, spoglądając tylko niekiedy z uwagą na brata Angelo, który ze swej strony, obok wdzięczności za ocalenie życia, czuł głęboką litość dla tego starca, jak się domyślał, złamanego wielką boleścią. To też tak wiele dokazał, że kneź Odylon, milczący zwykle, z nim jednym mówił niekiedy, przyczem zdawało się, że podlega jakiemuś tajemnemu wpływowi, i otaczający gotowi byli wierzyć nawet, że młody ksiądz rzucił urok na starca.

* * *

Był wieczór; w gródku wszystko cichło powoli, bo walka ustała od pół godziny, i ludzie strudzeni jedli i pili, rozłożywszy się na dziedzińcu; na murach pozostały tylko straże,

patrząc bacznie w okrytą mrokiem dolinę, kędy błyszczały liczne ognie nieprzyjacielskiego obozu. Nagle wśród uroczystej ciszy wieczornej rozległo się jakieś wycie, ale tak ponure, że wszyscy zadrżeli.

— Śmierć chodzi pośród nas! — szeptali ludzie knezia między sobą, a kilku z nich pobladło i spojrzało na Drabomira, który stał w progu dworca, nie zdjąwszy jeszcze swej zbroi.

— Tchórze! — rzekł ten, ujrzawszy ich przerażenie — wszak to wilk wyje! czyż nie widzicie?

Rzeczywiście wilk knezia Mszczuja, zwany Luty, przysiadłszy na zadnich łapach w rogu podwórza i głowę podniósłszy w niebo, wył przeciągle. Lecz nie uspokoiło to ludzi knezia.

— To zły znak! — powtarzali szeptem.—Śmierć chodzi pomiędzy nami!

W jednej z izb kneź Odylon rzucił się na ławę i swoim zwyczajem utkwił przed siebie wzrok nieruchomy. Po chwili jakaś ręka oparła się łagodnie na jego ramieniu; obejrzał się i ujrzał nad sobą pochylone oblicze brata Angelo, pełne serdecznego współczucia.

— Kneziu — ozwał się zakonnik cicho, — czy nie moglibyście zwierzyć mi się z tego, co was trapi? To czasem przynosi ulgę.

Odylon popatrzył na jasne oblicze brata Angelo; zdawało się, że dusza jego rozpogadzać się zaczyna; spojrzał przytomniej i rzekł po chwili:

— A więc usiądź tu przy mnie; lubię cię, bo gdy spojrzę w twoje oczy, myślą przenoszę się w dalekie lata, które minęły... Czasem zdaje mi się, że mam znowu syna... Syna — powtórzył,—cóż ja rzekłem?... Chodź, usiądź przy mnie, mów mi co, bo gdy cię widzę przy sobie, wówczas straszne, krwawe widma nie tak łatwy mają przystęp do mnie... Albo czekaj, opowiem ci powieść o moich synach, pomordowanych przez Gerona...

Brat Angelo usiadł przy nim, i tak siedząc w półcieniu, na drugim końcu izby, którą tylko kaganiec blado oświecał, kneź Odylon rozpoczął swą ponurą powieść, a w miarę, jak mówił, nienawiść jego do Gerona i do Niemców wykazywała się w całej swej sile. Nienawiść ta rozciągała się także i na niemiecką wiarę.

Gdy skończył, brat Angelo ozwał się:

— Jest jednak ktoś, co nawet taką boleść, jak wasza, kneziu, może uleczyć; jest pocieszyciel, który wszelką gorycz osładza...

— Kto? — spytał kneź — gdzie znajdę pociechę na taką boleść jak moja?... ja dąb, któremu wszystkie konary obrąbano, ja sokół, któremu zabrano pisklęta... powiedz, gdzie znajdę pocieszenie?

Brat Angelo za całą odpowiedź wskazał palcem w górę.

— Bogi? — zawołał kneź Odylon. — I cóż one mi pomogły? Czyżem im nie składał objat? A wasz Bóg chrześcijański, to Bóg Niemcom oddany, on im jednym sprzyja, ja go nie chcę znać!

— Mylicie się, kneziu — rzekł brat Angelo, — ten Bóg jest dla wszystkich, wszystkim gotów pomódz w nieszczęściu, bo za wszystkich krew swą wylał!

— Nie, nie, nie gadaj mi! —wołał starzec z boleścią— on Niemcom tylko sprzyja, wiem o tem! A wreszcie dobrze, niech wskrzesi moich synów pomordowanych, niech powróci wnuka, którego mi skradziono, a wówczas weń uwierzę!

*
* *

Na drugi dzień brat Angelo czuwał nad dwoma rannymi, którzy leżeli w izbie na ziemi, a jego łagodne i litościwe słowa starały się przynieść ulgę cierpiącym.

Właśnie przypuszczano nowy szturm do murów, słychać było krzyki, szczęk broni, a ponad to wszystko rozlegał się

grzmiący głos Drahomira, który wołał: „Do mnie łucznicy!” oraz głos knezia: „Kamienie rzucajcie im na głowę!”

Kneź Odylon siedział w kącie na ławie i patrzał w milczeniu za bratem Angelo, który podawał wodę rannym.

Po chwili ozwał się jakby do siebie:

— Codzień widzę w nim więcej podobieństwa...

Brat Angelo przybliżył się, usiadł przy nim, a biorąc jego rękę, zapytał:

— Do kogo jestem tak podobnym, kneziu?

— Do mego najstarszego syna; i dlatego mię od razu za serce chwyciłeś. Miałem po nim wnuka, ale i tego mi zabrano...

— Jakto, cóż się z nim stało? — spytał brat Angelo ze współczuciem.

— Ach, więc ty jeszcze nie wiesz wszystkiego, co wycierpiałem... Opowiem ci zaraz: Było to w tym samym gródku, u mego brata; chłopiec miał już wtedy lat kilka; piękny był, zdrów, silny, oczy moje spoglądały na niego z rozkoszą, gdy raz do gródka zawitał kupiec niemiecki, sprzedający niewiastom towary z dalekich krajów. Patrzał na wszystko ciekawie, przeklęte jego oczy dostrzegły dziecko i wciąż za niem poglądały. Matka, zląkłszy się, by nie rzucił jakiego uroku, ukryła chłopię w komorze; ale cóż, głupie niewiasty tak się zajęły kupionemi błyskotkami, że nie spostrzegły, jak chłopiec przed wieczorem wybiegł poigrać na dolinie i przepadł gdzieś jak kamień w wodę...

— I nie wiecie, co się z nim stało? — zapytał brat Angelo ze wzruszeniem.

— Szukałem, badałem, pytałem; o małom nie oszalał z bólu; stałem się jako odyniec ranny, który rzuca się wściekle na tego, kogo napotka; niewiast, mających pieczę nad dzieckiem, ledwiem nie pozabijał. Lecz i to nie pomogło. Ten szatan Niemiec skradł mi wnuka i zostałem sam jeden na świecie... ród mój wraz ze mną wygaśnie.

Brat Angelo porwał się nagle z miejsca i wyrzekł półgłosem:

— Boże wielki! co za dziwny zbieg wypadków...

— Co mówisz? — zapytał kneź, podnosząc nagle głowę, którą dotąd trzymał opuszczoną na piersi.

— Nic, nic—odrzekł brat Angelo, siadając przy starcu i biorąc go znów za rękę.—Mówcie dalej, kneziu, jak to dawno się stało?

— Jak dawno? — powtórzył kneź, przesuwając ręką po czole. — Osiemnaście już zim minęło, jak opłakuję mego wnuka...

— A w jakim wieku był chłopiec, gdy go skradziono?

— Miał wtedy lat cztery... Ale dlaczego tak dziwnie patrzysz na mnie? Ty coś wiesz...

To mówiąc, stary kneź ujął silnym uściskiem obie ręce zakonnika, i patrząc mu bystro w oczy, nalegał:

— Jeżeli wiesz co o moim wnuku, powiedz, skróć moje męczarnie!

— Wiem tylko — rzekł młody kapłan,—iż przed osiemnastu laty kupcy normandzcy przywieźli do brzegów Neapolu dziecko, które nasz klasztor wykupił i wychował; gdy chłopiec ten dorósł lat młodzieńczych, przywdział zakonne szaty, Bożej poświęcając się służbie.

— To ty nim jesteś, prawda? O! powiedz, powiedz, jak to było! — nalegał starzec z uniesieniem, gdy w tejże chwili w otwartych drzwiach izby stanął o. Augustyn.

— Ojcze — rzekł, zwracając się ku niemu, brat Angelo, — wy, którzyście opiekowali się mną w dzieciństwie, rozpowiedzcie, jak to było, gdyście mię wykupili z rąk Normandów?...

Sędziwy zakonnik zamyślił się chwilę, widać uprzytomniał sobie dawno minione czasy, poczem rzekł poważnie:

— Osiemnaście lat mija właśnie, gdy do zatoki Neapolu przybiły statki piratów normandzkich, mających na sprzedaż bursztyny nadbaltyckie, drogie makaty wschodnie i niewolni-

ków z różnych stron świata. By ulżyć niedoli tych ostatnich, wysłano mnie i drugiego brata z klasztoru. Wśród tłumu nieszczęśliwych uwagę naszą zwróciło pięcioletnie zaledwie pacholę, niby cherubinek o jasnych włosach i błękitnych oczach. Za zgodą przeora, wykupiliśmy je z niewoli...

— I odtąd klasztor stał się mu matką i ojcem — dokończył ze wzruszeniem brat Angelo.

— Jeśli prawdziwie ty jesteś synem mego syna — zawołał stary kneź, — musisz mieć bliznę od uderzenia kopyta końskiego na czole pod włosami.

Brat Angelo nachylił ku starcowi swą głowę, a ten rozgarnąwszy jego jasne włosy, wydał okrzyk szalonej radości, i objąwszy go serdecznym uściskiem, wołał wśród łkań, które, zda się, rozsadzały mu piersi:

— Wnuku mój, jedyny mój wnuku!... Więc już nie jestem teraz sam na świecie!... więc oczy moje, zanim zagasną, mają pociechę oglądania ostatniej latorośli mego rodu!...

Umilkł na chwilę wyczerpany nadmiarem szczęścia starzec, z czego korzystając o. Augustyn, rzekł uroczystym głosem:

— Wszechmocny to Bóg, któremu my służymy, daje ci szczęście tej chwili. Uznaj potęgę i dobroć Jego, ukorz się przed Nim, bo On w tej chwili woła ku tobie: „Jam jest jedynym Bogiem dobroci i miłosierdzia!"

Na to wezwanie stary kneź osunął się na kolana i, wznosząc ręce w górę, zawołał:

— Boże chrześcijański, czczę i miłuję Cię, jakom poznał, żeś wielki, miłosierny i dobry, żeś Ty nie Bogiem okrutnych Niemców tylko...

Tuż obok swego dziada klęknął brat Angelo, którego twarz promieniała niebiańską radością, gdy dusza śpiewała hymn miłości i dziękczynienia wśród uroczystej ciszy, jaka zaległa świetlicę.

W tym samym czasie zamknięty w sąsiedniej izbie Ładon śledził przez okno postępy walki, hamując z trudem swój zapał wojowniczy wobec koniecznej bezczynności niewoli.

Na szerokim murze warowni wyniosła postać Drahomira górowała nad innymi. Jego piękna zbroja normandzka i szyszak na głowie ze stalowym grzebieniem błyskały w świetle, stając się celem pocisków nieprzyjacielskich, on jednak, obojętny na to, niestrudzonem ramieniem pracował bezprzestannie, a każde uderzenie jego miecza było śmiertelnym ciosem dla napastujących.

Nagle Ładon drgnął i w oczach mu pociemniało, bo wszakże się nie myli, iż to ojciec jego stoi obok młodego knezia.

Rycerze rozmawiają chwilę, widocznie robią układ jakiś... Teraz stają naprzeciw siebie, tarcze unoszą w górę, prawice ich ujęły miecze...

Zrozumiał Ładon, iż ma to być walka rozstrzygająca.

I rzeczywiście wojewoda Bożydar, widząc, jaki postrach wśród jego ludzi obudza młody rycerz, postanowił sam się z nim zmierzyć.

— Kneziu Drahomirze — rzekł, podszedłszy ku niemu, — widzę, że próżno tracimy czas i ludzi. Spróbujmy się raczej oba. Jeśli ja zginę, wojsko królewskie odstąpi od oblężenia, bo bez wodza bić się nie będzie; jeśli ty padniesz, gródek nasz. Czy zgoda?

Pewny młodzieńczej swej siły, więc i oczywistej przewagi nad starcem, szlachetny Drahomir nie od razu przyjął wyzwanie, ustąpił jednak wkońcu naleganiom wojewody.

A było to dwóch godnych siebie przeciwników, z których jeden z zimną rozwagą stosował wyższą sztukę użycia miecza, nabytą w długoletnich bojach z Niemcami, — drugi walczył starym obyczajem, przekazanym rodowi kneziów przez dawnych jego przodków, Normandów, ale był z tych zapaśników, którzy zdają się duszę swą wkładać w każdy cios zadany.

Tak więc zdarzyły losy, iż w obronie nowego porządku stawał stary, w obronie dawnego młody rycerz.

Z razu widocznem było, iż Drahomir oszczędza wojewodę, zachowując stanowisko więcej obronne; w miarę wszakże, jak walka się przeciągała, młoda krew poczęła się rozgrzewać.

Tymczasem wojacy stron obu wyczekiwali, jaki będzie wynik tego pojedynku ich wodzów, tylko od czasu do czasu świsnęła strzała łuczników.

Ale Ładon szalał z niecierpliwości.

— O, hańbo! —wołał — ja syn, ja młody i silny, muszę patrzeć spokojnie, jak siwy ojciec potyka się za mnie!... Nie, nie pokonam się dłużej! Miecza mi dajcie, miecza choćby na chwilę!...—I, pędzony szałem rozpaczy, wysadził drzwi zaryglowane, biegnąc na dziedziniec, niepomny, że jest bez broni.

Lecz na podsieniu spotkał się oko w oko z kneziem Mszczujem.

— Dokądże to? — spytał ten zimno.

— Puść mię, tam mój ojciec...

— Powoli, ptaszku, tam się obejdzie bez ciebie —rzekł stary kneź. I żelazna jego dłoń chwyciła rycerza za piersi, przypierając do ściany.

Ładon rwał się, ale daremnie. Chwilę już trwało to szamotanie, kiedy na murach rozległy się radosne okrzyki, zwiastujące porażkę jednego z zapaśników. Gwałtownym ruchem usunął wreszcie na bok młodzieniec starego knezia i wybiegł na dziedziniec, lecz już nie dostrzegł swego ojca na murach; już wojacy obu stron zwarli się ponowną walką.

Zrozpaczony, zrozumiał położenie; i gdy tak stanął nieprzytomny prawie, zbliża się ku niemu młody kneź.

— Drahomirze! — zawołał — byliśmy braćmi i druhami niegdyś... powiedz mi prawdę, czyś ty go zabił?...

— Uspokój się. Ojciec twój lekko tylko ranny, za dni parę znów stanie na czele swych szyków. Wierz mi, nie chciałem tej walki, pomny na przyjaźń naszą, ale stary wo-

jewoda się uparł. Dzielny z niego rycerz; miałem dość roboty, nim go pokonałem; lecz da nam się on jeszcze dobrzewe znaki.

Ładon rzucił się na szyję przyjaciela.

— O, jak szczęśliwy jestem — zawołał, — że nie rozdziela nas krew mojego ojca!...

XXII.

Przez cały czas trwającego dotąd oblężenia wodnica, wbrew swemu zwyczajowi, nie ruszała się z miejsca, siedząc skulona, niby odrętwiała, w kącie izby. Nikt też na nią nie zwracał prawie uwagi, zapomniana nawet przez kobiety, przerażone tem, co się dokoła działo.

Lecz choć pobladły jeszcze więcej jej lica, w zamglonych zwykle oczach błyskał chwilami płomień ożywienia—widać chory jej umysł pracował nad czemś usilnie.

Tymczasem wojewoda Bożydar, podgoiwszy lekkie rany, już stanął znowu na czele swych hufców, ponawiając szturm za szturmem; wszakże zawsze odparty zostawał.

Powodzenie takie budziło coraz większą pewność siebie wśród oblężonych, którzy, rozzuchwaleni, domagali się od Drahomira wycieczki poza mury, aby dać dobrą nauczkę „tym królewskim cacanym wojakom," jak mówili.

Zgodził się na to Drahomir i na czele ochotników napadł nocą na obóz nieprzyjacielski, budząc straszny wśród rycerstwa popłoch.

Dzień następny przeszedł spokojniej—i gdy noc zapadła pod chmurnem niebem, głęboka cisza zaległa dokoła. Rozstawiona straż na murach zamku, lekceważąc już oblegających, posnęła obok przygasłych ognisk. Tu i tam tylko słychać było przyciszoną rozmowę.

Wtem postać jakaś przesuwa się bokiem, lekko, jakby nie dotykała ziemi.

Może to duch! może upiór jaki?...

Nie, to wodnica wyszła ze swego ukrycia. Przywykłe do ciemności jej oczy rozróżniają wszystko łatwo dokoła. Ze stosu sznurów, złożonych pod basztą, wybrała już najdłuższy zwój, tak ciężki, że zaledwie unieść zdoła; dźwiga go jednak, obchodzi gródek dokoła, aż do pustego miejsca, kędy rośnie lipa, pochylająca się nad przepaścią. Tu skrzesawszy ogień, zapala pęk łuczywa i rzuca na dół.

Płomienne błyski zakreślają w powietrzu jasną smugę... ale ona nie patrzy już w tę stronę, choć niebawem ucho jej chwyta przyciszony szmer w obozie; ona śpiesznie dopełnić musi postanowionego dzieła. Oto wybrała już ciężki kamień, owiązuje go jednym końcem sznura, a drugi przymocowuje do pnia drzewnego i spuszcza ostrożnie ku dołowi kamień, który głucho uderzając o ścianę skalną, dosięga wreszcie spodu.

Aż oto sznur poczyna się wyprężać, widocznie pod ciężarem wdzierającego się nań ciała. Niebawem głowa w hełmie ukazuje się nad krawędzią skalną, zbrojny człowiek dosięga pnia i lekko zeskakuje na ziemię. Za nim tą samą drogą napowietrzną idzie drugi, trzeci, aż zebrał się zastęp kilkudziesięciu rycerzy królewskiego wojska, który okrążywszy dziedziniec zameczku, zachodzi z tyłu ludzi knezia.

Powstaje straszliwy popłoch. W cieniach pochmurnej nocy, napadnięci, nie rozumiejąc zgoła, jakim sposobem nieprzyjaciel mógł się dostać do ich gniazda, a co więcej, nie znając liczby jego, nie śmieją nawet się bronić, zbijają się w gromady, lub uciekają, gdzie który może.

— Do broni, do broni! — krzyczy gromkim głosem Drahomir — do mnie tu wszyscy! nie dajmy się!

Otoczeni garstką najodważniejszych, stary kneź Mszczuj i syn jego walczą rozpaczliwie, siejąc śmierć dokoła siebie, aż cięty w głowę toporem starzec runął z głuchym jękiem. Drahomir cofa się ku drzwiom dworca, by się

w nim zatarasować, bronić do ostatka i wreszcie zginąć pod gruzami.

Tymczasem w pierwszej izbie zgromadzone kobiety zawodzą głośno, tuląc się dokoła Ziezilii — i gdy stary kneź Odylon stoi obojętny, zda się, na wszystko, zakonnicy usiłują podnieść zrozpaczone umysły ku Bogu.

Wrzawa walki zbliża się z każdą chwilą, ale u drzwi świetlicy staje Ładon, zbrojny w miecz, podjęty po którymś z poległych. On zasłoni piersiami swemi bezbronne kobiety, on nie odda ich na pastwę zwycięzców.

— O! doloż nasza, dolo! — zawodzą nieszczęśliwe — co z nami będzie, co będzie z naszą młodziutką księżną... niewola, ciężka niewola!...

Ziezilia stoi milcząca, niby posąg, z załamanemi rękoma. W złocistych jej, rozpuszczonych na ramiona włosach odbija się pierwszy promień wschodzącego słońca.

Nagle drzwi ustępują pod naciskiem z zewnątrz i do izby wpada kilku zbrojnych, ale Ładon zastawia im drogę mieczem.

— Ani kroku dalej! — woła rozkazująco.

— Ktoś ty, który nam śmiesz rozkazywać? — pytają draby, przystępując doń z dobytą bronią.

— Jam syn wojewody Bożydara, i biada tym, którzy się odważą wyrządzić tu krzywdę niewiastom lub staremu kneziowi — rzekł Ładon wyniośle,

Zbrojni cofnęli się zmieszani.

— A toć was tam szukają i tych księży takoż — rzekł wreszcie jeden z nich.

— Usuńcie się stąd natychmiast! — rozkazał młody rycerz — niechaj przy drzwiach stanie jeden, strzegąc izby, póki nie wrócę od ojca.

Zaledwie wszakże wyszedł na przedsionek, gdy potknął się o leżącego na ziemi Drahomira, którego twarz śmiertelna pokryła bladość, a krew zabarwiała zbroję na piersi.

— Bracie, co tobie? — rzekł rycerz, pochylając się ku nieszczęsnemu.

— Ranny jestem, ale na dawną naszą przyjaźń zaklinam, nie oddaj mię żywego w ich ręce... dobij... sam już nie mam siły... — mówił kneź urywanym głosem.

— Po co tak rozpaczliwa mowa... życie i szczęście jeszcze przed tobą, druhu mój kochany; tyś w mojej odtąd opiece.—A zwracając się do pachołków, rozkazał:

— Wnieść go do izby! Wy zaś, wielebni ojcowie, udzielcie mu, proszę, śpiesznej pomocy.

Teraz Ziezilia, ujrzawszy rannego, który legł bezwładny, rzuciła się ku niemu i objęła tkliwem ramieniem.

— Bracie, mój bracie! — wołała, łkając.

— Gołąbko ty moja!—rzekł z widocznym bólem serca młody kneź—oto zostajesz sama, nie masz nikogo na świecie, ktoby się o ciebie zatroszczył.

— Nie dam jej krzywdy wyrządzić żadnej, zawsze i wszędzie bronić jej będę — rzekł z mocą Ładon.

— Dzięki ci, druhu wierny i szlachetny! Śmierć lżejszą mi będzie, skoro wiem, że ty jej miejsce moje zastąpisz; ja... ja już nic...—tu urwał młody kneź, osuwając się omdlały.

— Ja z tobą, bracie! Gdy ciebie nie stanie i ja żyć nie chcę! — wołała Ziezilia.

Tymczasem, gdy zakonnicy opatrywali rannego, młody rycerz pośpieszył odszukać ojca. Twarz sędziwego wojewody zajaśniała radością na widok syna, którego przez długi czas miał już za straconego. Ten, uścisnąwszy jego kolana, rzekł śpiesznie:

— Ojcze miły, tam w izbie leży ranny syn knezia Mszczuja; on druhem moim, niedawno jeszcze życie mi ocalił. Nie dozwólcie, by niewola zaciążyła nad nim; niechaj znajdzie w domu naszym gościnność, jaką mię darzył u siebie.

— Z serca radbym spełnić twą prośbę, synu mój — rzekł łaskawie wojewoda, — aleć on nie moim, jeno królew-

skim więźniem; do króla też jedynie należy wyrok o jego losie.

— To pójdę do króla i błagać go będę! — postanowił z mocą Ładon. — Powiedzcie mi wszakże, ojcze, jak zdobyliście to gniazdo orle, dotychczas niedosięgnione?

— Obstając za prawdą, wyznać muszę, iż nie moja w tem zasługa, bo sam już zwątpiłem o powodzeniu, gdy wczoraj zjawił się w obozie niejaki Rokitka, karzeł, zamieszkujący poblizką pieczarę. Ten mi oświadczył, że obłąkana dziewczyna, zwana przez lud wodnicą, a znajdująca się właśnie w gródku, ma, za jego namową, nocy dzisiejszej spuścić sznur, po którym rycerze moi dostaną się na dziedziniec, a jako sygnał, że wszystko jest gotowe, rzuci zapalone łuczywo. Czekaliśmy zatem nocy przygotowani, i gdy po sznurze ludzie moi wdarli się na górę, zwycięstwo już musiało być naszem...

— A więc to sprawa wodnicy — rzekł Ładon, podążając wraz z ojcem ku baszcie. — Ciekawa rzecz, jakie powody skłoniły ją do tego czynu.

— Rokitka wszystko mi rozpowiedział, aby mię upewnić o prawdzie słów swoich. Obłąkana ta dziewczyna ma być córką Jaromira, którego kneź Mszczuj wraz z resztą rodziny wymordował przed laty. Ją tylko jedną, wówczas maleńką jeszcze, ocaliła wierna sługa, ale rozbity strasznem przejściem jej duch już nigdy nie odzyskał jasnej świadomości. Tylko wspomnienie wyrządzonej krzywdy pozostało, wzbudzając ciągle pragnienie zemsty. Skorzystał z tego Rokitka, podsuwając jej dzisiejszą zdradę.

— Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy—rzekł Ładon.— I oto za przyczyną biednej obłąkanej legł potomek dawnych książąt, okrutny kneź-wilk, który był postrachem dla wielu, a który samemu urągał królowi...

— Padł, ale się nie ukorzył — ozwał się ochrypły głos z za węgła wieżycy.

Ojciec z synem spojrzeli w tę stronę. Tam, oparty plecami o ścianę, leżał kneź Mszczuj, srogi, dumny jeszcze, choć

już cienie śmierci zachodziły mu na lica; u nóg jego wilk Luty szczerzył zęby, broniąc przystępu do pana.

— Tak jest—powtórzył wyniośle starzec, — nie ukorzyłem się przed nikim, nie uznałem żadnego nad sobą pana! Jak orzeł na skale żyłem i umieram wolny. Ale wam moje uczucia obce, wy, słudzy i pachołkowie królewscy!...

Głos knezia jak ryk ranionego lwa drżał w powietrzu, powtarzany echem skał okolicznych. Snać jednak wysiłek ten odebrał mu resztę mocy, bo wnet jego oczy przygasły i członki zesztywniały w uścisku zimnej śmierci.

— Idź w pokoju, kneziu, do swoich przodków. Niech ci ziemia będzie lekką i nie zaciężą kamieniem na twojej duszy okrutne czyny twego życia — rzekł wojewoda uroczyście.

Po koniecznych rozporządzeniach opieki nad gródkiem, aż do nowych rozkazów królewskich, zajął się wojewoda Bożydar przynależną wielkiemu kneziowi uroczystością pogrzebu wedle prastarych jeszcze obyczajów pogańskich Słowian.

I gdy na wyniosłym stosie z drzew złożono ciało zmarłego, którego nie chciał opuścić wierny wilk Luty, gdy przywiązano tuż obok ulubionego rycerzowi wierzchowca i błysnęły pierwsze płomienie na czterech rogach stosu, obecna Ziezilia serdecznemi łzami córki zastępowała najęte płaczki.

Wtem z tłumu wybiega człowiek jakiś, a pochyliwszy się przed wojewodą, woła błagalnie:

— Pozwólcie mi zgorzeć z nim razem! toż mu służyłem życie całe, niechże i po śmierci podam mu konia do boju!— i nie czekając dłużej, wierny pachołek Łyszczak wskoczył na stos, gdzie z kłębów dymu i płomieni dochodziło rżenie rwącego się konia i przeciągłe wycie wilka.

Obcy wszystkiemu, co się dokoła niego działo, leżał Drahomir na łożu swojem. O. Augustyn czuwał nad nim dniem i nocą, niosąc mu umiejętnie sporządzone leki,—choć poznał wkrótce, że nie te rany na ciele sprawiają najsroższy ból

młodemu księciu, bo stokroć więcej cierpiał on moralnie wobec upadku potęgi rodu swego. To też z posępną chmurą na czole słuchał on starego wojewody, który, zanim opuścił zameczek, przyszedł go zapewnić o swej życzliwości, obiecując wstawienie się u króla.

— Szlachetność waszą cenię, wojewodo; ale stokroć większą łaskę wyświadczyłbyś mi, zadając natychmiast cios śmiertelny, niż zmuszając do dźwigania niewoli, która mię czeka.

— Rozpacz taka mało przystoi waszemu rycerskiemu sercu, a nadzieja winna być udziałem młodości — rzekł z powagą wojewoda. – Co okaże się w naszej mocy otrzymać u króla, bądźcie pewnym, że zrobimy; ale dajcie mi słowo rycerskie, że nie będziecie sami szukać śmierci.

Drahomir milczał długą chwilę, wreszcie przemógł się, uścisnął podaną sobie prawicę wojewody i rzekł krótko:

— Macie me słowo rycerskie.

Ponieważ doszły wieści, że król z Krakowa podąża do Sandomierza, postanowił wojewoda złączyć się z nim w drodze, wysyłając tymczasem do stolicy część swego wojska i wraz z niem zabranych z gródka jeńców.

Oprócz zakonników, których już ani na chwilę nie chciał opuścić stary kneź Odylon, ciesząc przygasłe swe oczy widokiem ukochanego wnuka, znajdował się tam również niefortunny podczaszy margrafa, który jednak wiele stracił ze swej objętości, skazany na parodniowy post w wielkiej skrzyni, gdzie się tchórzliwie schował w czasie oblężenia, a gdzie go szczęśliwym wypadkiem przy życiu jeszcze znaleziono.

O wodnicy wszakże nikt odtąd już nie posłyszał — z chwilą dokonanej zemsty zniknęła, niby kamień wrzucony w wodę.

XXIII.

Jak sobie postanowił wojewoda Bożydar, tak też i zdążył przyłączyć się do orszaku króla Bolesława, jadącego wraz

z królewiczem Mieszkiem do Sandomierza. Powitany łaskawie przez monarchę, zdał mu sprawę z zaszłych wypadków, a Bolesław okazał się rad wielce z ostatniego pogromu burzliwych i niedających się ująć w żadne karby dawnych kneziów.

Pokłonił się też królowi młody rycerz Ładon, a idąc za głosem serca, padł na kolana i prosił o łaskę wolności dla druha swego, Drahomira, przedstawiając, jako niechętnie i tylko z posłuszeństwa srogiemu ojcu stawiał się dotychczas opornie władzy monarszej.

Ale Bolesław, dotąd łaskawy, namarszczył brwi surowo.

— Znam ja ich wszystkich!— wybuchnął groźnie—drapieżny to i buntowniczy ród, na którego niema innej rady, aż póki ich, jako wilków w kniei, nie wytępisz. Byłem zbyt dobrym, zostawiając im ziemie i godności, bo to ich jedynie do buntów i knowań rozzuchwalało. Odtąd srogość moja zaciężży nad nimi; niechaj zginie ostatni, jako zasłużył!

— Miłościwy panie — rzekł Ładon, nieustraszony, — wiem, że nie przystało rycerzowi wspominać zasług, położonych na polu bitwy, ale tyś sam, miłościwy królu, w on czas, gdym wziął znacznego rycerza saskiego do niewoli, obiecał spełnić pierwszą prośbę moją; przetoć błagam, wysłuchaj mię dzisiaj!

— Śmiałość twoja jest wielką — rzekł król surowo; — proś o co innego, bo tu, co raz rzekłem, to spełnię.

Zrozumieli wszyscy, jako gniew króla jest wielki i że niema prawie nadziei, aby młodego knezia dało się uratować od śmierci. Szczerze tem zmartwionego Ładona pocieszał jeszcze stary wojewoda, że może wpływ królowej i opata Tuni zdoła coś uzyskać, i do nich też zwrócił się zaraz po powrocie do Krakowa. Chętnie przyobiecała królowa wstawić się za młodym rycerzem, raz, że była dobrą i litościwą, a także przez wzgląd na Ziezilię, którą wzięła pod swą opiekę do grona dziewic dworskich i macierzyńską otoczyła czułością, kojąc słowami pociechy zbolałe serce osierociałej kneziówny.

Z całkiem odmiennych pobudek uważał za konieczne rozważny opat Tuni złagodzić surowość monarchy.

— Na cóż wam, miłościwy panie — mówił on, — mnożyć sobie niechętnych? Czyli i tak nie macie ich dosyć? Czyż nie macie w cesarzu Niemiec odwiecznego wroga, z otwartem zawsze okiem na każdą słabość, na każdą pomyłkę? Czyż nie zechce on skorzystać z niesnasek domowych, któreby niewątpliwie zbudziło wykonanie surowego wyroku?

— Może jest słuszność w słowach twoich — rzekł król po dłuższym namyśle; — niechże więc łaskawość moja raz jeszcze wystawioną będzie na próbę.

Nazajutrz po tej rozmowie zasiadł król Bolesław w izbie radnej, otoczony dwunastu doradcami, mając przy boku królewicza Mieszka, opata Tuni i Stoigniewa.

Bogactwo i przepych, na jakie zdobyć się mogły te wieki, widne były dokoła, podnosząc uroczystość owej chwili, w której młody kneź Drahomir miał stawać przed obliczem monarchy, by usłyszeć z ust jego słowa łaski.

Zbrojna w złocone topory straż przyboczna, stojąca przy drzwiach komnaty, przepuściła knezia. Ten, zrazu olśniony nieznanym sobie majestatem królewskim, przybrał wnet postawę należnej mu godności.

Pierwszy w imieniu króla ozwał się wojewoda Sieciech.

— Kneziu — rzekł, — wiecie, że ojciec wasz ciężko zawinił przeciw królowi i ziemi swojej, wszczynając bunty i zamieszki, a, jako mamy dowody, zamyślał nawet o wezwaniu pomocy obcej. Przeto zasłużył na ciężką karę. Lecz stanął on już przed innym sędzią; wyście po nim zostali; a choć byliście wspólnikiem jego, miłościwy król nasz gotów wam winy darować, jeśli złożycie przysięgę lennej wierności.

— Gotów jestem zaprzysiądz mu wieczną zgodę — odrzekł Drahomir; — ale i dla starego knezia Odylona, który niczem nie zawinił, proszę o wolność.

— Otrzyma ją — rzekł wojewoda.

— Niechże więc starym zwyczajem król wrzuci kamień do wody i ja tak uczynię, i niech zapanuje wieczny między nami pokój. Nie miałem ci ja dla niego żadnej w sercu niechęci, czemuż więc nie mielibyśmy podać sobie ręki do zgody?

— Dobrze — odparł wojewoda, — a że miłościwy król łask swoich nie szczędzi, przeto daje wam w posiadanie ziemie około Wiślicy, abyście je wiecznie, wy i potomki wasze, dzierżyli. Uklęknijcie więc, kneziu Drahomirze, aby przyjąć dar ten od króla.

Lecz dumny rycerz cofnął się na te słowa.

— Ja miałbym klęknąć! Kolano moje dotąd przed nikim się nie ugięło i nie ugnie nigdy. Toż wiecie, że nie prostym jestem kmieciem, ani władyką, lecz potomkiem wolnych książąt niegdyś na Krakowie; a choć ród nasz nie panuje już dawno, równać się wszakże możemy z samym królem. Toż nie padnę przed nim, choć cześć dla niego mam wielką, bo uważam go za najmędrszego i najmężniejszego ze wszystkich, jacy kiedy u nas rządzili.

Z początku tej śmiałej mowy czoło Bolesława groźnie się zachmurzyło, powoli jednak poczęło się wypogadzać, aż zajaśniała na jego obliczu owa przyznawana mu przez wszystkich wspaniałomyślność, gdy rzekł do młodego knezia:

— Przez wzgląd na krew waszą, kneziu Drahomirze, król ustępuje od przyjętego zwyczaju i pozwala wam stojąc złożyć przysięgę wierności.

— Wielkim jesteś, zarówno sercem, jak i walecznością, o królu! — zawołał Drahomir w szlachetnem uniesieniu — i bądź pewien, że dotrzymam ci wierności, jakem kneź i rycerz!—Poczem głośno i dobitnie wymówił słowa przysięgi.

Dla uświęcenia ostatecznej ugody, zostawało jeszcze dopełnienie ceremoniału pojednania, wedle odwiecznego słowiańskiego obyczaju.

Gdy więc stanął król wraz z licznym pocztem rycerstwa nad brzegiem Wisły, młody kneź rzucił w fale rzeki ujęty kamień, mówiąc:

— Jak ten kamień utonął w rzece, tak niech utoną wszystkie niezgody nasze, królu. Niech odtąd pomyślność ziemi tej, wspólnej matki naszej, płynie tak szerokim strumieniem, jak płyną wody wielkiej naszej Wisły!

Z kolei król podniósł kamień i rzucił go w wodę.

— Niechaj wszelkie nieporozumienia nasze zginą, przepadną, jak przepadł ten kamień—rzekł.—Oby odtąd, kneziu, z rodu twego wychodzili tylko dzielni i prawi rycerze!

Poczem usunąwszy się nieco z Drahomirem na bok, długo mówił coś, wyciągnąwszy rękę w stronę rzeki, przyczem oczy dziwnym płonęły mu blaskiem.

U nóg ich stara Wisła szumiała spokojnie, jakby fale jej chciały również opowiedzieć coś młodemu kneziowi, który stał zasłuchany, a głębokie myśli jaśniały na wzniesionem czole jego wraz z ostatnimi blaskami zachodzącego słońca.

Choć dawno już opuścił wybrzeże król z orszakiem swoim, Drahomir stał tam jeszcze, pogrążony w zadumie, z której zbudziło go nareszcie zbliżenie się Ładona.

Obaj wierni sobie druhowie uścisnęli dłonie w milczeniu. Wreszcie młody kneź ozwał się pierwszy:

— Słyszałem, bracie, żeś narażał się nawet na gniew króla, aby mię ratować, i choć wdzięczny ci jestem, nie będę się bawił w czcze słowa podzięki. Wiesz, że to samo uczyniłbym dla ciebie, bośmy braterstwo ślubowali na mieczu. Ale pragnąłbym, aby związki krwi bliżej nas jeszcze złączyły. Jam teraz głową rodu, Ziezilia mą siostrą jedyną. Niegdyś poślubiona była bogom... dziś, jako chrześcijankę, tobie oddaję za żonę. Nie radbym ją przymuszać, ale też jeśli nie mylą mnie oczy, przychylną ci jest od dawna... Gdy zaś przyjmę chrzest, jako postanowiłem, słysząc w niewoli szlachetne słowa zakonników i przekonawszy się, że Bóg chrześcijański jest wielkim a nieskończenie dobrym, gdy już nie będzie nas dzielić wiara... wtedy... poproszę ojca twego o jedną z sióstr twoich... czy zgoda?

— Wszystko, co rzekłeś, radosnem sercem przyjmuję— zawołał Ładon; — odtąd rody nasze będą jako jeden i nic ich rozdzielić nie zdoła!

Tu przyjaciele podali sobie raz jeszcze dłonie i zwrócili kroki swe w stronę grodu.

Uszczęśliwiony odzyskaniem wnuka swego, kneź Odylon wzniósł na pamiątkę pierwszego z nim spotkania u stóp

góry Łysej posąg kamienny, wyobrażający klęczącego zakonnika. Gruba ta rzeźba, jak wszystkie w owych czasach, budziła jednak podziw we współczesnych. Stoi ona dotychczas na tem samem miejscu, i choć znaczenie jej zagubiło się w pomroce wieków, znawcy przypisują ją zgodnie pierwszym początkom chrześcijańskiej ery na naszej ziemi.

Nie długo już wszakże żył potem kneź stary. Oczy mu zamknął brat Angelo, który zasłynął na kraj cały świątobliwością swoją, jako przeor klasztoru na Łysej górze, zwanej już odtąd górą Świętokrzyską. I tam, gdzie niegdyś odbywały się tajemnicze obrzędy ku czci pogańskich bogów, rozbrzmiewały teraz pieśni na chwałę Stwórcy, śpiewane przez zakonników, którzy umacniali w wierze i cnotach lud okoliczny. Przy budowie kościoła odkryto jeszcze wśród skał różne zabytki pogańskie, a między innymi długie przejście podziemne, prowadzące z puszczy aż do stóp góry. Tędy to ostatni czciciele bogów dążyli na tajne zebrania, tam też stary Zabój znikł niegdyś z przed oczu śledzącego go Ładona.

Kiedy książę Emeryk przybył znów w gościnę do wuja, zastał już pozłocisty krzyż kościelny, połyskujący na szczycie góry w tem samem miejscu, gdzie usłyszał przed laty ów głos cudowny i gdzie niegdyś ognie, migające nocą, straszyły lud zabobonny.

Tylko puszcza po dawnemu szumiała jeszcze długo, kryjąc w swych mrokach niejedną tajemnicę i po dawnemu rozlegały się w jej głębiach niby srebrne śmiechy wodnic i boginek.

. . . .

Oto skończona legenda o ostatnich obrońcach bogów. Opowiedziała mi ją ziemia, ta szara ziemia, kryjąca w swem łonie tyle dawnych pamiątek; wyszeptały mi ją lasy szumiące w chwilach, kiedy omszały dąb zwierza się brzozie białej z dawno upłynionych, niegdyś przez jego przodków widzianych zdarzeń.

KONIEC.